

Susan Amarillas

ŚNIEŻNY ANIOŁ



Tytuł oryginału:
Snow Angel

Przekład:
Janusz Węgielek

1

Wyoming, 1881

Katherine wiedziała już, jak straszliwy błąd popełniła.

Dął lodowaty, północny wiatr, który ciskał w jej twarz igielkami zmrożonego śniegu i wyciskał łzy z oczu. Niżej pochyliła się nad oszronioną grzywą kłaczy. Zawieja szalała. Dziewczyna z rozpaczą uświadomiła sobie, że na powrót jest już za późno.

Skostniałymi palcami zebrała na piersiach gumowany prochowiec, sztywny teraz od mrozu niczym dykta. Zabezpieczał on wprawdzie przed wiatrem, ale przepuszczał przeraźliwe, kłające zimno. Pod płaszczem miała tylko spódnicę do konnej jazdy i bawełnianą bluzkę.

Zebrała całą wolę i próbowała powstrzymać dygotanie ciała. Poklepała po szyi dzielną kasztankę.

- Uda się nam, Sunrise, musi się udać - powiedziała zdębtwiałymi wargami, lecz z ogromnym przekonaniem w głosie.

Jej słowa porwał kolejny wściekły podmuch wiatru. Spojrzała na groźne, ołowiane wieczorne niebo. Boże, jak ona nienawidziła tego ponurego świstu w uszach, który przypominał już to wycie wilka, już to rozpaczliwe zawrodożenie dziecka. Ale nie mogła poddawać się złudom wyobraźni. Musiała jechać dalej, na przekór wszystkim rozszalałym mocom natury.

Doprawdy, warta była batów za swoją głupotę. Sama zresztą wymierzyłaby je sobie z prawdziwą przyjemnością. Ostatnie kilka dni były wiosenne i ciepłe, zbyt ciepłe jak na początek marca, powiedziała jej matka. A jednak Katherine, zarzuciwszy na siebie jedynie płaszcz przeciwdeszczowy, wskoczyła na konia i pognąła do Clearwater. Gdy opuszczała miasteczko, na horyzoncie zaczęły się już gromadzić ciężkie, złowrogie chmury. Nie zlekła się ich, gdyż była przekonana, że w drodze powrotnej do domu grozi jej co najwyżej przemoknięcie. W Filadelfii takie chmury zawsze przynosiły deszcz. Tu jednak przyniosły nawrót zimy w jej ostatnim, najgorszym paroksyzmie.

Wiatr na chwilę zamarł i Katherine rozejrzała się po bezkresnej, płaskiej okolicy. Szron, który osiadł na jej rzęsach, ograniczał wprawdzie pole widzenia, lecz i tak zobaczyła z całą ostrością to najgorsze. Nigdzie ani śladu drogi, najmniejszego znaku wskazującego kierunek, tylko równina, biała niczym śmiertelny całun. Walcząc z wiatrem, musiała zboczyć z traktu i posuwała się teraz w niewiadomym kierunku. Niewykluczone, że oddalała się nawet od rodzinnego rancho. Ale w żadnym wypadku nie mogła wpaść w panikę. Musiała zaufać Opatrzności, Sunrise i swojej woli przeżycia.

I znów poczuła na zdrętwiałych policzkach igły śniegu. Jej ciałem wstrząsnął spazmatyczny dreszcz. Prawie zdziwiła się, że nie spadła i jeszcze siedzi w siodle.

Zatrzymała klacz na niewielkim wzniesieniu i stanęła w strzemiionach. Wbijając wzrok w śnieżne wiry, wypatrywała jakiegoś ratunku, domostwa, gdzie ona i Sunrise mogłyby rozgrzać się i przeczekać zamieć.

I jakby coś zobaczyła. Mogło to być światło lampy naftowej, płonącej w czyjejs izbie.

Serce Katherine wezbrało otuchą. Pchnęła konia w tamtym kierunku. Ale Sunrise nie popędziła. Z trudnością wyciągała nogi z głębokiego śniegu, a natrafiając na nieckę czy usypaną przez wiatr białą, widmową wydnię, zapadała się aż po brzuch. Aby nie upaść, nie czując prawie stóp, dziewczyna musiała trzymać się zgrabiłymi dłońmi łęku siodła.

Światelko przybliżało się zbyt wolno, ale Katherine Alicia Thorn nie upadała na duchu. Nie należała zresztą do osób, które łatwo z czegoś rezygnują.

Dotarła wreszcie do drewnianego ogrodzenia, ledwie wystającego ponad śnieg. Pomyślała, że jadąc wzdłuż tego płotu, natrafi wkrótce na bramę. Rozmowanie okazało się słuszne. Brama na szczęście stała otworem. Katherine wjechała w nią i po kilkunastu metrach ściągnęła wodze.

Oczom jej ukazało się przysadziste domostwo z kamienia i bali, opierające się wichurze niczym fort na jazdowi Siuksów. Rozłożysty dach przykrywała gruba warstwa śniegu. Z komina wydobywał się dym, którego smugę łamały ciągle wściekle podmuchy wichru.

Katherine przeniosła wzrok na heblowane, sosnowe drzwi. Ale mimo rozkazu, jaki wydała swojemu ciału, jej prawa stopa nie chciała wysunąć się ze strzemienia. Zauważyła też, że już nie jest jej zimno. Pragnęła choć kilku minut snu. Jeśli się zdrzemnie, to odzyska siły i na pewno zdoła się zsunąć na ziemię i podejść do drzwi. Pozwoliła opaść ciężkim jak ołów powiekom.

Jak długo spała, nie miała pojęcia. Obudziła ją Sunrise, która broniąc się przed zimnem, niespokojnie dreptała w miejscu. Katherine opadła na przemarznie-

te stopy. Zabolały, jakby przybito je do ziemi hufnami. A potem podobny ból w dłoni, którą uderzyła w drzwi. Ból był tak silny, że głośno jęknęła.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna. Nie widziała jego twarzy, tylko szerokie ramiona i muskularną pierś.

- Zabłądziłam w zamieci - wyszeptała przez szcękające zęby.

- Mój Boże, kobieto!

Pomógł jej wejść do środka. Panujące w izbie ciepło

błyskawicznie ścięło ją z nóg. Obwisała na jego ramieniu. Odpłynęła w sen ku martwej krainie wiecznych lodów i śniegów.

Obudziło ją bolesne klucie w nogach. Leżała na łóżku, a obok klęczał mężczyzna i szybkimi ruchami masował jej obnażoną lewą łydkę. Stopa ginęła w rozpięciu jego koszuli i dotykała podeszwą owłosionego torsu. Po chwili ten sam zabieg powtórzony został na prawej nodze.

Katherine poruszyła się niespokojnie. Do bólu dołączył się lęk i wstyd.

- I jak się czujemy, panienko? - zapytał nieznajomy, nie przerywając masażu.

- Proszę mnie natychmiast puścić! - zawołała, próbując wyrwać nogę.

- To jeszcze trochę potrwa - odparł, po czym bezczelnie przesunął dłonie aż po jej kolano. - Czy jeszcze czujesz mrowienie i klucie? - Odwrócił głowę i spojrzął na jej twarz.

Zobaczyła wpatrzona w nią czarne jak węgiel oczy, obramowane ciemnymi, długimi rzęsami. Ponad wysokim czołem falowały włosy granatowe niczym noc-

ne niebo. Górną wargę ocieniał mu krótko przycięty wąsik. Prosty nos, smągła cera, szlachetnie zarysowane brwi, wystające kości policzkowe oraz kwadratowa szczęka dopełniały całości. Biła z tej twarzy siła, męskość i jakaś bezwzględność. Dziwne, ale patrząc na nią Katherine, mimo oburzenia i wstydu, czuła się bezpieczna.

Nieznajomy błysnął zębami w uśmiechu i powtórzył pytanie.

- Tak... to znaczy nie! - wyrwała nogę i nakryła ją czerwonym kocem.

Mężczyzna zachichotał, po czym wstał i jął wpychać dół koszuli za pasek obcisłych, brązowych spodni. Odwróciła się. Spostrzegła, że leży w samej bieliźnie. Złapała więc wszystkie koce, którymi była okryta i podciągnęła je pod samą brodę.

- Gdzie są...?

- Czy już cieplej? - zapytał z iskierką rozbawienia w oczach.

Ona również poczuła w sobie iskierki. Iskierki ciepła rozchodzące się pod skórą.

- Byłoby jeszcze cieplej, gdybym miała na sobie moje ubranie - odparła ostro.

- Spódnica i inne rzeczy ciągle się suszą - podszedł do kominka i dołożył kilka polan.

- Suche czy mokre, chcę je włożyć - oświadczyła tonem oschlejším, niż zamierzała. Ostatecznie uratował jej życie i była mu za to wdzięczna. Z drugiej jednak strony ten człowiek swoją ironiczną rezerwą i flegmą działał jej na nerwy. Pozwoliła więc sobie na nutkę hysterii, z której bynajmniej nie mogła być dumna. Tym bardziej, że te cztery ostatnie lata w Filadelfii, podczas których opiekowała się sparaliżowaną ciotką

i prowadziła sklep modniarski, nauczyły ją, jak sądziła, taktu i opanowania.

Jeśli nawet poczuł się dotknięty jej tonem, nie pokazał tego po sobie. Wydawał się tylko jeszcze bardziej rozbawiony.

- Porozmawiamy o tym później. Najpierw przygotuj coś na rozgrzewkę. Aby obyło się bez kataru.

Usłyszała na deskach podłogi miarowy stukot jego butów.

- Co z Sunrise? - zapytała, zanim zdążył opuścić izbę.

Spojrzał na nią przez ramię.

- Nie rozumiem, panienko...

- Pytam o moją klacz.

Kiwnął głową.

- Bez obaw, proszę. Jest w suchej stajni i przy pełnym żłobie.

Wyszedł, ona zaś w ciszy, jaka zapanowała w izbie, usłyszała wycie i zawrozczenie wicheru na dworze. Wiatr targał okiennicami, napierał na ściany domu i dobijał się do drzwi. Płonący w kominku ogień rzucał ruchome cienie na ściany i sufit. Przybierały one chwilami kształty zwierząt i ludzi, najczęściej jednak maszkar i potworów. Powróciły dawne dziecięce lęki, a wicher wzmagał je jeszcze swym niesamowitym śmiechem, który nagle przechodził w szept, by znów potężnieć w strasznym dudnieniu i poświście.

- Oto lekarstwo. Radziłbym nie zwlekać z wypiciem.

Katherine wzdrygnęła się. Nie usłyszała jego powrotu. Bez słowa wyciągnęła rękę po filiżankę, która natychmiast zadzwoniła dnem o spodeczek.

- Co się stało? - Popatrzył na jej twarz i natych-

miast zrozumiał, że całą jej uwagę pochłaniają jęki, szloch i chichoty za ścianą. - To tylko wiatr, który miota się pod okapem.

- Na polu nie brzmiało to aż tak strasznie.

- Bo tam mógł sobie hulać do woli - rzekł siadając na obitej skórą kozetce. - Przypominam o napitku. Zrobiony wedle rodzinnej receptury.

Ciągle wsłuchana w potępieńcze zawodzenia wiatru, Katherine pociągnęła łyk z filiżanki. Otworzyła usta, łyzy stanęły jej w oczach, a w gardle poczuła roztopione żelazo. Minęła dobra chwila, zanim odzyskała oddech.

- Nie pijam spirytusu, panie...

- McCloud. Logan McCloud. - Biel zębów, którą odsłonił w uśmiechu, kontrastowała z hebanem jego wąsika. - I tenże McCloud ma przyjemność zaproponować pani gościnę pod swoim domem.

Filiżanka ponownie zadrżała w jej dłoni. Katherine dobrze знаła to nazwisko. Nosił je jeden z największych hodowców bydła w Wyoming. O ile nie zawodziła jej pamięć, a w tej konkretnej sprawie nie mogła zawodzić, stał on na czele Stowarzyszenia Hodowców Bydła i jako prezes niejednokrotnie przypominał jej ojcu, że nie ma tu dla niego miejsca i że najlepiej zrobi wynosząc się stąd. Znajdowała się zatem w mateczniku diabła. Musiała dodać sobie odwagi. Uniosła filiżankę do ust.

- Proszę nie pić duszkiem, tylko sączyć kropla po kropli. Jeśli nie pomoże, to wówczas uciekniemy się do innych sposobów - jego czarne oczy znów zapłonęły wesołością.

Ta niedwuznaczna aluzja właściwie powinna była ją rozgniewać, ale przemycił ją z takim wdziękiem, że

miała nawet ochotę się uśmiechnąć. Oczywiście, nie uczyniła tego.

- A teraz, panie McCloud, chciałabym wrócić do sprawy mojego ubrania...

- Nie wiem jeszcze, z kim mam przyjemność.

- Dlaczego uparcie zmienia pan temat rozmowy?

- Ten człowiek doprowadzał ją do rozpacz.

- Ja zmieniam? - Zapytał z udaną naiwnością dziecka. - Wydawało mi się, że właśnie przedstawialiśmy się sobie.

Wymieniła swoje nazwisko z nutą wyzwania w głosie.

Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Thorn? - powtórzył z napięciem w głosie.

- Tak, panie McCloud. - Buńczucznie odrzuciła do tyłu głowę. - Hodujemy owce.

Zacisnął usta. Zauważyła grę mięśni na jego policzkach, jakby przeżuwał tę informację. Czekala, aż ją przełknie. Jej brat, Daniel, nazwał McClouda po prostu łajdakiem, który maczał palce w zabójstwie ich ojca. Trudno jej było w to uwierzyć. Człowiek, który uratował ją od niechybnej śmierci, nie wyglądał na zimnego mordercę, zaś Daniel wykazywał często skłonność do przesady, właściwą piętnastolatkom.

- A zatem Charles Thorn był...? - Dotknął palcami skroni, jakby nagle rozbolała go głowa.

- Był moim ojcem - dokończyła.

Niespodzianka za niespodzianką, pomyślał Logan.

Nawet nie wiedział, że Thorn miał córkę. Przypomniał sobie groźną minę ranczera. Sprzeczała się o ogrodzenie z drutu kolczastego, jakim tamten otoczył swoje pastwisko. A potem Thorn został zastrzelony. Było to pięć... nie, cztery tygodnie temu.

Przyjechał szeryf z Cheyenne, lecz Logan nie dawał mu dużych szans na znalezienie mordercy. Thorn był jedynym hodowcą owiec w bezkresnej krainie bydła. Te jego cholerne zwierzaki psuły krew wszystkim okolicznym ranczerom. Każdy w promieniu kilkudziesięciu kilometrów mógł pociągnąć za cyngiel.

- Słyszałem o śmierci ojca panienki. Wyrazy współczucia, Katherine - jego słowa zabrzmiały całkiem szczerze.

- Mój ojciec, pragnę zauważyć, nie umarł śmiercią naturalną. Został tchórzliwie zastrzelony. A w tym kraju, zdaje się, nadal wieszają morderców?

- To zależy...

Popatrzyła z pytaniem w oczach.

- Zależy od tego, kto pierwszy dostanie zabójcę w swoje ręce: przedstawiciel prawa czy rodzina ofiary.

Obdarzyła go cieniem uśmiechu, który złagodził trochę chłód jej spojrzenia.

- Zapamiętam to sobie.

Zastanowiła go nuta groźby przebijająca w jej głosie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ciągnąć dalej tematu, lecz w końcu zdecydował się na wprowadzenie wątku przyjemniejszego od tragicznej śmierci.

- Dlaczego do tej pory nie spotkaliśmy się jeszcze? - zapytał.

- Ostatnie cztery lata spędziłam w Filadelfii.

Słuchał jej tylko jednym uchem. Pochłaniała go uroda dziewczyny. Miała gardłowy, ciepły głos i ogromne, błękitne oczy. Patrząc na jej twarz, widziało się jedynie te dwa prześwity błękitu.

Siedziała na łóżku owinięta w koce, z włosami w rozkosznym nieładzie. Na pozór wyglądała na kobietę ocze-

kującą na męczyznę, spragnioną miłosnego zespole-
nia. Sęk w tym, że żadna z jego kochanek nie patrzyła
na niego jak na śmiertelnego wroga.

- Czy na długo zjechałaś w te strony, Katherine?
- zapytał, dziwiąc się samemu sobie, że chciałby
otrzymać na to pytanie jak najbardziej pozytywną od-
powieź.

- Przyjechałam tu na stałe, panie McCloud.

- Logan - poprawił ją.

- Panie McCloud - powtórzyła oziębłym tonem

- jestem panu wdzięczna za jego gościnność i troskę.
A jednak, moim zdaniem, nadużył jej pan, rozbierając
mnie, gdy byłam nieprzytomna. I po raz trzeci doma-
gam się zwrotu moich ubrań.

Logan zmusił się do uśmiechu. Rozumiał jej skro-
mność i podziwiał opanowanie.

- Przede wszystkim rozebrała cię, panienko, moja
ciotka, Mary Rosa. Co zaś tyczy się ubrań, to suszą
się w kuchni.

- To my nie jesteśmy tu sami?

- Niestety, nie - odparł tonem zawiedzionego
uwodziciela, z satysfakcją zauważając prześliczne ru-
mieńce na jej bladych policzkach. - Gdy tylko ciote-
czka przekonała się, że ofiara śnieżnej zamieci przeżyje
tę noc, udała się na zasłużony odpoczynek - musnęła
dwoma palcami swoje wąsiki. - Gdybym jednak wie-
dział, jak czarujące towarzystwo mnie czeka, zamknął-
bym cioteczkę w jej sypialni.

- Panie McCloud, czy w rozmowie z kobietą nig-
dy nie potrafi zachować pan miary? - zapytała Ka-
therine.

- Wolę bezpośredniość od sztucznych konwena-
nsów.

- Niektórzy taką bezpośredniość nazywają arogancją.

Logan roześmiał się. Nie spotkał jeszcze kobiety, która w tak twardej dyskusji dyskutowałaby z mężczyzną. Tym bardziej zdecydowany był nie dać za wygraną.

Katherine wysunęła stopy spod koców. Wyglądało na to, że ma dość siedzenia na cudzym łóżku.

- Ja w każdym razie wracam do domu. Inaczej moi najbliżsi rozchorują się z niepokoju.

Rzucił okiem na zegar na gzymsie kominka.

- Zważywszy, że minęła już północ, a zamieć ani myśli ustać, musisz pozostać moim gościem do rana, panienko.

Niestety, ten straszny, denerwujący człowiek zdawał się mieć rację. Jakby bowiem dla potwierdzenia jego słów wichura przeszła do decydującego szturmu. Wycie zmieniło się w ryk. Pięść niewidzialnego giganta raz i drugi grzmotnęła o drzwi. Ktoś przeraźliwie jęczał, ktoś inny żalił się po sierocemu. Katherine szczerzej owinęła się w koc. Z przerażeniem patrzyła na czarne, ośleple okno. Czowała się niczym podróżny, osaczony przez watahę wilków i podobnie jak on bezbronny. Czekala już tylko w straszliwym napięciu na pojawienie się pyska rozjuszonej bestii.

- Katherine - rzekł Logan, podchodząc i dotykając jej drżących ramion.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

- Nienawidzę wiatru - powiedziała z gniewem, jak gdyby sam jej bunt mógł poskromić paroksyzmy zamieci.

Odgarnął włosy z jej twarzy, próbując uśmiechem dodać otuchy.

- Nie lękaj się, jasna panienko. Zaraz przyniosę ci sukienkę i natychmiast poczujesz się dużo pewniej.

Kiedy wyszedł, Katherine wpatrzyła się w kął pokoju, gdzie za ścianą coś grzechotało i tłukło się, jakby psotny dzieciak sprawdzał wytrzymałość swoich nowych zabawek. Wiedziała już, że gdyby przyszło jej spędzić tę noc w samotności, mogłaby załamać się nerwowo.

Logan wrócił po kilku minutach z brązową wełnianą suknią na ramieniu.

- Myślę, że coś takiego powinno na razie wystarczyć.

Taktownie odwrócił się, a ona czym prędzej naciągnęła zbyt długą i za obszerną sukienkę. Jednak materiał jej był tak delikatny i miły, że faktycznie poczuła się pokrzepiona na duchu.

Podziękowała McCloudowi, po czym usiadła na wskazanej jej kozetce. Gospodarz wybrał miejsce na podłodze, opierając się o kozetkę plecami. Wydawał się całkiem rozluźniony i w jak najlepszym nastroju. Niestety, nie można było powiedzieć tego samego o Katherine. Przybrała sztywną postawę, jak na audiencji w Białym Domu, a w jej zaciśniętych dłoniach skupiło się całe zimno, które wsączył w nią wiatr, kiedy walczyła z zamiecią.

- Co robiłaś na dworze podczas takiej piekielnej zawieruchy, panienko? - zapytał w pewnym momencie Logan, muskając jej zlodowaciałą dłoń swymi ciepłymi, niemal gorącymi palcami.

Za ten gest współczucia odwzajemniła mu się bladym uśmiechem.

- Wybrałam się do miasteczka, gdzie miałam kilka spraw do załatwienia. Gdy wyruszyłam w dro-

gę powrotną, na niebie kłębiły się już chmury, myślałam jednak, że przyniosą najwyżej deszcz. Jechałam szybko, ale wiatr był jeszcze szybszy. Nagle wszystko stało się białe. Zgubiłam drogę - wytarła dłonią łzę z policzka.

Zanim się spostrzegła, Logan siedział już przy niej i tulił ją w ramionach. Chociaż przez jedną, krótką chwilę nie chciała odgrywać roli dzielnej pannicy. Złożyła głowę na muskularnej piersi. Bicie jego serca koło nerwy.

- Myślałam, że już po mnie, że spadnę z konia i zamrznę na śmierć. Było tak zimno, tak straszliwie...

- Już dobrze, panienko. Szaaa... szaaa - kołysał ją i tulił, jak gdyby była małą przestraszoną dziewczynką. - Tutaj jesteś bezpieczna. Zaopiekuję się tobą.

Dziwne, ale uwierzyła mu. Zaufała temu obcemu mężczyźnie. Poczuła, że nieokreślony lęk odstępuje ją.

- W zasadzie nie jestem płaczką i trudno mnie przestraszyć - powiedziała, ocierając kolejną łzę.

- Katherine, ta zamieć to nie byle śnieżycy, tylko prawdziwe rozpętanie żywiołów. W takich warunkach giną nawet mężczyźni. A ty, młoda kobieta, zachowałaś zimną krew. Jest to godne pochwały.

Czuła ciepło jego oddechu na swoim wilgotnym policzku. Uniosła wzrok ku mężczyźnie. Ujrzała w jego oczach odbłaski ognia, płonącego na kominku.

- Aniele - wyszeptał, a przez jej ciało przebiegł ożywczy dreszcz, jakby stała na wzgórzu i wdychała pełną piersią wonny powiew majowego wietrzyku.

Dotknął palcem jej drżących ust. Pochylił głowę. Niemal już czuła na wargach ostrą szczoteczkę jego wąsów.

Nagle czar prysnął. Wróciła rzeczywistość. Kathe-

rine uciekła wzrokiem gdzieś w kąt pokoju. Logan westchnął głęboko. Kiedy znów nań spojrzała, uśmiechał się. Tym razem był to sympatyczny uśmiech. Działął kojąco.

- Nie obawiaj się - powiedział w jej włosy, ona zaś nie wiedziała, czy ma na myśli zamieć, czy też samego siebie.

2

Katherine otworzyła oczy i zaraz z powrotem je zamknęła, pragnąc poleżeć jeszcze przez chwilę w rozkosznym półśnie. Słyszała płonący na kominku ogień, wdychała zapach smażonej szynki i świeżo parzonej kawy. Poczowała głód. Dotknęła dłonią brzucha i zdumiała się. Nie miała na sobie swojej nocnej, flanelowej koszuli, tylko coś, co przypominało sukienkę.

Ponownie otworzyła oczy i z bijącym sercem rozejrzała się po pokoju. To nie był jej pokój! Gdzie zatem spędziła tę noc? Zawiesiła wzrok na buzującym ogniu. Płonienie wiły się niczym czerwone węże i one właśnie ożywiły jej pamięć. Ujrzała w wyobraźni błyszczące oczy Logana, a potem wszystko inne, co wiązało się z wczorajszym dniem i wieczorem.

Dlaczego zachowywała się wczoraj jak pensjonarka i prawie pozwoliła pocałować się temu obcemu człowiekowi? Bo że on chciał ją pocałować, tego akurat była całkowicie pewna. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Musiała znaleźć jakieś wytłumaczenie swojej wczorajszej słabości. To prawda, była wyczerpana walką z zamiecią, mrozem i jakoś dziwnie przełknięta. W niezwykłych warunkach ludzie potrafią zachowywać się nietypowo. Ale dzisiaj czuła się wypoczęta, zdrowa i pełna energii. Dzisiaj trzymała siebie w ryzach rozumu i woli.

Wstała i rozejrzała się po pokoju. Szare światło dnia

wsączało się przez okna osłonięte sutymi, koronkowymi firankami. Sosnowa podłoga i drewniane ściany błyszcząły czystością i żywicą. Ciężkie, toporne meble, utrzymane w kolorach przydymionego brązu i ciemnych zieleniach, świadczyły o niewybrednym męskim smaku, ale tu i ówdzie trafiała się kryształowa lampa lub pięknie haftowana narzutka, która przydała całości wdzięku i subtelności. W sumie ten obszerny pokój mógł się podobać, a nawet posiadał jakiś niepowtarzalny urok.

Katherine podeszła do okna. Na dworze ciągle szalała zamieć. Za dnia jej wściekłość nie budziła już takiego lęku. Była dzikością poskromioną przez światło. Nawet wiatr zaprzestał swoich groźnych ryków i tylko skomlał niczym postrzelony kojot.

Pomyślała o matce i swoim młodszym bracie. Nie chciała ich utracić. Dość, że ta barbarzyńska kraina zabrała jej ojca. Nie zniosłaby dodatkowego bólu.

Najlepiej byłoby, żeby całą trójką przenieśli się do Filadelfii. Murowany dom i sklep modniarski zapewniłyby im wygodne i dostatnie życie. Ciotka Martha umarła i ktoś musiał zająć się sklepem. Katherine, która najpierw pracowała w nim, a potem, w czasie choroby ciotki, kierowała całym interesem, snuła w związku z zawodem modystki ambitne i dalekosiężne plany. Chciała wprowadzić pewne ulepszenia i podwoić dochody. Miała dopiero dziewiętnaście lat, a już, jak się jej wydawało, znalazła swoje powołanie i swoje miejsce na ziemi.

A jednak rozumiała Daniela, który nie chciał opuścić rancza. Ostatecznie ojciec harował na nim przez ostatnie pięć lat swojego życia. Sprzedać je, znaczyłoby obrócić wniwecz jego pracę, którą pragnął zapewnić

rodzinie lepszą przyszłość. Katherine, podobnie jak jej brat, nie mogła machnąć ręką na ojcowską spuściznę.

Pomyślała o nędznym tchórze, który z zimną krwią zabił jej ojca. Nie chodziło o rabunek, gdyż nie było czego rabować. Nie, ktoś na chłodno zaplanował sobie to morderstwo, by pozbyć się Charlesa Thorna. I ten nędznik, była o tym święcie przekonana, mieszkał tutaj, w Clearwater.

Łzy zakreśliły się w jej oczach. Łzy gniewu, żalu, nienawiści. Ale nie był to czas na dziewczynskie chlipanie. Było zbyt dużo do zrobienia.

Najpierw musiała nauczyć się prowadzić ranczo. Jej matka, cicha i dobra kobieta, nie miała na to dość siły. Daniel, mimo swego młodzieńczego entuzjazmu, miał z kolei zbyt mało doświadczenia w sprawach handlowych. Pozostawała więc tylko ona, bo wynajęcie zarządcy nie wchodziło w grę, chociażby z uwagi na brak pieniędzy. Jako ranczerka mogła korzystać z doświadczenia zdobytego w Filadelfii. Wprawdzie hodowla owiec oraz wyrób i sprzedaż kapeluszy to nie było zupełnie to samo, jednak umiejętność nawiązywania stosunków z dostawcami, nabywcami, bankierami i prawnikami również tutaj mogła się przydać.

Po roku, a najwyżej dwóch latach przekaże wszystko Danielowi i wróci do Filadelfii. Tam było bowiem jej miejsce i do tego miasta uciekała myślami w marzeniach.

Nagle usłyszała za ścianą jakieś ściszone głosy, a zaraz potem brzęk upuszczonej fajerki. Wyposzczony żołądek znów zaczął domagać się swych praw. Zebrała więc dół zbyt długiej sukienki i uspokoiwszy nerwy głębokim oddechem, otworzyła drzwi prowadzące do sąsiedniej izby.

Logan wyglądał przez okno i był w tej chwili zwrócony do niej tyłem. Miał na sobie zieloną koszulę i czarne obcisłe spodnie. W ubraniu tym zdawał się być jeszcze bardziej barczysty i długonogi niż wczoraj.

Przy kuchni stała jakaś kobieta i właśnie wsuwała do pieca brytfankę z ciasteczkami. Jej zwinięte w kok czarne włosy zaczęły już siwieć. Gdy na widok Katherine gwałtownie się wyprostowała, okazało się, że ma niewiele ponad półtora metra wzrostu.

- Dzień dobry - powiedziała dziewczyna z nerwowym uśmiechem. Nie była pewna przyjęcia. Na-leżała do rodziny, której w okolicy nie darzono sympatią.

Logan odwrócił się, a kobieta wytarła w fartuch ręce.

- Dzień dobry - odparła. Prawie matczyzny uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Proszę, siadaj - wskazała na jedno z krzeseł przy drewnianym, sfatygowanym już cokolwiek stole. - I jak się dzisiaj czujesz, moje dziecko? Wczoraj martwiliśmy się trochę o ciebie.

- Dziś jestem całkiem... - zaczęła Katherine.

- Wielki Boże, ty nie masz nic na nogach!

Katherine spojrzała w dół i zobaczyła swoje obnażone stopy. Wyglądała jak półdzikuska, która wprawdzie zgodziła się na noszenie sukienki, ale woli chodzić boso.

- Musisz natychmiast coś włożyć. Od tej podłogi strasznie ciągnie. Logan przyniesie pannie Thorn jakieś skarpetki.

- Z przyjemnością - odparł i wymaszerował z kuchni. Gdy przechodził obok Katherine, zauważyła, że jest świeżo ogolony, a jego krucze włosy lśnią od brylantyny.

Wrócił prawie natychmiast, jakby dokładnie wiedział, gdzie szukać tych skarpetek. Przyniósł białe i grube. I zanim Katherine zdążyła zaprotestować, starsza kobieta uklękła i sama włożyła je jej na stopy. Wstając, uśmiechnęła się. Wokół jej niebieskich oczu potworzyły się zmarszczki. Katherine odpowiedziała jej takim samym, pełnym sympatii i serdeczności uśmiechem.

- Ten demon energii to moja cioteczka, Mary Rosa - powiedział Logan, otaczając ramieniem drobną kobietę i przytulając ją do siebie. - Jest najlepszą kucharką w całym stanie. Tylko dzięki niej żyję, a spośród żyjących jestem bodaj najlepiej karmiony.

- Ani słowa więcej, ty draniu! - Mary Rosa trzepnęła Logana po dłoni. - Wyęczasz się starą ciotką, podczas gdy to żona powinna już od dawna dla ciebie gotować.

- Dobrze wiesz, cioteczko, że ożeniłbym się z dnia na dzień, gdybym tylko spotkał kobietę tak urodziwą jak ty!

- A to hultaj - stwierdziła Mary Rosa, trzęsąc się ze śmiechu. - Lepiej go nie słuchać, panno Thorn.

- Mam na imię Katherine.

- Dziękuję, Katherine. Ciasteczka zaraz się upieką. A na śniadanie zrobię jajecznicę. Napijesz się kawy czy herbaty?

- Poproszę o kawę. I z przyjemnością pomogłabym pani przygotować śniadanie.

- Siedz, gdzie siedzisz i nie ruszaj się. Jesteś tu po raz pierwszy i czuj się gościem. Za drugim razem, jeśli zechcesz nas odwiedzić, sama dam ci fartuch.

Powiedziawszy to, Mary Rosa furknęła spódnicą i zaczęła się krzątać. Do stołu dosiadł się Logan.

- Zazwyczaj naszym gościom proponujemy specjalny pokój, ale zasnęłaś tak szybko, panienko, że nie miałem serca cię budzić. - Pochylił się nad blatem i dodał ściszym głosem: - Wołałem popatrzeć sobie trochę na uśpioną piękność.

Katherine poczuła, że się czerwieni. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, podeszła do nich Mary Rosa z parującym kubkiem.

- Kawa powinna pobudzić twoje serduszko, ptaszyno. Mało co wczoraj nie zamarzałaś. Słyszysz, jak wieje i huczy? Mam już dość tej zimy. Kocham lato, słońce i kwiaty. Jeszcze wczoraj rano myślałam, że niebawem wyjdę do ogródka z motyką i szpadlem.

- Mówiąc o lecie i słońcu, przypomniałaś mi mimo woli, cioteczko, o tej wodzie na kąpiel - powiedział Logan. - Pójdę sprawdzić, czy już się zagrzała.

- Pomyśleliśmy o kąpeli dla ciebie, Katherine - wyjaśniła Mary Rosa.

- Och, nie! I tak już sprawiłam masę kłopotów.

- Nic nie wiem o żadnych kłopotach. - Kobieta nachyliła się ku Katherine i dodała konspiracyjnym tonem: - To on wziął wszystko na siebie - wskazała palcem na drzwi i zachichotała.

Katherine odpowiedziała jej perlistym śmiechem. Towarzystwo tej przemiłej starszej pani stanowiło wspaniałą odmianę po wczorajszych przejściach.

- Serdecznie dziękuję za wszystko, co państwo dla mnie zrobiliście. Chciałabym tylko zapytać, czy widzi pani jakąś możliwość powiadomienia mojej rodziny, że jestem tutaj bezpieczna i zdrowa?

- Rozumiem, kochanie. Żyjemy w czasach, kiedy mądrzy ludzie z myślą o ułatwieniu życia innym wpadają na różne zabawne pomysły. Niestety, nie mamy wy-

nalazku pana Bella zwanego telefonem. Ale nie trap się, moje dziecko - poklepała Katherine po dłoni. - Twei najbliżsi żyją w Wyoming nie od dzisiaj. Wiedzą, co to zamieć. Jestem przekonana, że poczekają na zmianę pogody, zanim zaczną cię szukać. A wówczas będziesz już w domu - wstała, odsuwając z chrobotem krzesło. - Tymczasem musisz jednak wziąć kąpiel. Kiedy skończysz, śniadanie będzie już na ciebie czekało.

Przeszły z kuchni do obszernej sieni, a następnie przez jedne z licznych drzwi do przytulnego, nagrzanego pomieszczenia, gdzie na niewielkim piecyku stała kadź z gotującą się wodą. Logan czerpał z niej rondlem i napełniał głęboką, miedzianą balię. Unosząca się para pokryła rosą wiszące na ścianie lustro. Dwie lampy naftowe o rżniętych kloszach słały łagodne światło, które muskało błękitny plusz podłużnej ławeczki i aksamit kotary takiego samego koloru, zasłaniającej okno. Piaskowożółte kafle posadzki nasuwały na myśl nadmorską plażę. Aż chciało się zrzucić odzienie i pływać.

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęła Katherine z zachwytem w głosie. - Nie widziałam jeszcze niczego takiego.

- Przerobiliśmy ten pokój na łazienkę pod naciśkiem mojej matki - wyjaśnił Logan, sięgając po dzban z zimną wodą. - Spędza tu każdego roku letnie miesiące i twierdzi, że pobyt na ranczo wcale nie musi się wiązać z doświadczeniem, cytując: „prymitywizmu i barbarzyństwa”.

- Myślę, że polubiłabym pana matkę.

- Cóż, my, McCloudowie, jesteśmy całkiem miłą bandą - powiedział, przymykając porozumiewawczo

jedno oko. - Gdybyś mnie potrzebowała, panienko, to będę w kuchni.

Wyszedł, ale jeszcze przez chwilę pozostał w jej myślach. Niewątpliwie w rozmowie z nią był zbyt bezpośredni i swobodny, ona zaś z pewnością była nim zbyt zaintrygowana. Fascynowała ją nawet forma, w jakiej się do niej zwracał. Skoro lubił nazywać ją „panienką”, to ona nie miała nic przeciwko temu.

- Twoje rzeczy leżą na stoliku - głos Mary Rosy dobiegł jakby z drugiego końca domu.

Katherine oderwała się od swoich myśli. Spojrzała na starannie uprasowaną spódnicę i bluzkę.

- Bardzo pani dziękuję. Doprawdy, nie spodziewałam się... Właściwie sama nie wiem, czego się spodziewałam. Chcę powiedzieć, że hodujemy owce, a pan McCloud, podobnie jak wszyscy inni ranczerzy, bydło...

- Jesteś naszym gościem, kochanie - Mary Rosa wysunęła górną szufladę szafki i wyjęła z niej puszysty, biały, kąpielowy ręcznik.

- Nieproszonym gościem - uściśliła Katherine.

- Nie widzę tu żadnej różnicy - ręcznik znalazł się obok spódnicy i bluzki.

- Słyszałam, że niektórzy hodowcy bydła są bardzo trudni w sąsiedzkim współżyciu.

- To prawda.

Katherine zawahała się. Chciała powiedzieć więcej, lecz zawsze istniała możliwość, że do tych „trudnych” należał również Logan.

Mary Rosa uśmiechnęła się pobłaźliwie, jak gdyby czytała w jej myślach.

- Logan to dobry chłopak - w jej głosie wyraźnie brzmiała nuta dumy. - Gdybym miała syna, chciałabym, żeby był do niego podobny. A teraz wskakuj

do balii - wciągnęła nosem powietrze i w jej oczach odmalowała się nieklamana panika. - Wielkie nieba, moje ciasteczka! - zafurkotała spódnicą i już jej nie było.

Reakcja starszej pani była tak zabawna, że Katherine długo nie mogła powstrzymać chichotu. Następnie rozebrała się i zanurzyła w rozkosznie ciepłej wodzie. Balia była na tyle duża, że mogła się wyciągnąć. Poczula się w siódmym niebie.

Bosko, pomyślała.

Kiedy Mary Rosa wpadła jak burza do kuchni, brytfanka z ciasteczkami była już wyjęta i znajdowała się na stole.

- Złoty z ciebie chłopak - wysapała, przyciskając dłoń do falującej piersi i próbując uspokoić oddech.

Logan uśmiechnął się i pogładził ciotkę po siwujących włosach.

W tym momencie drzwi otworzyły się i w podmuchu mroźnego wiatru wszedł Pete, zarządca. Zdjął kapelusz i otrzepał go ze śniegu o udo. To samo zrobił z kurtką, którą następnie powiesił przy drzwiach na gwoździu.

- Diabli nadali z tą zamiecią - powiedział. Mimo ponad dziesięciu lat spędzonych w Wyoming jego teksaski akcent był aż nadto wyraźny.

Mary Rosa skrzywiła się i tupnęła nogą. Pete spojrział na topniejący na podłodze śnieg. Stropił się i wybąkał przeprosiny.

- Co mi po twoim „przepraszam"! Lepiej weź szmatę i wytrzyj tę kałużę.

Zarządca przyjął te słowa niczym rozkaz wydany

przez generała. Kiedy już go wykonał, rzucił okiem na ciasteczka.

- Widzę, Logan, że przerzuciłeś się na kucharzenie. McCloud potraktował tę uszczypliwość z dobroduszną wielkodusznością.

- Radziłbym ci mieć się na baczności, Pete - napełnił kawą dwa kubki, po czym jeden wręczył zarządcy. - Jeśli będziesz krytykował wypieki mojej cioteczki, przepędzi cię stąd, choćby i w tę śnieżycę.

- Tylko nie ruszaj mi tych ciasteczek - Mary Rosa pogroziła Pete'owi palcem.

- Czy to oznacza, że nie dostanę ani jednego? - Pete zrobił minę chłopca-sieroty okładanego właśnie kijem.

- Jeśli zachciewa ci się słodkości, to poproś o nie Cookie. - Mary Rosa wsparła ręce o biodra.

- Czy chcesz, Pachnący Kwiecie Róży, żebym truś się zakalcowatymi wypiekami tego bęcwała?

- Ileż razy, ciemnoto, mam ci przypominać, żebyś mnie tak nie nazywał?! - Mary Rosa spiorunowała Pete'a wzrokiem, po czym chwyciła puszkę z woskiem do nabłyszczania mebli i wypadła z kuchni.

Dopiero teraz obaj mężczyźni pozwolili sobie na rubaszny rechot. Natychmiast jednak spowaźniali, słysząc wzmożony skowyt wiatru i dzwonienie szyb.

- Ta śnieżycyca narobi piekielnej szkody - zauważył Logan z troską w głosie. - Padnie dużo bydła

Pete pokiwał głową.

- Jeżeli utrzyma się dłużej, może zepchnąć stada na południe nawet o sto lub dwieście kilometrów.

- Nie sposób zgadnąć, ile potrwa. Może dzień, a może nawet tydzień - Logan ścisnął swój kubek, jakby chciał go zmiażdżyć w dłoniach.

- Człowiek jest tu bezsilny - Pete podszedł do okna i zapatrzył się na białe tumany. - Jeżeli wiatr nagoni bydło na parowy i kaniony, stracimy setki sztuk - odwrócił się ku Loganowi. - Aż strach pomyśleć o Slimie, który objeżdża teraz granice.

- Wam, chłopcom z Teksasu, zawsze zbywało na zdrowym rozsądku - rzekł McCloud, próbując rozładować napięcie.

Pete uśmiechnął się kącikami warg.

- Gdybyśmy mieli trochę oleju w głowie, nie ugalilibyśmy się za krowami w mróz i spiekotę. Stalibyśmy za kontuarem jakiegoś sklepiku i liczyli pieniądze - podszedł do stołu i usiadł.

- Wiesz dobrze, że nie wytrzymałbyś w takim dużym kojcu ani tygodnia.

- Mógłbym przynajmniej spróbować. - Pete spojrział na brytfankę. - Tak jak tych ciasteczek. Od ich zapachu aż ściska się człowiekowi żołądek. Czy one są na jakąś okazję?

- Tak.

- Rano, kiedy poszedłem zajrzeć do tej kłaczy, którą przywiozłeś ze Wschodu, zobaczyłem w stajni jeszcze jakąś kasztankę - Pete wziął ciasteczko i posmarówał je dżemem.

- I co z moim pełnej krwi nabytkiem? Jak sądzisz, kiedy zacznie się żrebić? - zapytał Logan, unikając zasadniczego tematu.

- Nie ma jeszcze żadnych sygnałów.

- Wpadnę później do stajni i przyjrzę się jej dokładnie.

Pete schrupał ciasteczko niczym rekin szprotkę.

- A co z kasztanką?

- A co niby ma być?

- Słuchaj, jeżeli nie chcesz gadać o tym koniu, to po prostu powiedz mi o tym.

- Thorn - rzucił Logan głosem bez wyrazu.

- Co? - Pete odstawił kubek z kawą.

- Katherine Thorn. Kasztanka należy do niej.

- Czy mówisz o tych Thornach?

Logan kiwnął głową.

- A co tę wdowę przygnało w taką śnieżycę?

- Mówimy o córce Thorny.

- Nie wiedziałem, że miał córkę - powiedział Pete z zaciekawieniem w głosie. - Jaka ona jest?

- Niezwykła.

- Widzę, że nie odbiegasz daleko od prawdy.

McCloud przesunął wzrok za spojrzeniem Pete'a.

W drzwiach stała Katherine. Była to ta sama Katherine, którą wczoraj tulił w ramionach, a przecież jednocześnie zupełnie inna. Jej ciasno spleciony warkocz, który niczym złocisty wąż sphywał aż do samej talii, oraz bluzka o wysokim, sztywnym kołnierzyku nadawały dziewczynie powagi i dostojności. Chociaż była średniego wzrostu, przez swą wyprostowaną postawę wydawała się strzelista niczym topola. Z jej bioder sphywała dziwna spódnica o niepokojącym rozcięciu pomiędzy nogami. Rozcięcie to prowokowało i zaprzeczało szlachetności głowy, piersi i ramion. Katherine była w jednej osobie aniołem i kusicielką.

Pete głośno zakasłał. Logan ocknął się z zapatrze-
nia i zerwał na równe nogi.

- Proszę mi wybaczyć, panno Thorn. Zachowuję się jak prostak. Czy nie zechciałaby pani przyłączyć się do nas?

Na twarzy Katherine pojawił się niepewny uśmiech.

- To ja przepraszam, że przerwałam panom rozmowę. Poczekam obok, w salonie.

- Żadna tam rozmowa, panno Thorn. Po prostu gadamy sobie na różne tematy.

Kiwnęła głową i podeszła do krzesła, które Logan zdążył już dla niej wysunąć spod stołu.

- Pozwoli pani przedstawić sobie mojego zarządcę, Pete'a Watkinsa.

Mężczyzna uniósł się z krzesła i szarmancko trzasnął obcasami. Katherine obdarzyła go uśmiechem.

- Jak to się stało, że nie spotkaliśmy się dotąd, panno Thorn?

- Ostatnie cztery lata spędziłam w Filadelfii.

Pete nagle spowaźniał.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca.

- Serdecznie dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy.

Na szczupłą, wychłostaną wiatrem twarz Pete'a znów powrócił uśmiech.

- Nie sposób być nieuprzejmym wobec tak pięknej damy.

Logan zmarszczył brwi. Jego przyjaciel poczynił sobie stanowczo zbyt swobodnie. Ten teksaski kowboj zawsze zabierał się do kobiet z naturalnym wdziękiem dziecka prairii. Czy była to córka wędrownego kaznodziei, czy dziewczyna z saloonu - nie robiło mu żadnej różnicy. McCloud do tej pory sekundował tym załotom, bawiąc się na całego. Ale tym razem nie było mu do śmiechu.

- Przypuszczam, że nie miała pani dotąd okazji poznać naszych stron. Przykro mi, że pani pierwsze spotkanie z Wyoming wiązało się z bolesnym przeżyciem.

Ale kiedy ustąpią te chmury, przekona się pani, że życie tutaj ma swoje uroki.

- Jestem tego pewna, panie Watkins. I dlatego z niecierpliwością wyglądam wiosny.

Pete śmiało spojrzął w jej oczy.

- Można by wtedy pomyśleć o polowaniach na płową zwierzynę. A jeśli strzelanie do jeleni i saren nie sprawia pani przyjemności, to są tu cudowne miejsca, gdzie można wędkować. Ale widzę, że tym również nie wzbudziłem pani zainteresowania.

- Przeciwnie, lubię łapać ryby.

Watkins ucieszył się jak smarkacz, który dostał od ojca kucyka.

- W takim razie postanowione. Gdy tylko pogoda się poprawi, wybierzemy się nad rzekę.

- Pete - wtrącił się do rozmowy Logan - czy nie uważasz, że należałoby zajrzeć do tej żrebnej klaczy?

- Po co? Przecież wiesz, że dopiero do niej zaglądałem. - Mówiąc to, Pete nawet nie spojrzął w kierunku swego pracodawcy.

Logan wstał, z hałasem odsuwając krzesło.

- To było godzinę temu. Przez ten czas sytuacja mogła się zmienić. Idź do niej teraz - wbił w kowboja wzrok, ale ten ani myślał ruszać się od stołu.

Zapukano w drzwi. McCloud aż syknął z irytacji. Czyżby wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, żeby nawet na chwilę nie mógł zostać sam na sam z tą dziewczyną?

- Wejść! - krzyknął z taką wściekłością w głosie i na twarzy, że Pete i Katherine obrzucili go zdumionymi spojrzeniami.

Orzepując śnieg z butów, wszedł Shorty, jeden z kowbojów.

- Pete, lepiej, żebyś przyszedł. Dana zdzielił kopytem jego własny koń. Wygląda na to, że trzeba będzie go pozszywać.

Zarządca skrzywił się, mruknął coś pod nosem, po czym nie śpiesząc się, podszedł do drzwi i sięgnął po kapelusz i kurtkę.

- Cóż, panno Thorn, szkoda, że nie możemy dłużej pogawędzić. Miło mi było panią poznać. Mam nadzieję, że zanim opuści pani to ranczo, zobaczymy się jeszcze. I proszę nie zapominać o wyprawie na ryby - nacisnął kapelusz i dotknął rónda palcami, jakby salutując.

- Ja również cieszę się z poznania pana, panie Watkins - powiedziała Katherine z uśmiechem. - I na pewno nie zapomnę o rybach.

Pete stuknął obcasami i wypychając przed sobą Shorty'ego, dał nura w śnieżyce.

- Nareszcie sami - mruknął Logan.

- Słucham? - Katherine uniosła ku niemu pytające spojrzenie.

- Zapytałem, czy jesteś głódna, panienko.

- Zjadłabym konia z kopytami.

- Myślę, że możemy temu natychmiast zaradzić. Oczywiście, nie dosłownie. - Wraz z wyjściem Pete'a Logan odzyskał humor.

Podszedł do kuchni i wziął z nagrzanego blatu nakryty płócienną serwetą fajansowy talerz. Postawił go przed Katherine i odsonił. Jej oczom ukazały się ociekające tłuszczem kiełbaski, smażona szynka oraz pokrajane w plastry, przyrumienione ziemniaki.

- Mary Rosa powiedziała, że jeśli tego będzie za mało, to w okamgnieniu usmaży jeszcze jajecznicę.

- Ależ ja nigdy dotąd nie miałam przed sobą tyle

jedzenia - powiedziała Katherine, przełykając ślinkę.

- Jajecznica na pewno nie będzie potrzebna. Czy zje pan razem ze mną?

- Jestem już po śniadaniu. Ale dotrzymam ci towarzystwa, panienko.

Nie namyślając się dłużej, sięgnęła po widelec i nóż. Szynka wręcz rozpuszczała się w ustach, ziemniaki chrupały, kielbaski drażniły nozdrza ostrymi przyprawami. Dopiero nasyciwszy pierwszy głód spojrzała na Logana.

Nie miała powodu nie wierzyć, że już jadł śniadanie, a jednak spoglądał na nią z taką wygłodniałą poządlivością, jakby to ona była do zjedzenia. Nie cierpiała takich spojrzeń. Krępowały ją i w pewnym sensie upokarzały. Lecz równocześnie musiała przyznać, że tym razem odczuła jeszcze coś, jakieś wewnętrzne ciepło w okolicy serca, które błyskawicznie rozlało się po całym ciele.

Na szczęście w tym momencie wparadowała do kuchni Mary Rosa, niosąc całe naręcze brudnej bielizny.

- Czy już zjadłaś śniadanie, Katherine? - zapytała, uwalniając się od ciężaru, który złożyła na podłodze.

- Ten pusty talerz mówi zresztą za ciebie. A teraz zmykajcie stąd. Czeka mnie mała przepierka i nie chcę was tu widzieć.

- Proszę pozwolić mi sobie pomóc - powiedziała Katherine. - Nie przywykłam siedzieć z założonymi rękami, kiedy ktoś inny obok mnie pracuje.

Mary Rosa pogładziła dziewczynę po ramieniu.

- Z tym szybko się uwinę, więc co najwyżej możesz pomóc mi później przy pieczeniu ciasta - z miny starszej kobiety wynikało, że wszelką dalszą dyskusję uważa za zbędną.

Katherine i Logan przeszli do salonu z kominkiem.

- Mary Rosa to bardzo samodzielna osobka. Kuchnię traktuje jako swoje wyłączone imperium. A poza tym, jeśli chcemy mieć dzisiaj to ciasto, a ja przyznaję, że mam na nie ochotę, to lepiej jej nie drażnić - powiedział Logan, wskazując Katherine dobrze jej znaną skórzaną kozetkę.

Ona jednak wolała usiąść w wysokim, obitym zielonym welurem fotelu. Pomyślała, że tak będzie bezpieczniej.

Mężczyzna stanął przy kominku i oparł się o gzyms. Przez chwilę jedynym dźwiękiem w pokoju było trzaskanie palących się polan i wycie wichru za oknem.

- Wołę, gdy masz je rozpuszczone - odezwał się po chwili.

- Co? - Jego słowa zaskoczyły ją. Zlewały się z wiatrem i szumem ognia.

- Twoje włosy, panienko. Lubię, gdy okalają twoją twarz i spływają na nagie ramiona. Tak jak ubiegłej nocy.

Odruchowo dotknęła warkocza. Zawstydziała się swego ruchu. Wstała gwałtownie. Gorączkowo szukała jakiegoś innego tematu do rozmowy.

- Podoba mi się pana dom.

- Dziękuję. Wnętrza urządziła moja matka - wskazała ręką na portret, wiszący na ścianie. - Jakkolwiek to i owo udało mi się zrobić samemu.

Katherine była pewna, że to nonszalancko wypowiedziane „to i owo” nie stanowiło bynajmniej małego wkładu. Po prostu czuła w niektórych rzeczach rękę Logana. Podeszła do obrazu, z którego spoglądała na nią czarnowłosa piękność.

- Namalowany został w okresie narzeczeńskim,

pół roku przed ślubem moich rodziców - Logan opuścił dotychczasowe miejsce przy kominku i usiadł na kozetce.

Katherine przeniosła wzrok z portretu na oprawne w srebrne ramki zdjęcie w kolorze sepii, stojące na gzymsie kominka.

- Czy to ktoś z pana rodziny?

- Tak. Moja młodsza siostra, Cassie, i jej mąż John, w dniu ich ślubu. Mieszkają w San Francisco. W tej chwili przebywa razem z nimi moja matka, gdyż Cassie oczekuje drugiego dziecka i potrzebuje opieki - Logan założył nogę na nogę. - Ale mówiąc między nami, moja matka potrzebowała jakiegoś pretekstu, by wyjechać do San Francisco i znalazła właśnie ten. Podejrzewam, że teraz psuje i rozpieszcza mojego siostrzeńca.

Katherine zaśmiała się.

- Przywilejem każdej babci jest rozpieszczać swoje wnuczki - odłożyła ślubne zdjęcie i wzięła do ręki następną. - A na tym zapewne są pana rodzice?

- Tak. Mój ojciec zmarł osiem lat temu.

Piękna para, pomyślała Katherine. Jasnowłosa, wysoki mężczyzna w wojskowym mundurze stał obok kruchej, elegancko ubranej kobiety. Mieli poważne twarze, ale w ich oczach widoczny był uśmiech i szczęście. Nagle ożyła w niej tęsknota za własnym ojcem. Me zostawił po sobie ani jednego zdjęcia. Mogła przypominać go sobie, wpatrując się jedynie w wizerunek, jaki pozostawił w jej pamięci i kochającym sercu.

Głos Logana zakłócił tok jej myśli.

- A teraz powiedz mi, Katherine, dlaczego przez te ostatnie cztery lata mieszkałaś w Filadelfii, a nie tutaj?

- Pojechałam do siostry ojca. Zapadła na zdrowiu i potrzebowała kogoś, kto zająłby się nią oraz jej sklepem z kapelusami. Umarła kilka miesięcy temu. Z całej rodziny pozostaliśmy więc tylko my troje: Daniel, mama i ja.

- To był dla ciebie smutny rok, aniele - zauważył ze szczerym współczuciem w głosie.

Poczuła, że jej serce przyśpiesza. Spuściła głowę.

Ale po chwili musiała ją podnieść, gdyż Logan podszedł i ujął ją pod brodę. Spojrzała w jego niezgłębione oczy. Błyszczały w nich dalekie światelka. Poczuła się jak zahipnotyzowana. Rozkoszna bezwładność zaczęła wsączać się w nią.

- Któż dzieli twój smutek, aniele? - zapytał lekko zachrypniętym, niższym do szeptu głosem.

Odpowiedź mogła być tylko jedna: oprócz najbliższych, nikt.

Logan zdawał się to odgadywać. Jego spojrzenie nabrało kojącej, pieszczotliwej miękkości. Nieoczekiwanie stał się bliski jej ciału i jej zbolałemu, samotnemu sercu. Ale tym bardziej musiała się bronić. Przecież nie mogła rzucić mu się w ramiona, niczym dziewczyna z saloonu. Musiała przystać na swoją samotność i czerpać z niej siłę. Taki był los jej i jej rodziny w tej krainie bydła i bezwzględnych ranczerów.

Cofnęła się o krok i podeszła do okna. Musiała jak najprędzej wyrwać się z tej pułapki.

- Zawierucha osłabła - powiedziała możliwie najspokojniej.

- A ja myślałem, że raczej przybiera na sile.

Słowa te zbiły ją z tropu. Brzmiały całkiem niezrozumiale. Odwróciła się i pytająco spojrzała na Logana.

Uśmiechnął się.

- Jeśli mówisz o tym, co się dzieje za oknem, panienko, to wiatr faktycznie zelżał.

- Być może będę mogła jeszcze dziś wrócić do domu.

Poruszył się niespokojnie.

- Nie uważam tego za dobry pomysł.

- Sam pan przyznał, że wiatr osłabł. Ktoś z pańskich ludzi mógłby mi towarzyszyć.

- Przede wszystkim musi przestać padać śnieg.

- Trochę się uspokoił, a nasze rancza dzielą tylko dwie godziny drogi - nalegała, próbując przeforsować swoją ucieczkę.

Zmarszczył brwi.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, panienko, że dwie godziny drogi w pogodny, suchy dzień mogą okazać się sześcioma lub ośmioma godzinami uciążliwej wędrówki przez śnieg i zaspę. Poza tym zawsze istnieje możliwość zabłądzenia.

- Ale...

Doskoczył do niej jak żbik. Jego oczy pały gniewem.

- Kobieto, czy ty w ogóle mnie nie słuchasz? Czy już zapomniałaś, że wczoraj o mało co nie zamarzałaś na śmierć? - równie szybko jak się rozgniewał, tak szybko gniew go opuścił, ustępując miejsca rozbawieniu. - A może nie pamiętasz również minionego wieczoru? Bo ja pamiętam każdy najdrobniejszy szczegół.

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Jak pan śmie...

- Co się tutaj dzieje? - dobiegł ich głos Mary Rosy. Starsza pani spoglądała na nich z niepokojem w oczach.

- Nic. Rozmawiamy o pogodzie - odparł Logan z tym swoim nieokreślonym uśmiechem, po czym szybkim krokiem wymaszerował z salonu.

- Co go napadło? - zapytała Mary Rosa, podchodząc do Katherine.

3

McCloud chwycił kozuch, zarzucił go na ramiona i wyszedł na ganek. Tutaj uśmiechnął się do siebie. Ta dziewczyna, ta córka owczarza bez wątpienia miała charakter. Potrafiła ustanowić dystans, którego on, Logan, nie mógł pokonać jednym susem. Zbliżał się więc do niej małymi kroczkami, drażnił ją, badał i osaczał. I zdaje się, że w tej rozgrywce miał nawet spore szanse. Wszak kropla wody draży skałę.

Zszedł z ganku i ruszył do długiego, mieszkalnego baraku, którego oba kominy zwieńczał siwy dym. Wiatr nadal dmuchał, lecz już nie zwał z nóg. Śnieg sięgał powyżej kolan, ale w niektórych miejscach potworzyły się zasy powyżej głowy. Na białym tle ciemniały jedynie płaszczyzny ścian budynków. Wszystko poza tym zostało przysypane. Świat nagle stał się bardzo ubogi, sprowadzony tylko do dwóch kolorów: bieli ziemi i ponurej szarości nieba.

Logan wyczyścił buty, otrzepał spodnie i wszedł do dużego pomieszczenia, a właściwie sali, gdzie pod ścianami ustawiono pięćdziesiąt prycz i koi. Z haków i kołków zwisały lassa i wierzchnie ubrania. Ktoś dokładał do pieca, kilku mężczyzn spało, reszta grała w karty. Co i raz rozlegał się chrapliwy śmiech lub padało przekleństwo. Zapach tytoniu i niemytych ciał unosił się w powietrzu.

Niewielki pokój zarządcy znajdował się tuż przy

drzwiach. Od ogólnej sali oddzielało go przepierzenie z desek. Logan zajrzał do środka, ale nie było tam Pete'a. Zarządca siedział wraz z grupą kowbojów na drugim końcu sali. McCloud wszedł między prycze. Niektórzy mężczyźni pozdrawiali go. Nagle uwagę jego zwróciła głośna salwa śmiechu, dobiegająca z prawej strony.

- To cholerne zimnisko bynajmniej nie wszystkim doбира się do tyłka - powiedział do kumpli krótko ostrzyżony typ odsłaniając w obleśnym uśmiechu zepsute zęby. - Słyszałem, że szef przygarnął sobie córkę o czarza i ta go grzeje pod kołdrą.

Uśmiech zamarł na twarzy pastucha, gdy Logan chwycił go za kamizelkę, poderwał z koi i cisnął nim o ścianę.

Wszystkie głosy zamilkły, zapanowała głucha cisza. Tym dobitniej zabrzmiały w niej słowa Logana:

- Jesteś tu nowy, więc pozwól powiedzieć sobie, że nie cierpię dwóch rzeczy: syczących węży i skomlących psów. Ty przypominasz mi jedno i drugie. W moim domu gości pewna d a m a . Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że mówisz o niej bez należytego szacunku, to nie rękę za twoje zdrowie. Dotyczy to również wszystkich innych, słuchających mnie teraz.

Kowboj z trudnością przełknął ślinę i rozejrzał się po twarzach, jakby oczekując od towarzyszy wsparcia i pomocy.

- Czy zostałem zrozumiany? - zapytał McCloud głosem cichym niczym powiew śmierci.

- Tak - bąknął mężczyzna.

Logan cofnął się o krok i odwrócił. Zobaczył tuż przed sobą twarz Pete'a.

- O co chodzi?

- Drobne nieporozumienie. Szukałem ciebie - Logan położył dłoń na ramieniu przyjaciela i skierował się z nim ku drzwiom.

Wyszli na dwór, lecz zarządca zaraz wrócił po kurtkę i kapelusz. W tym momencie zbesztany kowboj pełnym głosem dał wyraz swojej wściekłości:

- Zarozumiały szczeniak. Odtąd powinien dobrze uważać, gdy do mnie podchodzi.

Pete zatrzymał się. Wiedział, że Loganowi lepiej nie wchodzić w drogę. Znał jego szybkość i zręczność w posługiwaniu się rewolwerem. Podszedł więc do miotającego groźby mężczyzny i powiedział:

- Ten „szczeniak” nie rzuca słów na wiatr. Możesz uważać się za ostrzeżonego.

Następnie, nie czekając na reakcję tamtego, szybkim krokiem opuścił barak. Dogonił Logana przed domem.

- Jeden z twoich ludzi nie umie trzymać języka za zębami - powiedział McCloud. - Nie chcę, by wycierano sobie gęby nazwiskiem tej damy.

- Jasne. Pozbędę się gościa.

Logan potrząsnął głową.

- Nie trzeba. Po prostu miej go na oku. Myślę, że przynajmniej część z tego, co mu powiedziałem, wziął sobie do serca.

Watkins uśmiechnął się szeroko.

- Ja też tak myślę. Potrafisz gadać z ludźmi - przytrzymał ręką kapelusz, gdyż dostali się w gwałtowny wir śnieżny. - Ale o czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Logan, zamiast schronić się pod daszek ganku, nagle skręcił i obrał kierunek na stajnię.

- Przyjdź do mnie o trzeciej po południu, to zastanowimy się wspólnie, jak otoczyć i spędzić stada.

Weź ze sobą Ralpha, Billa i Cookie'ego. A teraz zajrzyjmy do naszej klaczy. Nie chcę niczego przegapić. Ryzyko w tym wypadku może kosztować zbyt dużo.

Weszli do stajni i zbliżyli się do boksu dla żrebnych klaczy. Konie parskały i rżały, podenerwowane poświatami wiatru.

W obszernym pomieszczeniu stało przepiękne zwierzę. Jego wielkie brązowe oczy błyszcząły jak złote monety, a czarna sierść na umięśnionym tułowiu była jak jedwab.

Logan pogłodził klacz po grzywie i brzuchu, a potem zajrzał jej pod ogon.

- To już niebawem - zwrócił się do Pete'a. - Nie spraw nam kłopotów, piękna damo - powiedział do klaczy.

- Jeśli już mówisz o kłopotach sprawianych przez damy, to z tamtą w domu będzie ich chyba więcej - zauważył Watkins żartobliwym tonem.

Logan rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Poradzę sobie z nimi - odparł chłodno.

Po południu McCloud siedział w swoim pokoju nad księgą handlową i przerzucał kartki. Ale myślami przebywał przy Katherine Thorn. Wdarła się w jego życie z przysypanych śniegiem i omiatanych wichurą pól. Zaistniała niczym przebiśnieg, pierwszy kwiat wiosny, symbol obietnicy i odrodzenia. Niezwykła - tak ją określił w rozmowie z Pete'em i taka właśnie była. Zamknął księgę i przez chwilę bębnił palcami po okładce. Głos rozsądku podpowiadał mu, aby się nie angażować i zostawić tę dziewczynę samą sobie.

Sama. Sam. Doświadczał od lat, co to znaczy być samemu. Oczywiście, miał rodzinę i od czasu do cza-

su pojawiała się jakaś kobieta. Zdobywanie ich przychodziło mu śmiesznie łatwo. Bądź co bądź, jak twierdziła jego matka, odziedziczył po ojcu jego urok.

Ślub rodziców odbył się w atmosferze skandalu. Oto nieznany kowboj z Teksasu zdobył rękę panny, która pochodziła z jednej z najbogatszych kreolskich rodzin w Nowym Orleanie. Młodzi osiedlili się w Wyoming. Logan pamiętał słowa ojca, który często powtarzał, że mężczyzna powinien opiekować się kobietą, troszczyć się o nią i usłać jej życie różami. Czyny i słowa szły u ojca w zgodzie. Wybudował najpierw dom-rezydencję tu, w krainie bydła, a potem jeszcze większy w Cheyenne.

Logan opadł na oparcie krzesła, pozwalając dalej płynąć wspomnieniom. Jako wyrostek, nazywany był przez niektórych rozpieszczonym synalkiem Jasona McClouda. Wzruszał ramionami, gdyż nie było w tym ani krzty prawdy. Każdy, kto znał Jasona McClouda, wiedział, że wyznaje on zasadę: kto nie pracuje, ten nie je. Trzydzieści dolarów na miesiąc plus wyżywienie, takie były wówczas stawki. Logan miał czternaście lat, kiedy otrzymał swoją pierwszą pensję. Duma rozsadała mu piersi.

Zbudziła go z zamyślenia żałobna skarga wiatru. Podeszedł do pieca w kącie pokoju, dorzucił drewna i dokładnie zamknął drzwiczki. Wystarczyło zapomnieć choć na chwilę o podtrzymywaniu ognia, by zaraz zimno zaczęło panoszyć się na całego.

Zima. Zawsze kojarzyła mu się z samotnością. Zimą przebywał w szkolnym internacie. Nienawidził nauki ujętej w karby szkolnej dyscypliny. Ale nigdy się nie skarżył. Rodzice przykładali wielką wagę do jego wykształcenia.

Mniej więcej o tej porze roku, też na przedwiośniu, otrzymał w Harwardzie telegram, zawiadamiający go o śmierci ojca. Jason McCloud zginął w wypadku pod kołami ciężkiego wozu. I to był ostatni dzień pobytu Logana na uczelni. Wrócił do domu, by przejąć gospodarstwo i zaopiekować się matką i siostrą.

Od tamtego dnia minęło już osiem lat. Był dzisiaj dwudziestoosmioletnim właścicielem niezmiernych akrów ziemi i stad bydła. Matka przeniosła się do Cheyenne, gdzie zamieszkała na stałe. Wybrano ją przewodniczącą rady miejskiej. Logan uśmiechnął się, przypominając sobie jej relację o tym, jak wybór ten przyjęli niektórzy panowie.

Siostra wyszła za mąż. Trafiła na człowieka, którego uwielbiała i który dał jej szczęście. Mówiąc o nim, zawsze twierdziła, że ma nadzwyczajnego męża.

Nadzwyczajny. Niezwykły.

Logan jął chodzić po pokoju. Wyobrażenia podsunęła mu obraz Katherine. Ujrzał błękit jej oczu oraz jasnozłotą burzę przepysznych włosów. Boże, jakże pragnął zanurzyć w nich twarz!

Opadł na fotel. Wczoraj tulił w ramionach bezbronną, zaleknioną, wyczerpaną dziewczynkę, dzisiaj osaczał kobietę, która umiała się bronić i trzymać mężczyznę na dystans. Były więc dwie istoty w jednej, a ileż jeszcze tajemnic kryło się w tym pięknym ciele?

Ale Katherine nosiła nazwisko Thorn. Hodując owce, Thornowie byli pariasami w tej krainie. Interes ten zresztą nie przynosił im dużych dochodów. Wiązali koniec z końcem, a na dokładkę psuli krew hodowcom bydła. Dwa lata temu Logan chciał kupić ich rancho, ale głupi, uparty Thorn odmówił jakiegokolwiek rozmowy na ten temat.

Wraz z jego śmiercią wiele się zmieniło. Teraz tylko naiwni mogli sądzić, że młoda, niedoświadczona dziewczyna i jej brat, który dopiero co puścił matczyną spódnicę, poradzą sobie z prowadzeniem gospodarstwa. Logan miał zamiar zaproponować im cenę, stanowiącą podwójną wartość ziemi i budynków i jeśli Thornowie nie są szaleńcami, zgodzą się na jego warunki.

W międzyczasie on, Logan, zajmie się zgłębianiem niektórych tajemnic Katherine. Nie musi się śpieszyć. Oczekiwanie stanowi część przyjemności.

Nagle na ganku rozległy się przytupywania i męskie głosy. Zapukano do drzwi.

- Wejdźcie, chłopcy.

Do pokoju wkroczyło czterech mężczyzn. Kapelusze i kurtki powiesili na kołkach, po czym trzej z nich zajęli miejsca. Jedynie Cookie pozostał przy piecu, by ogrzać swoje pokręcone artretyzmem dłonie.

- Gdy tylko śnieg przestanie padać - zaczął Logan - wsiądźcie wraz z resztą ludzi na konie. Wichura najprawdopodobniej zepchnęła stada w kierunku południowo-wschodnim - wstał i podszedł do wiszącej na ścianie mapy. - Podzielcie się na dwie grupy. Grupą, która założy obóz w tym miejscu - wskazał palcem punkt na mapie - będzie kierował Cookie.

- Wóz z zapasami jest już gotowy. Chłopaki dzisiaj wymienili koła na płozy - powiedział Cookie.

- Dobrze. Pete, ty swoje instrukcje dostałeś już wczoraj.

Zarządca kiwnął głową na znak potwierdzenia.

- Ralph, ty zajmiesz się obozową grupą. Weź ze sobą Lunatyka i Johnsona. Przydadzą ci się do pilnowania i karmienia koni.

Następne dwie godziny upłynęły na roztrząsaniu szczegółów planowanej obławy. Gdy uporano się z najważniejszym, rozmowa zesłała na luźne tematy.

- Kiedy kilka lat temu - odezwał się George - pracowałem na jednym ranczo na pograniczu stanu, nawiedziła tamte strony również kilkudniowa śnieżycą. Potem okazało się, że siedem tysięcy sztuk bydła zważyło się z piętnastometrowej skały - strzyknął w spluwaczkę śliną czarną od żutego tytoniu. - I wyobraźcie sobie, musieliśmy zakopać całą tę górę cuchnącego ścierwa.

Zapanowało głucho milczenie. Mężczyźni uświadomili sobie bardziej plastycznie, jakie straszliwe szkody może wyrządzić zamieć. Za oknem, jak gdyby do wtóru ich myślom, zawył z chichotem wiatr.

- Przyznam - odezwał się wysoki i chudy Ralph - że cieszyłbym się, gdyby przydarzyło się to owcom. Nienawidzę owiec. Ale było to co innego.

- Miesiąc temu ktoś nienawidzący owiec przestrześlił serce staremu Thornowi - zauważył Pete.

Logan przysiadł na blacie biurka i przesunął wzrokiem po twarzach kowbojów.

- A czy wy, chłopcy, przypadkiem nie wiecie o tym morderstwie czegoś bliższego? - zapytał.

- Żadnych konkretów - odparł Ralph za siebie i pozostałych. - Szefie, gdybyśmy coś wiedzieli, nie ukrywalibyśmy przed tobą - ściągnął krzaczaste brwi.

- Można zabić człowieka w obronie własnej, ale ustrzelić go z zimną krwią, to już pachnie stryczkiem.

- Prawda - zgodził się McCloud. Nie podejrzewał swoich stałych pracowników, by byli zamieszani w to morderstwo. Jednak z myślą o wiosennym spędzaniu stad najęto wielu pastuchów, zaś ludziom po kieliszku

rozwiązują się języki. Gdyby więc ktoś coś chlapnął, to on chciał o tym wiedzieć.

- Kto pociągnął za spust, na razie nie wiadomo - rzekł Pete, wstając i naciskając na głowę kapelusza. - Ten drut kolczasty, którym Thorn otoczył swoje pastwiska, musiał kogoś porządnie rozwścieczyć.

- Trzeba być stukniętym, żeby grodzić otwarte pastwiska - dorzucił Cookie. - Gość myślał, że jak ziemia należy do niego, to może na niej wyczyniać, co mu się żywnie podoba. Otwarte pastwiska to otwarte pastwiska.

Zarządca w zamyśleniu popatrzył na Logana.

- Jedno jest pewne. Ranczerzy na wieść o zabiciu Thorn'a nie popadli w smutek i nie ogłosili żałoby. Słyszałem nawet głosy, że to żadna strata, a może nawet zysk - wbił ręce w kieszenie spodni.

- Rozumiem ich, lecz nie pochwalam. Ktoś uczynił dużo większe zło od tych ogrodzeń z drutu kolczastego - Logan zmarszczył brwi. Do diabła, on i Thorn nie przepadali za sobą, ale sąsiedzkie niesnaski a zimne morderstwo to dwie różne sprawy. - Jeżeli Thornowie zostaną tutaj, będziemy mieli wojnę o pastwiska.

Ostatnie słowa, oprócz czterech mężczyzn, usłyszał ktoś jeszcze. Za uchylonymi drzwiami stała Katherine Thorn. Mary Rosa poprosiła ją, by poszła zawiadomić Logana, że kolacja na stole. Tymczasem to on pierwszy zawiadomił ją o grożącej okolicy wojnie o pastwiska.

Zbladła. Poczula przeraźliwy chłód w sercu. Zapukała i rzuciwszy tylko jedno słowo: „kolacja”, szybkim krokiem poszła w głąb korytarza.

Chłód w sercu nie ustępował. Czyżby zamieć przygnała ją do domu hipokryty i okrutnika?

Usłyszała za sobą swoje imię. Poznała głos Logana.

Odwróciła się gwałtownie. Zderzyli się piersiami, po czym, jak na komendę, odskoczyli od siebie.

- Nie chciałem cię niepokoić. Zaufaj mi - powiedział trochę bez składu i ładu.

Nie wierzyła własnym uszom. Zakręciło się jej w głowie.

- Mam panu zaufać? Planuje pan wojnę o pastwiska i mówi o zaufaniu?!

Niecierpliwie machnął ręką.

- Jeśli już zdecydowałaś się podsłuchiwać, panienko, to trzeba było podsłuchać całą rozmowę. Właśnie próbowałem zapobiec tej wojnie, a nie ją wywołać.

Szukała na jego twarzy czegoś, co by świadczyło, że kłamie. Znalazła jedynie wyraz zatroskania i niepokoju. Lecz ostatecznie uwierzyła nie jego oczom i ustom, tylko własnej intuicji. Odetchnęła z ulgą.

- Nie zamierzałam podsłuchiwać. Drzwi były uchylone.

- Wiem - ujął dłoń dziewczyny i nieprzerwanie patrząc jej w oczy, uniósł do ust. Poczowała delikatne dotknięcie gorących, wilgotnych warg i rozkoszne klucie wąsika. - Katherine - wyszeptał.

I po raz drugi tego dnia przeszła ją jasna błyskawica.

4

Logan usłyszał pukanie. Minęła jednak dobra minuta, zanim uświadomił sobie, że ktoś dobija się do jego sypialni. Otworzył oczy i stwierdził, że już świta. Spuścił nogi z łóżka i namacał kapcie.

- To ja - rozległ się za drzwiami ściszony głos Pete'a. - Czy jesteś sam? Mogę przyjść później.

McCloud skrzywił twarz w kwaśnym uśmiechu i wpuścił zarządcę do środka.

- Oczywiście, że jestem sam. Za kogo ty się właściwie uważasz? Za dozorcę w szkolnym internacie, który łązi po salach sprawdzając, jak prowadzą się chłopcy? Gdybym faktycznie miał tu kogoś, zastrzeżyłbym takiego intruza jak ty.

Pete wydał się rozbawiony, co jeszcze bardziej rozdrażniło Logana, który nie cierpiał rannego wstawania. Na dodatek spał najwyżej dwie godziny, o ile w ogóle można nazwać snem rojenia o niebieskich oczach i skórze gładkiej jak atlas.

Wrócił do łóżka i wsunął nogi pod kołdrę.

- Być może i tak cię zastrzelę - wysapał. W ten właśnie sposób najczęściej ze sobą rozmawiali. Drażniąc się i wzajemnie nękając.

Logan po raz pierwszy spotkał Pete'a w okolicznościach nader niepomysłnych. Leżał właśnie twarzą do ziemi po tym, jak wysadził go z siodła rozhukany koń, gdy usłyszał nad sobą słowa:

- Nigdy pan nie poskromisz tej bestii, jeśli będziesz na niej przysypiał jak na kawaleryjskiej chabecie.

Uśmiechnął się wtedy, przyjął wyciągniętą ku sobie dłoń i powstawszy, otrzepał się z pyłu.

- Nie przysnąłem. Po prostu chciałem dać jej chwilę oddechu, aby wyrównać szanse.

Obaj mężczyźni roześmieli się zgodnie i ten śmiech od razu zbliżył ich ku sobie.

Logan wiedział dużo o bydłe i koniach, Pete wiedział jeszcze więcej. Wspólnie pracując, bawiąc się, a czasami nawet walcząc, dźwignęli to ranczo do rangi hodowlanego imperium. Ich przyjaźń przetrwała tyle prób, iż nabrała charakteru braterstwa.

Toteż Pete dobrze wiedział, jak ma potraktować groźbę szefa.

- Stajesz się leniwy. Za godzinę wstanie dzień. Każdy przyzwoity hodowca o tej porze jest już po śniadaniu. Ale ty w ostatnim okresie wyraźnie zniewieściałeś - powiedział z troską w głosie.

Logan cisnął w niego poduszką. I już chciał dorzucić kilka słów do słuchu, gdy nagle uświadomił sobie, że Watkins mógł przyjść tutaj o tak wczesnej porze tylko z bardzo ważnego powodu.

- Czy zamieć ustała?

Pete odrzucił poduszkę na łóżko.

- Nie, trzyma się dzielnie. Chodzi o klacz. Chyba zdecydowała się wreszcie zobaczyć swoje źrebię.

- No, nareszcie - Logan wyskoczył z łóżka i sięgnął po ubranie. - Tylko dlaczego one zawsze chcą je widzieć w środku nocy?

- Po pierwsze, nie jest to środek nocy - zauważył Pete z uśmiechem - a po drugie, klacze, podobnie jak kobiety, słyną z przewrotności.

- To prawda - zgodził się McCloud, naciągając buty z cholewami. - I jak ona się sprawuje?

- Na oko całkiem dobrze.

- Mam nadzieję, że obędzie się bez zatoru. Inaczej będziemy musieli wyciągnąć z niej żrebaka. - Przeczesał ręką włosy. - Chodźmy. Kurtkę mam w kuchni.

Po chwili szli już przekopaną ścieżką w kierunku stajni. Wiatr tamował oddech i ciskał śniegiem w twarz.

W stajni było cicho i ciepło. Pachniało sianem i końskim nawozem. Klacz leżała w swym boksie na słomie. Jej duże oczy były rozszerzone. Chrapy drżały. Jedwabista sierść zmatowiała.

Inne konie, jakby wyczuwając unoszący się w powietrzu lęk i niepokój, parskwały i grzebały kopytami w ściółce.

Dokładnie przypatrzywszy się klaczy i wsłuchawszy się w jej oddech, Logan ściągnął brwi.

- Coś mi się tu nie podoba. Nawet bardzo... - ściągnął rękawiczki i pogładził klacz po wzdętym i pulsującym brzuchu. - Od jak dawna już leży?

- Stała, kiedy zajrzałem tu pół godziny temu - odparł Pete.

Logan rozważał coś przez chwilę.

- Lepiej skocz do domu po ciepłą wodę...

- Wiem. Jeszcze ręczniki i mydło - dorzucił Watkins, wychodząc z boksu.

Wiatr poświstywał w krokwiach dachu. Klacz parsknęła raz i drugi. Brzmiało to jak skarga. Uniosła łeb i spojrzała na Logana złocistymi oczami.

- Nie denerwuj się, moja piękna - uspokajał ją, klepiąc po smukłej szyi.

Po kwadransie wrócił Pete z kubłem parującej wody. Postawił go na klepisku.

- Mary Rosa już wstała. Obiecała przynieść nam kawę.

- Niezastąpiona cioteczka.

Zarządca wskazał brodą na klacz.

- I jak się do niej zabierzemy?

- Najpierw spróbujmy postawić ją na nogi.

W przypadku złego położenia płodu jest to dużo lepsza pozycja.

W oczach Pete'a odmalował się sceptycyzm. Zwiększył płomień lampy naftowej, po czym podłożył ręce pod zad konia. Logan chwycił za kantar.

- Wstawaj, maleńka! - huknął, ciągnąc za rzemień.

Pete naprężył się niczym kowboj, mocujący się z byczkiem na rodeo.

- Na nic, Logan. Ani drgnęła.

- Widzę - zniecierpliwiony McCloud przesunął dłonią po włosach. Na razie musieli poczekać. Potem ewentualnie podejmą jakieś zdecydowane kroki.

Przez następne pół godziny Logan co chwila spoglądał na swój kieszonkowy zegarek. Okienka w stajni rozwidniły się szarością pochmurnego dnia. Klacz chrapała z utajoną skargą. Na twarzach obu mężczyzn malowało się napięcie, jak gdyby jeden był mężem, a drugi bratem rodzącej w sąsiednim pokoju kobiety. Nagle w ujściu rozszerzonej pochwy pojawiła się zakończona kopytkiem nóżka. Niestety, tylko jedna.

- Cholera! - mruknął Logan. - Druga pewnie jest podwinęta. I doczekaliśmy się kłopotu!

Katherine poklepała dłonią puchową poduszkę. Wszystko ją drażniło i uwierało. W jej sercu szalała burza, podobna pod względem napięcia do zamieci za oknem, tyle że z tropikalnymi wiatrami. Próbowała ją uciszyć, ale nie dostawało jej woli i siły. Widziała jego śmiejące się, czarne oczy. Czuła na dłoni palący dotyk warg. On był źródłem ciepła, które rozprzestrzeniało się na całe jej ciało. Przewróciła się na drugi bok. Za wszelką cenę chciała z powrotem zapaść w sen.

Przeszkodziły jej w tym głosy i kroki na korytarzu. Zaczęła nadśluchować, ale wszystko tłumili ryki wiatru. W końcu uznała, że musiała się przesłyszeć.

Sen jednak uleciał bezpowrotnie. Przez chwilę wpatrywała się w sufit. Ogień na niewielkim piecu przygasał. Nie miała wyboru. Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Owiało ją chłodne powietrze, a na ciele pojawiła się gęsia skórka. Ubrała się w rekordowym tempie.

Szarzało. Cienie nocy ustępowały przed cieniami śnieżnego, ponurego dnia. Lecz w kuchni, gdy do niej weszła, paliły się lampy i buzował ogień. Mary Rosa gniotła ciasto na maślane bułeczki i parzyła kawę.

Katherine pozdrowiła starszą panią, po czym zapytała:

- Mary Rosa, czy zawsze wstaje pani tak wcześnie?

Mistrzyni kuchni przykryła dłonią ziewające usta i obciągnęła w taliu niebieską, wełnianą sukienkę.

- Wiosną i latem wstaję z kurami, lecz dzisiaj zbudzili mnie mężczyźni. Tłukli się po całym domu, więc

pomyślałam, że wstanę i zapobiegnę, być może, najgorszemu.

Katherine zmarszczyła czoło.

- Czy stało się coś złego? Ktoś zachorował?

- Och, nie - Mary Rosa, wspinając się na palce, wyjęła z kredensu dwa blaszane kubki. - Po prostu kara klacz, duma Logana, zdecydowała się dzisiaj oźrebić. Logan i Pete czuwają przy niej. Mówiąc o najgorszym, miałam na myśli ich puste żołądki.

Napełniła dzbanek kawą i okutała go dwoma biało-czerwonymi ręcznikami.

- Ogarnę się, narzucę coś na siebie i zaniosę to chłopakom. Chcesz iść ze mną?

- Kawę mogę zanieść sama. Jestem właściwie gotowa do wyjścia. Chyba że pani bardzo chce zobaczyć klacz i jej źrebaka.

- Nieszczególnie - Mary Rosa machnęła ręką.

- Ale szkoda mi wysyłać cię samą w tę śnieżycę.

- Pragnę być w czymś pomocna. Chociażby w tak drobnej sprawie. Poza tym uwielbiam wszystko, co małe, bezbronne i garnące się do swojej matki.

Katherine była szczerą. Cud narodzin fascynował ją. Odczuwała wówczas wzruszenie, którego nie umiała wyrazić słowami.

Mary Rosa zdjęła z kołka długi płaszcz z kapturem. Sądząc po rozmiarach, należał do Logana.

- Włóż to. Nie chcę, żebyś przemarzła.

Katherine utonąła w męskim płaszczu. Spod zbyt długich rękawów wystawały jedynie koniuszki jej palców.

- Tylko naleję im kawę, poczekam, aż wypiją i zaraz wracam, aby pomóc pani w przyrządzeniu śniadania.

- Więc nawet nie nacieszysz się zrebieniem.
- Nie szkodzi. Mogę zająć tam później.

Katherine szczelniej owinęła się połami płaszcza, wzięła dzbanek, kubki i wyszła na dwór. Spojrzała ku wschodowi. Nad horyzontem dźwigał się szary dzień. Wiatr trochę zelżał, lecz temperatura powietrza bardziej nasuwała na myśl grudzień na biegunie północnym niż marzec w Wyoming.

Mając obie ręce zajęte, pchnęła ramieniem drzwi stajni i zanurzyła się w jej półmrok. Powitało ją ciche rzemie. Po obu stronach znajdowały się drewniane boksy. Ich lokatorzy chrupali obrok i siano. Z chrap buchała para, mimo że było tu dużo cieplej niż na dworze. Gdzieś z drugiego końca budynku dobiegł Katherine głos Logana. Poszła za tym głosem. Pod stopami szeleściła słoma.

Stała u wejścia do boks większego od innych. Już na pierwszy rzut oka zorientowała się, że coś tu jest nie w porządku.

Pete siedział na świeżej ściółce, trzymając łeb klaczy na kolanach. Klepał ją po szyi i coś do niej mówił.

Logan rozpinał kurtkę. Rzucił Katherine krótkie spojrzenie. Na jego bladej, chmurnej twarzy malowało się skrajne napięcie.

- Postaw to na tamtej skrzynce.

Zrozumiała, że mówi o dzbanku i kubkach.

- Czy stało się coś złego? - Przenosiła wzrok od jednego mężczyzny do drugiego.

- Tak - odparł McCloud, ciskając kurtkę w kąt boksu. - Pojawiły się komplikacje, którym łatwiej byłoby zaradzić, gdyby nie to piekielne zimno - zaczął rozpinać koszulę, która poszła w ślad za kurtką.

Stał teraz rozebrany do pasa. Jego nagi tors w mgnieniu oka pokrył się gęsią skórą. Logan wstrząsnął się, podszedł do kubła z ciepłą wodą i jał namydlać ramiona.

Katherine nie mogła postąpić kroku. Czuła się jak sparaliżowana. Nigdy jeszcze nie była świadkiem narodzin źrebięcia, ale i bez tego, co powiedział jej Logan domyśliła się, że „komplikacje” muszą być bardzo poważne. Złękła się o życie dziecka i matki.

- Co dokładnie się stało? Może mogłabym w czymś pomóc?

- Nieprawidłowe ułożenie płodu - wyjaśnił Pete.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli stracę klacz i źrebaka!

- Logan rzucił na Katherine gniewne spojrzenie.

- Uprzedzam, panno Thorn, że to nie będzie przyjemny widok. Radziłbym więc...

- Zostanę. O ile, oczywiście, nie macie, panowie, nic przeciwko temu.

- Pani decyzja.

Klacz głucho chrapnęła. Parła i Bóg jedyny wiedział, jak bardzo cierpiała.

McCloud położył się na słomie na przedłużeniu kręgosłupa zwierzęcia. Lewą ręką chwycił za ogon, prawą zaś włożył w kanał rodny. Każdy jego ruch cechowały ostrożność i delikatność.

- Spokojnie, mamusiu. Zaraz wyratujemy cię z tej opresji.

Katherine domyślała się, że Logan zaryzykował korektę położenia płodu w macicy. Kiedy była małą dziewczynką, obserwowała poród jałówki, ale wówczas cielątko wyskoczyło szybko i pomoc ludzka nie była potrzebna.

Ręka mężczyzny zanurzyła się już prawie na całej długości. Nagle klacz poruszyła się niespokojnie i wierzgnęła niezdarnie tylnymi kopytami.

- Uważaj! - krzyknęła Katherine.

Logan, nie wyjmując ręki, błyskawicznie przewrócił się na drugi bok. Podkute kopyta trafiły w powietrze. Posypało się trochę słomy.

- Co ją napadło? - zapytał Logan.

- Trochę się denerwuje - odparł Pete.

McCloud wolną ręką pogłodził klacz po zadzie.

- Nie chcę cię skrzywdzić. Wiem, że to nieprzyjemne, ale musisz przez to przejść, jeśli chcesz zostać matką.

Nie powiedział „jeśli chcesz jeszcze pohasać sobie po zielonych błoniach”, ale to właśnie pomyślał. Walczył w tej chwili o życie dwóch istot i nawet zapomniał, że istoty te były warte majątek.

- Mam nóżkę! - wykrzyknął triumfalnie, po czym zamknął oczy. - Postaram się ją wyprostować... Kochani, udało się!

Pomimo chłodu panującego w stajni, Katherine zauważyła na muskularnych plecach Logana kropelki potu.

Wyciągnął rękę. Była umazana śluzem i krwią. Zraz też w wylocie kanału rodnego pojawiły się dwa kopytka i ciemny łebek źrebiątka. Po chwili on cały, śliczny i czarny jak noc, leżał na złotej słomie.

- Udało się - rzekł Logan z ulgą.

- Udało się, ty skurczybyku! - roześmiał się Pete.

- Na oko całkiem niczego wata - spojrzał na Katherine i zrobił skruszoną minę. - Najmocniej panią przepraszam. Przy damach człowiek powinien uważać na słowa.

- Nie czuję się obrażona, panie Watkins.

Klacz wstała i obwąchała córeczkę. Chwilę później żrebaczek chwiejąc się i padając, jął dźwigać się na własne nogi. A były one tak długie, że właściwie składał się z samych nóg.

- No, mamusiu, czas nakarmić dziecko - przypominał karej piękności Logan. Uśmiechnął się jak chłopiec w poranek Bożego Narodzenia. Emanował czystą radością. Objawił się Katherine w całej swej szlachetnej delikatności.

- To, co pan zrobił, uważam za cudowne - powiedziała ciepłym głosem. - I ona też jest cudowna.

- Lecę przytulić się do pieca - oznajmił Pete. - Trochę podmarzłem - swoim zwyczajem zsalutował do ronda kpelusza i opuścił boks.

Katherine pomyślała o obietnicy danej Mary Rosie, lecz nie ruszała się z miejsca. Spoglądała na klacz i jej żrebaka, który bódł główką brzuch matki. Logan zauważył uśmiech na twarzy dziewczyny.

Podszedł do kubła i jął obmywać się z brudu. Woda już dawno wystygła i mycie się w niej nie było przyjemne. Mimo to Logan nie śpieszył się, dokładnie namydając tors i ramiona. Potem splukał mydło i sięgnął po szorstki ręcznik.

Katherine stała nieruchomo, jak wrośnieta w ziemię. Wiedziała, że powinna wziąć dzbanek i kubki i wracać do domu, ale jakaś nieprzeparta siła trzymała ją w miejscu. Boże, co się z nią działo? Niby patrzyła na żrebaczkę, który już machał ogonem, lecz tak naprawdę widziała tylko Logana. A właściwie nie tyle jego, co obnażonego do pasa mężczyznę. Umieśniony tors działał na nią w tym chłodnym powietrzu niczym płomień ogniska. Żar był tak silny, że mógł stopić cały

śnieg w okolicy. Poczula, że na jej policzki biją gorące rumieńce.

- Jak ma pan zamiar nazwać źrebaka? - spytała drżącym głosem.

- Wybór imienia należy do ciebie, panienko - odrzucił ręcznik i na zaczerwienione ciało nałożył koszulę. Po chwili był już całkowicie ubrany.

- Myślę, że nazwę ją Burza - spojrzała na ssącą matkę maleństwo. - Jest czarna jak burzowa chmura, a mając tak długie nogi, będzie szybka jak błyskawica. Co pan powie na mój wybór?

Zalała go błękitem swojego spojrzenia, rozjaśnionego niemal zalotnym uśmiechem. „Cóż mogę powiedzieć, panienko? Chyba to tylko, że do szaleństwa cię požądam.”

- Wspaniale - odpowiedział, dochodząc do wniosku, że jeśli natychmiast nie weźmie się w garść, to będzie musiał zanurzyć głowę w kubie. Możliwość ponownego kontaktu z lodowatą wodą cokolwiek go otrzeźwiła.

Katherine wyszła na korytarz, który rozdzielał dwa rzędy boksów. Rozejrzała się.

- Gdzie jest Sunrise? - zapytała, targnięta nagłym wyrzutem sumienia, że tak późno pomyślała o swoim dzielnym koniu, który walcząc z zamięcią, przyniósł ją do tej bezpiecznej przystani.

Logan klepinięciem pożegnał swoją karą piękność, zamknął boks i poprowadził Katherine w głąb korytarza. Zanim jednak zdążyli dojść do Sunrise, kasztanka wysunęła łeb ponad pręty ogrodzenia i rzeniem powitała swą panią.

- A więc tu jesteś, kochana! - wykrzyknęła Katherine, przyspieszając kroku. Przytuliła policzek do

chrap konia. - I jak ci się powodzi, moja miła? - Sunrise zastrzygła uszami. - Tak, ja również za tobą tęskniłam. Niedługo wyruszymy w drogę powrotną do domu.

- Lecz na pewno nie stanie się to dzisiaj - dodał Logan. Wzmianka o rozstaniu wytrąciła go z równowagi. Wiedział, że prędzej czy później musi to nastąpić. Przeżywał rozterkę. Przez wzgląd na Katherine wolał, żeby śnieżycy trwała bez końca. Przez wzgląd na bytło pragnął, aby skończyła się w tej chwili.

Kasztanka chwyciła wargami rękaw płaszcza swej pani.

- Przykro mi, Sunrise. Nie mam przy sobie niczego, czym mogłabym cię poczęstować - spojrzała na Logana. - Obawiam się, że za bardzo ją rozpieściłam. Przepada za marchwią i cukrem w kostkach.

Włożył rękę do kieszeni kurtki, zrobił perskie oko, po czym wyciągnął ku niej zamkniętą dłoń.

- Sługa powinien przewidywać życzenia swej pani.

Uśmiechnęła się niepewnie. Wyciągnęła rękę i ich palce spotkały się. Patrzyła, jak dłoń Logana powoli się otwiera. Na niej, niczym srebrny samorodek, połyskiwała bryłka cukru.

- Jest pan prawdziwym magikiem. Dziękuję.

Jeśli on był magikiem, to ona w swoim uśmiechu była cudowną dziewczyną. Znowu powróciło pożądanie i znów pomyślał o zanurzeniu głowy w kuble z zimną wodą. Ale teraz wiedział, że żadne tego rodzaju środki zaradcze już by nie pomogły.

- Jesteś samą ślicznością, Katherine. Co mógłbym jeszcze zrobić, żebyś zachowała ten uśmiech? - wy-

ciągnął rękę i zsunął kaptur z jej głowy. A potem dotknął dłonią policzka dziewczyny. - Nawet się nie domyślasz, jak wiele dla mnie znacysz...

Uciekając przed jego namiętym spojrzeniem, skreśliła w bok głowę. Nie mogła wydobyć z siebie ani jednego słowa. Pozwalała, by jego palec bawił się jej wargami. Czowała na sobie jego przyśpieszony oddech. Jej pierś falowała.

- Logan, proszę...

- Pragnę cię, mój aniele.

Już nie palcem, lecz ustami dotykał jej warg. A potem zaczął rozgniatać je i rozchyłać w dzikim pocałunku. Świat zawirował. Z lęku przed upadkiem chwyciła go za klapy kurtki. Lęk ów jednak nie trwał długo. Bo zaraz uświadomiła sobie, że jest silna i równie spragniona. Zarzuciła mu ręce na szyję.

Zwarli się w spazmatycznym uścisku. Mimo że dzieliły ich grube ubrania, Logan wyczuwał jej brzuch, piersi i długie nogi. Uwielbiał długonogie kobiety! Powiódł dłonią po jej udzie. Ach, ten przeklęty płaszcz! Zerwać go, rzucić na słomę, a potem opaść wraz z błękitnooką na to legowisko. Zaisie, legowisko. Barłóg! Posłanie nędzarzy. Czyż miał z nią kopolować w tej stajni, niczym ogier z klaczą? Była jego słodką Katherine, nie zaś jakąś dziewczyną z saloonu. Tajemniczą córką owczarza. Dumną, namiętą i czystą. On, Logan McCloud, byłby ostatnim nędznikiem, gdyby nie uszanował tej dziewczyny.

Przesunął usta w kierunku jej ucha.

- Panienko, potrafiłabyś rozpalić nawet kij gnijący w wodzie od ubiegłej wiosny - wyszeptał.

Zdumiała ją te słowa. Po cóż miała rozpalać ogień, który już płonął? Logan był takim ogniem.

Odetchnęła pełną piersią, raz i drugi. Chłodne powietrze podziałało uspokajająco niczym waleriana. Na powrót dotarły do niej zapachy i dźwięki. Usłyszała parskania, pobrzękiwania łańcuchów, poczuła upajającą woń siana. I nagle z całą ostrością uświadomiła sobie, że znajduje się w ramionach mężczyzny. Wsparła dłoń o jego piersi, chcąc się natychmiast uwolnić.

- Puść mnie - rzekła błagalnym tonem.

Posłusznie rozplół ramiona.

- Kat...

- Nie.

To nie powinno było się wydarzyć. Przecież miała określone plany: rancho, powrót do Filadelfii, sklep modniarski. A wszystko to pomieszał przystojny mężczyzna o oczach hiponotyзера.

Skierowała się ku wyjściu. Po kilku krokach przypomniała sobie o Sunrise i cukrze. Wróciła zatem i znalazłszy w słomie upuszczoną bryłkę, poczęstowała klacz przysmakami.

- Co się stało? - zapytał Logan. - Czy nie lubisz być całowana?

„A jakaż kobieta nie lubi być całowana, matolku”, pomyślała Katherine z pewnym rozczuleniem.

- Dżentelmen prosi najpierw o pozwolenie.

Wybuchnął gromkim śmiechem. Nie był dżentelmenem. Był hodowcą bydła. Synem prerii.

- Dziewczyno, kto patrzy tak, jak ty patrzyłaś na mnie przez ostatnie kilkanaście minut, daje pozwolenie samym spojrzaniem.

Katherine poczuła, że krew w niej burzy się i kipi.

- To niby ja cię do tego podkusiłam? Ty pyszałku!
Odtąd trzymaj się ode mnie z daleka! - powiedzia-
wszy to, odwróciła się i wybiegła ze stajni.

Logan poklepał Sunrise po łbie.

- Ta twoja pani chyba jednak lubi się całować -
rzekł do konia.

5

W domu Logan próbował załagodzić sprawę. Był miły, otwarty i życzliwy. Lecz Katherine zacięła się i odpowiadała tylko półsłówkami. Rozmowa stanowczo się nie kleiła.

Po lunchu McCloud zamknął się w swoim pokoju. Katherine odetchnęła. Ten człowiek działał jej na nerwy. Wyobrażał sobie, że do jego licznych praw, jako właściciela tych akrów, należy również prawo całowania jej. Zaciśnęła pięści.

Na szczęście Mary Rosa poprosiła ją o pomoc przy wieszaniu nowych firanek w kuchni. Dziewczyna mogła więc oderwać się od ponurych myśli i skupić się na czymś pożytecznym.

Firanki były w kolorze pogodnego nieba i stanowiły namiastkę tego błękitu, który zasłaniały teraz śniegowe chmury.

Potem obie kobiety zasiadły do herbaty i cynamonowego ciasta.

- Palce lizać - pochwaliła Katherine, skosztowawszy wypieku. - Mam nadzieję, że otrzymam od pani przepis.

- Ależ dam ci go, moje dziecko, z prawdziwą przyjemnością - Mary Rosa była najwyraźniej mile połączona. - Muszę przyznać, że kucharzenie sprawia mi przyjemność. Niestety, jedyną osobą, która docenia moje starania, jest Logan. Całe pozostałe kowbojskie

bractwo interesuje się tylko łapaniem i cechowaniem bydła i nie odróżnia sarniny od wołowiny.

Katherine zaśmiała się. Tak, dla kowbojów przepisy kulinarne i książki kucharskie mogłyby wcale nie istnieć. Wystarczała im nabita strzelba i rożen nad ogniskiem. Ich jedyną pasją było uganie się za stadami bydła lub koni. Lub owiec, dodała szybko w myślach.

Za ścianą dały się słyszeć wściekle ryki wiatru. Obie kobiety odruchowo spojrzały w tamtym kierunku. Mary Rosa głęboko westchnęła.

- Boże, ta śnieżycy chyba nigdy się nie skończy. Od dziesięciu lat nie było takiej tej zimy. Wszyscy ranczerzy ponoszą spore straty - spojrzała na Katherine sponad kubka. - A jak wy sobie radzicie bez gospodarza, męża i ojca? Czy w ogóle zdołacie przetrwać?

- Nie wiem, ale na razie staramy się - odparła Katherine wymijająco. Od śmierci ojca minęło zbyt mało czasu, aby mogła dokładniej rozpatrzeć się w sytuacji. Kiedy wróci do domu, zajrzy do ksiąg rachunkowych i przeprowadzi poważną rozmowę z bratem i matką. - A jak sprawy stoją u państwa?

Mary Rosa wzięła sobie kolejny kawał cynamonowego ciasta.

- Straty na pewno będą duże, lecz i ranczo jest duże, więc jakoś podołamy. Gorzej z innymi.

- To znaczy z kim konkretnie? - Katherine nie знаła jeszcze sąsiadów. Być może warto było poszerzyć o nich swą wiedzę. Ostatecznie, jeden z nich mógł być zabójcą jej ojca.

- Na przykład z Bromleyami i Morrisami, których pastwiska rozciągają się na zachód od wa-

szych, moja droga - Mary Rosa poprawiła kosmyk włosów, który wymknął się jej spod grzebyka. - Ich stada nie przekraczają dwudziestu tysięcy sztuk. Chodzą wieści, że już stracili jedną czwartą pogłowia. Ale wszystko będzie można dokładnie oszacować dopiero na wiosnę.

Katherine w zamyśleniu wpatrywała się w rdzawoczerwoną powierzchnię herbaty. Będzie musiała porozmawiać z Danielem o tych ranczerach z sąsiedztwa. Oczywiście, jeżeli ktoś popadł w kłopoty, nie musiało to oznaczać, że od razu chwycił za broń i zamordował człowieka.

- Dlaczego hodowcy bydła tak nienawidzą nas i naszego rancza? - zapytała, dziwiąc się, że taka małeńka wysepka owczego runa na morzu wołowiny mogła wzbudzać tyle zapiekłej nienawiści.

- Konflikty wszędzie się zdarzają - tym razem Mary Rosa schowała się za zasłonę niedopowiedzeń.

Katherine odstawiła szklanę na spodeczek. Skoro już zdecydowała się poruszyć ten temat, postanowiła brnąć dalej, do samego końca.

- Jednak ten konflikt ma konkretne przyczyny. Czy mogłaby pani pomóc mi je zrozumieć? Komu zawadzamy i dlaczego?

- Dobrze, Katherine - odparła starsza kobieta po chwili milczenia. - Powiem ci wszystko bez ogródek, ponieważ nie sądzę, aby mijanie się z prawdą wyszło komuś na dobre. Twój ojciec przybył tutaj, kupił ładny kawałek ziemi i wybudował dom. Nikogo nie prosił o radę czy pomoc i o ile wiem, na przestrzeni setek kilometrów nie było takiego człowieka, który winiłby go za to.

- Ale... - zaczęła Katherine czując, że do istotnych,

to znaczy mniej pochlebnych dla ojca, rzeczy Mary Rosa dopiero przejdzie.

- Ale twój ojciec był piekielnie uparty. Kiedy otoczył swoją własność drutem kolczastym, było to jakby posypanie solą jątrzącej się rany. Wszyscy byli oburzeni.

- Ale dlaczego? Przecież zabezpieczył tylko swoje pastwiska.

Mary Rosa wzruszyła ramionami.

- Zgoda, tyle, że zawsze były to tereny otwarte. Twój ojciec zlekceważył tradycję, nie chciał pojąć sposobu rozumowania innych ludzi i obawiam się, że to właśnie było powodem jego śmierci.

Katherine wstała i wolnym krokiem podeszła do okna. W zamyśleniu bawiła się guziczkiem wysokiego kołnierzyka bluzki. Próbowwała uchwycić sens usłyszaną przed chwilą słów.

- Czy chce pani powiedzieć, że ponieważ mój ojciec nie chciał ugiąć się przed żądaniami innych, musiał zginąć? - Odwróciła się w stronę stołu i utkwiała w gospodyni nieruchome spojrzenie.

- Wielkie nieba, skądże znowu! Po prostu powiedziałam, że ta zima przyniosła wszystkim same nieszczęścia. Ludzie stali się ponurzy, źli i skorzy do awantur. Ale nie mieli na kim wyładować swojej wściekłości. Więc kiedy twój ojciec wpadł na pomysł z tym drutem kolczastym, natychmiast skupił na sobie całą złość.

Katherine wciąż nie mogła zrozumieć. Jej ojciec nie żył, a ona nawet nie pożegnała się z nim przed śmiercią. Zabrano jej szansę powiedzenia mu, jak bardzo go kocha. A w zamian obarczono niewdzięcznym obowiązkiem zemsty.

- Mary Rosa, czy wie pani, kto zabił mojego ojca?

- Nie, Katherine, nie wiem. Gdybym wiedziała, już dawno powiedziałabym szeryfowi. Ciężko mi pogodzić się z myślą, że może to być człowiek, którego znam i lubię. I dlatego wolę myśleć o mordercy jako o kimś obcym.

Dziewczyna wróciła do stołu i uściskała pocziwą kobietę.

- Serdecznie dziękuję, że była pani ze mną szczerą i nie owijała niczego w bawełnę. - Ze swej strony nie bardzo wierzyła, by jej ojciec zginął z ręki włóczęgi, rabusia, słowem: kogoś obcego, ale potrafiła wczuć się w obawy Mary Rosy, która, wzruszona, wycierała właśnie nos w dużą białą chustkę.

- Widzisz, przez to zimno nabawiłam się kataru.

Nagle coś się zmieniło. Katherine trudno było uchwycić i nazwać tę zmianę, jednak odczuła ją całym ciałem. Zaintrygowana podeszła do drzwi i otworzyła je. Spojrzała na bezkresną biel.

- Zdaje się, że zamieć ustała - otuliła ramiona własnymi dłońmi, po czym odwróciła się do kuchni i z lękliwą nadzieją w głosie powtórzyła: - Przestało wiać i sypać.

Mówiła prawdę. Przeźroczyście powietrze wolne było od śnieżnych płatków i na świat, po dwu dniach jęków i zawodzeń, spłynęła rozkoszna cisza. Wiatr, niczym ryczący do tej pory niedźwiedź, schował się do swojej jamy. I wszystko to skończyło się równie nagle, jak nagle się zaczęło. Tylko grube chmury wciąż jeszcze zasnuwały niebo.

Mary Rosa dołączyła do Katherine.

- Dziękujmy Panu za łaskawość.

Nieskazitelna białość świata nie przerażała już, przeciwnie, zachwycała.

- jak pięknie - szepnęła dziewczyna, nie chcąc zakłócać błogosławionej ciszy.

Mary Rosa cmoknięciem przyznała jej rację.

- Teraz mogę wracać do domu - powiedziała młoda kobieta, a jej oddech zmienił się na mrozie w błękitną mgiełkę.

- Tak, możesz.

- Nie, nie możesz!

Aż drgnęły na dźwięk głosu, który rozległ się za ich plecami.

Katherine szybko się odwróciła. Przez chwilę ona i Logan mierzyli się spojrzeniami. Zauważyła, że przebrał się w świeżą koszulę i spodnie.

- Musimy porozmawiać. Pozwól do gabinetu.

Kiwnęła głową, po czym, przeprosiwszy Mary Rosę, posłusznie poszła we wskazanym kierunku. Gabinet McClouda znajdował się na końcu korytarza. Stały w nim szafy biblioteczne z oprawnymi w skórę książkami, a na ścianie z oknem wisiały strzelby. Katherine pomyślała, że Logan i bez broni potrafi wzbudzać respekt i szacunek. Usiadła na jednym z krzeseł, on zaś przysiadł na mahoniowym biurku.

- Kiedy dostrzegłem, że śnieg przestał padać, pomyślałem o tobie. Wiem przecież, że chcesz jak najprędzej wracać do domu. Ale to może być tylko chwilowa cisza i za godzinę lub dwie znowu rozlegną się te piekielne wycia. Dlatego na razie nie wyrażam zgody na twój wyjazd - mówił niczym dyktator. Z tonu jego głosu wynikało, że nie dopuszczał jakiegokolwiek dyskusji.

- Doceniam twoją wyjątkową gościnność. Robiłeś wszystko, bym czuła się jak u siebie w domu.

- A mimo to, wnioskuje z twojej miny, cel nie został osiągnięty.

Nie wiedziała, jaką ma minę, wiedziała tylko, że jest roztrzęsiona. Musiała jak najszybciej uciec od tego czarującego i niebezpiecznego mężczyzny. Nie mogąc usiedzieć spokojnie na krześle, wstała i podeszła do biblioteki. Machinalnie wyjęła pierwszą z brzegu książkę. Otworzyła ją. Okazało się, że trzyma w ręku poezje Keatsa. Doprawdy, ten mężczyzna zaskakiwał ją na każdym kroku.

Zamknęła książkę i odłożyła ją na półkę. Odwróciła się do Logana. Oboje byli dorosłymi ludźmi. Oboje myśleli o wydarzeniu, które zaszło tego ranka w stajni. Po cóż więc kluczyć? Dlaczego nie nazywać rzeczy po imieniu?

- Im prędzej stąd odjadę, tym lepiej. Lepiej dla nas obojga.

- Czy naprawdę obawiasz się mnie, panienko? - W jego głosie pobrzmiwała nutka samozadowolenia.

- Od teraz nie nazywaj mnie panienką. Znasz moje imię, a ja znam twoje. Co się zaś tyczy moich obaw, to na pewno są rzeczy, których lękam się bardziej niż ciebie.

- A jednak idę o zakład, że nurtuje cię i niepokoi dzisiejszy pocałunek. Życie i tak już jest dostatecznie skomplikowane. Po co komplikować je jeszcze bardziej.

Iskierki rozbawienia zatańczyły w jego oczach.

- Przecież to był tylko pocałunek. Chyba już całowali cię mężczyźni?

- Wiele razy - odparła z niedbałym machnięciem ręki. Szczerść miała swoje granice. Nie zamierzała mu mówić o dwóch delikatnych pocałunkach na dobranoc, którymi musnął jej wargi pewien bardzo kulturalny człowiek, a które przy pocałunku Logana były

jak styczniowe słońce przy tropiku. - Lecz najważniejsze jest to, że niepokoją się o mnie moi najbliżsi. Ja zresztą również martwię się o nich.

- Rozumiem. Tylko jak oni przyjmą wiadomość, że bezpiecznie przeczekaliśmy zanieść, by potem zginąć w jakiejś kilkumetrowej śnieżnej zaspie? Poza tym za dwie godziny się ściemni. Dlatego wyruszysz stąd dopiero jutro i osobiście cię odwozę.

Spojrzała przez okno.

- Chyba masz rację. Rozsądniej będzie poczekać. Ale tylko do rana.

- A zatem wyruszamy jutro rano - rzekł, zadowolony, że tam, gdzie spodziewał się sprzeciwów i trudności, znalazł zrozumienie. - Co zamierzasz po powrocie do domu?

- Nic szczególnego. Po prostu będę zajmowała się ranczem, dopóki Daniel nie dorośnie i nabierze doświadczenia. Ostatnie cztery lata spędziłam wprawdzie w mieście, lecz nie boję się ciężkiej pracy.

Zaimponowała mu swoją odwagą, lecz same plany uznał za fantastyczne. Prowadzenie rancza przerastało siły kobiety. Znał sto przypadków, kiedy kobieta po śmierci męża lub ojca zakasywała rękawy, a potem w przeciągu roku starzała się o dziesięć lat.

- Doprawdy? - Trudno mu było ukryć sceptycyzm.

- Nie mam nic więcej do dodania.

- A szkoda - wzruszył ramionami. - Być może pod twoim wpływem zobaczyłbym jakiś sens w hodowaniu owiec w krainie bydła.

Wątpiła, by mogła samymi słowami zmienić pogląd Logana na tę sprawę. Ale było coś w jego czarnych oczach, co kazało jej zawiesić na razie wszelkie wąt-

pliwości. Jeżeli istniała choć minimalna szansa przekonania go, powinna ją wykorzystać. Nabrała w płuca powietrza.

- Moi rodzice posiadali małą farmę w Wirginii. Utracili ją, kiedy... Zresztą, mniejsza z tym, dlaczego. Dość, że zostali bez farmy i musieli chwycić się różnych prac zarobkowych. Przez dwa lata udało się im zaoszczędzić trochę pieniędzy.

- Dla twojej matki musiał być to ciężki okres.

- Bardzo ciężki.

Pamiętała wszystko. Pracę na polu w słońcu u innych farmerów. Zmęczenie ojca. Zapobiegliwość matki. Jej skrzętne liczenie pieniędzy. Odkładanie każdego grosza do specjalnego słoika. I codzienne wieczorne rozmowy o własnym domu, gdzie w oknach będą wisiały czerwone firanki i każdy będzie miał swój własny pokój. Marzenia spełniły się, lecz nie na skutek cudu, tylko harówki od rana do nocy i wielu wyrzeczeń.

- Przenieśliśmy się na Zachód i trafiliśmy tutaj. Poprzedni właściciel rancza...

- Eddington - wtrącił Logan.

- Tak właśnie się nazywał. Nie zażądał wygórowanej ceny, a nawet pomógł ojcu uzyskać pożyczkę w banku.

- Niestety, dowiedziałem się o tym zbyt późno - mruknął Logan.

- Bydło nie wchodziło w rachubę, zarówno ze względu na koszt zakupu podstawowego stada, jak i szaloną konkurencję. Natomiast z owcami ojciec miał już do czynienia. Mieliśmy kilkanaście sztuk na farmie w Wirginii.

Logan pomyślał, czy czasami nie jest to odpowiedni

moment na ponowne złożenie oferty. Ojciec był upartym kozłem, ale córka mogła być rozsądniejsza.

- Myślę, że pragniesz, aby twojej matce i bratu żyło się źlej. Mógłbym wam pomóc.

Spojrzała podejrzliwie.

- Nie wiem, dlaczego, lecz trudno mi w to uwierzyć.

Skwitował jej sarkazm wzruszeniem ramion.

- Zależy mi na kupnie tego rancza. Dam dobrą cenę, przekraczającą jego wartość.

- Skąd ta szczodrość?

- Nie jest to kwestia szczodrości. Już od dawna zamierzałem kupić waszą ziemię. Rozmawiałem w tej sprawie z waszym ojcem, ale odmówił dyskusji na ten temat.

- Mój ojciec był twardym człowiekiem.

- Niechby był i z żelaza. Szkopuł w tym, iż odróżniam tę cechę charakteru od zwykłej głupoty - jego głos zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie.

- Rozumiem - Katherine mówiła przez ściśnięte gardło. - Mój ojciec... moja rodzina to głupcy. Wynika stąd, że i ja dzielę ich głupotę! - podeszła do biurka i wsparła się dłońmi o porysowany blat. - Zresztą po wiosennym bilansie strat i stryżeniu owiec przekonamy się, kto tu jest głupcem.

- Nie masz zielonego pojęcia o hodowli owiec - odpowiedział z wielką cierpliwością w głosie.

Nawet nie mrugnęła.

- Natomiast ty wiesz coś tam o hodowli bydła. Lecz nie urodziłeś się z tą swoją wiedzą, tylko jej nabyłeś. Tak i ja nauczę się tego, co trzeba wiedzieć, by prowadzić ranczo.

Poderwał się zza biurka.

- Nie tak szybko, panienko, bo jeszcze napytasz sobie biedy. Więcej zdrowego rozsądku. Tutaj panują bezwzględne prawa. Za każdy błąd trzeba płacić i to zwykle słoń - w jego oczach zapłonął gniew. - Głupcy przegrywają. Są pyłem, roznoszonym przez wiatr po prerii. Zresztą, nie zasługują na inny los.

- McCloud, za kogo ty się właściwie uważasz, żeby dawać innym prawo do życia lub im tego prawa odmawiać? Może nie jesteśmy największymi hodowcami w tym kraju, lecz w niczym nie ustępujemy tobie, ty kowboju!

Uwolnwszy całą gorycz i złość, Katherine odwróciła się i wymaszerowała z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

Logan opadł na krzesło. Przekłęte babsko! Wyciągnął ku niej pomocną dłoń, a co ona na to? Wyzwała go od kowbojów! Jasne, że był kowbojem. Tylko że ona wykrzyczała to słowo z taką pogardą, jakby kryło się za nim coś niegodnego.

Och, pozbyć się jej jak najprędzej. Chciała wyjechać, bardzo proszę, odstawi ją pod próg domu. Ruszyłby choćby zaraz, ale miał już dość kłopotów, żeby narażać się na nowe. Wstał i podszedł do drzwi. Położył rękę na klamce. Ta córka owczarza była najbardziej nieznośną, irytującą, wybuchową istotą pod słońcem. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie była równocześnie słodka, intrygująca, drażniąca zmysły...

- Cholera - mruknął, nie mogąc poradzić sobie z tymi sprzecznościami. W rozterce oparł się czołem o framugę.

Katherine zapadła w jego duszę i rozgościła się w niej na dobre, wraz ze swymi wadami i zaletami.

Tymczasem Katherine rzuciła się w swoim pokoju na łóżko i zanurzyła twarz w poduszce. Ale odczuwała zbyt silny niepokój, żeby móc wytrwać dłużej w tej pozycji. Wstała więc i zaczęła nerwowo chodzić od ściany do ściany.

Co za tupet, pycha i buta! Żeby ośmielać się decydować o losie innych ludzi i temu pozwolić żyć, a tamtego skazać na zatracenie. Im więcej pyłu roznoszonego przez wiatr po prerii, tym potężniejszy pan i władca Wyoming. A może ten człowiek naprawdę uważał się za kogoś takiego?

Usłyszała pukanie do drzwi.

- Odejdź! - wykrzyknęła.

- Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać - dobiegł z korytarza kobiecy głos.

Katherine rzuciła się ku drzwiom.

- Och, Mary Rosa! To nie było do pani!

Mała starsza kobieta z uwagą przyglądała się dziewczynie.

- Czy coś nie tak?

- Wszystko w porządku. Naprawdę - dodała Katherine, widząc w spojrzeniu tamtej cień sceptycyzmu.

- Nagle potwornie rozbolała mnie głowa.

Na twarzy Mary Rosy odmalowała się troska.

- Kochanie, zaraz przyniosę ci proszek. Poczekaj tylko chwilkę...

- Ależ proszę się nie kłopotać - rzekła pośpiesznie Katherine błagalnym tonem. - Po prostu położę się i po krótkiej drzemce będę jak nowo narodzona.

- Dobrze, lecz jeśli zmienisz zamiar, zawołaj - poklepała dziewczynę po ramieniu, jakby chcąc dodać jej otuchy. - Zajrzę tu jeszcze przed kolacją.

Zgodnie z tym, co powiedziała, Katherine wróciła

na łóżko i, wyczerpana ostatnimi przeżyciami, prawie natychmiast zasnęła.

Gdy obudziła się, za oknem było ciemno. Mrok panowałby również w pokoju, ale ktoś pomyślał o zapaleniu lampy naftowej i rozpaleniu w kominku. Mary Rosa, pomyślała Katherine. Była jej za to bardzo wdzięczna.

Nie mogła spędzić całej nocy w sukience, więc wstała i przebrała się w nocną koszulę. Jak na złość, dopiero teraz poczuła, że jest głodna. Nie jadła od południa. Być może w kuchni znajdzie jakieś pieczywo lub ser. Jeżeli nie, to zadowoli się kubkiem gorącej herbaty.

Na korytarzu nie było nikogo. W domu panowała cisza. Przebiegła bosymi stopami po zimnej podłodze.

W palenisku żarzył się jeszcze ogień, więc nie miała trudności z zagotowaniem wody. Znalazły się też bułeczki. Wzięła jedną i schrupała na miejscu. Natomiast filiżankę z herbatą postanowiła zabrać do swojego pokoju. Przechodząc przez salon, usłyszała szmer. Na kominku pełgał ogień, rzucając chybottliwe, niesamowite cienie na ściany i sufit. Nagle zabrzmiał głos:

- Czy znalazłaś wszystko, co chciałaś?

Zadygotała. Filiżanka wypadła z jej drżącej dłoni i roztrzaskała się na podłodze. Kilka kropel gorącego płynu spryskało jej bosc stopy.

- I cóż ja narobiłam - rzuciła w półmrok płaczącym głosem, po czym schyliła się i zaczęła zbierać porcelanowe skorupki. Jak mogła być taką niezdara i zniszczyć takie cudo, zapewne bardzo kosztowne?

- Zostaw to - rzekł Logan, wylaniając się z cienia.
- Odkupię ją. Powiedz mi tylko, gdzie... Oj! - włożyła do ust skaleczony palec.

- Muszę przyznać, że jesteś uparta nawet w drob-
nostkach.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy nachylił się i wziął ją na ręce, a ona całkiem naturalnym gestem otoczyła mu szyję ramieniem.

Ale zaraz zeszywniała, przełęczniona falą gorąca, jaka rozlała się po jej ciele. Usłyszała bicie swego serca. Paliły miejsca, których dotykały jego dłonie, a suchość w ustach zdawała się świadczyć o jakimś nieugaszo-
nym pragnieniu.

Posadził ją na otomanie, po czym klęknął i ujął jej dłoń.

- Bardzo mi przykro z powodu tej filiżanki. Ja...

- Co tam filiżanka - uniósł na chwilę wzrok, by stwierdzić, że odblask bijący od kominka uczynił z jej włosów świetlistą aureolę. W tej otoczce twarz Katherine wydawała się jeszcze delikatniejsza i bledsza. - Jesteś ważniejsza od wszystkich filiżanek świata.

Wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i przyłożył ją do skaleczenia.

- A teraz zegnij palce i przytrzymaj, o tak. Ja tym-
czasem sprzątnę skorupy.

Zacisnęła dłoń, on zaś poszedł do kuchni po szu-
felkę, szczotkę i ścierkę, po czym zamiótł szczątki fi-
liżanki i wytarł podłogę.

- I jak czuje się moja ranna? - zapytał po kilku mi-
nutach.

- Rana zaczyna się zablizniać - odparła z uśmie-
chem.

Sprawdził naocznie prawdziwość tych słów.

- Rzeczywiście, przestała krwawić. Myślę, że nie powinno być żadnych komplikacji.

- Wiedziałam to od samego początku - rzekła z wyzywającą przekorą.

Wyprostował się gwałtownie.

- Chylę czoło przed mądrością mojej nocnej zjawy.

Zegar na kominku wybił jedenastą. Logan podszedł do stolika przy oknie i nalał sobie whisky.

Katherine wstała i zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi. Zatrzymała się na środku pokoju.

- Wracam do łóżka. Chciałabym wyruszyć o świcie. Mam nadzieję, że nie będzie to dla ciebie zbyt wczesna pora.

Na dźwięk jej głosu odwrócił się. Na tle kominka ujrzał postać jak ze snów. Widok Katherine dosłownie tamował dech w piersiach. Jej różowa powłóczysta koszula przypominała kolorem karnację ciała. Cienka flanela spływała po wysokich piersiach i płaskim brzuchu, zaznaczając lekką wklęsłość kielich ud. Smukłe nogi ginęły w licznych fałdach materiału. Była to Katherine, o jakiej myślał, zapatrzony w płonące polana, póki ona sama nie weszła tu z nieszczęsną filiżanką w dłoni. Katherine, którą chciał całować i dotykać, z którą chciał lec w pościeli. I oto miał ją, prawie naga, niemal na wyciągnięcie ręki.

- Dobranoc, panie McCloud.

Jego serce zareagowało nagłym skurczem.

- Katherine, zaczekaj... - starał się, by ta prośba nie zabrzmiała zbyt gwałtownie i natarczywie.

Odwróciła głowę niczym sarna, która usłyszała w lesie trzask gałązki.

Patrzył na nią z nie ukrywanym pożądaniem. Počuła się jak naga lub co najmniej obnażona jego spoj-

rzeniem. Rumieniec wstydu zalał jej policzki. Rozejrzała się i schowała za oparcie stojącego obok krzesła.

- Nie odchódź - powtórzył, tym razem nie kontrolując już swego głosu.

- Dlaczego?

- Bo chcę... - dobrze wiedział, czego chce, ale nie wszystko w każdym momencie dawało się wyrazić słowami. Dodał więc tylko z ujmującą prostotą: - Zostań ze mną.

6

Było rzeczą graniczącą z absurdem, że trzy niewymyślne słowa mogły przygwoździć człowieka do ziemi i otulić go jak ciepły pled.

Minęła dobra chwila, zanim Katherine otrząsnęła się z tego wrażenia.

- Logan - rzekła znużonym głosem - nie chcę więcej sprzeczek z tobą. Jest oczywiste, że ani ty, ani ja nie zmienimy swojego stosunku do owiec i sensu ich hodowli w tych stronach. Najrozsądniej więc będzie unikać dalszych rozmów na ten temat. Zaoszczędzi to nam wielu kłopotów.

Uśmiech znikł z jego twarzy, ustępując miejsca pełnej zadumy powadze.

- A co byś powiedziała o zawieszeniu broni?

Wyczuła zmianę, jaka w nim nastąpiła. W głosie mężczyzny nie było teraz ani cienia sarkazmu. W ogóle miała poczucie, że ma do czynienia z dwoma Loganami. Jeden drażnił ją i działał na nerwy. Drugi, bardziej ukryty i nieuchwytny, wydawał się rozsądnym, miłym i wrażliwym człowiekiem.

- Niech zatem będzie rozejm - powiedziała do tego drugiego.

McCloud kiwnął głową i odwrócił się do stolika z napitkami.

- Skosztujesz czegoś? - Wskazał kryształową kafełkę. - Myślę, że najodpowiedniejsza będzie sherry

- nie czekając na jej zgodę, napełnił kieliszek. - Przy smak mojej matki. Mam nadzieję, że również zasmakujesz w sherry.

Podszedł do niej i podał jej kieliszek napełniony rubinowym płynem. Zauważyła kontrast pomiędzy ciekim, rżniętym szkłem, a jego spracowanymi dłońmi.

A potem uniosła wzrok i spojrzała w jego piękne hebanowe oczy. Ciemna sherry i ciemne źrenice błyszczały tym samym żarem namiętności.

- Usiądźmy - zaproponował Logan i nie oglądając się na nią, opadł ze swoją szklanką w dłoni na otomanę.

Siedział teraz z lekko rozrzuconymi nogami, a koszula opinała mu ciasno klatkę piersiową. Katherine przypomniała sobie tamtą scenę w stajni, gdy ochłapywał zimną wodą swoją obnażoną pierś. Wyobraziła sobie, że zanurza palce w jego włosy, niczym w mroczną toń. O Boże! Czyżby kompletnie oszalała i sama pakowała się w kłopoty? Musiała za wszelką cenę udowodnić sobie, że jest uodporniona na wszystkie te pokusy, które uosabiał siedzący przed nią mężczyzna.

Sięgnęła po dużą, zieloną chustę, którą Mary Rosa zostawiła na oparciu krzesła, i zarzuciła ją na ramiona. A potem usiadła na tym samym krześle, biorąc ponownie odstawiony na moment kieliszek.

W pokoju panowała cisza, wypełniona jedynie szumem ognia i trzaskiem palących się sosnowych polan. Ta cisza oraz słodki, wiśniowy likier działały kojąco i nastrajały do marzeń. Katherine odrzuciła do tyłu głowę i złożyła ją na wysokim oparciu krzesła.

Nagle jej uwagę ściągnął ruch na otomanie. Logan zmienił pozycję na bardziej wygodną.

- Skoro zgodziliśmy się co do rozejmu - powiedzial - musimy ustalić warunki.

Wyprostowała się.

- O jakich warunkach mówisz?

Poczuła przyływ podejrzliwości. Przypomniała sobie, że jest kobietą interesu, przywykłą do pakowania z twardymi mężczyznami. Oczywiście, istniała niejaka trudność w zachowaniu powściągliwej rezerwy, gdy było się tylko w nocnej koszuli. Mimo to jej podbródek poszedł nieco ku górze.

Na Loganie przesywający wzrok Katherine nie zrobił najmniejszego wrażenia.

- Uważam, że bydło i owce, rancza i rodziny powinny należeć między nami do tematów zakazanych.

Rozluźniła się.

- Jeśli ty przy tym wytrwasz, to i ja wytrwam.

Jego twarz rozjaśnił zaraźliwy uśmiech, pełny hulajskiego wdzięku. Dołeczki w policzkach i wąsy jeszcze wzmacniały efekt.

- Aniele, na mnie możesz liczyć.

Poczuła, że kąciki jej ust unoszą się, a wargi rozciągają. I absolutnie nic na to nie mogła poradzić.

Przesunął się w drugi kąt kanapy, bliżej krzesła, na którym siedziała. Założył nogę na nogę.

- Porozmawiajmy zatem na bezpieczny temat. W co się lubisz bawić?

- Bawić? - Zaskoczyło ją to pytanie. - Wyrosłam już z lalek i zabawy w chowanego.

Zachichotał.

- Nie byłbym tego taki pewien. Zabawa w chowanego może nawet w tym wieku sprawiać dużo przyjemności. Szczególnie na strychu, pełnym pachnącego siana.

Mrugnął łobuzersko, a jej serce zabiło jak oszalałe.

- Jesteś bardzo pewny siebie, panie McCloud.

Zsunął się w dół, przybierając pozycję półleżącą. Szklanke z whisky oparł na piersi.

- Owszem, w kilku rzeczach jestem pewny siebie.

Mogło to być wyzwanie, mogła być też obietnica.

W każdym razie jego słowa i magnetyczna bliskość sprawiały, że drżała jej ręka. On tymczasem robił wrażenie człowieka całkowicie rozluźnionego. Sposób, w jaki obracał w dłoniach szklanke, zdawał się to potwierdzać.

Miał bardzo ładne dłonie, mimo iż przywykłe do fizycznej pracy. Pamiętała ich dotyk tamtej pierwszej nocy, kiedy Logan gładził ją po policzku i włosach.

Wysączyła sherry z dna kieliszka.

- Kiedy nie bawisz się na sianie, to co wówczas porabiasz?

Jedno z sosnowych polan trzasnęło, sypnęło iskrami i obsunęło się niebezpiecznie na sam brzeg paleńska. Logan wstał i poprawił pogrzebaczem naruszony stosik.

- Poluję. Najczęściej w okolicach Yellowstone - rzekł, powstając z kucek. - Wiesz, jest tam jezioro, którego wody mają dokładnie kolor twoich oczu.

Zauważył jej pusty kieliszek i napełnił go rubinowym płynem.

- Sherry to taki cudowny napój, który nie szkodzi, a rozkosznie rozgrzewa - powiedział. - Czy tęsknisz chwilami za miastem?

Kiedy tak stał przed nią na tle płonącego na kominku ognia, wydawał się jej najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

- Co? Ach, mówisz o tęsknocie. Tak, bardzo. Fila-

delfia jest przepięknym miejscem. Dużo tam muzeów, parków, sklepów, starannie utrzymanych trawników i, mimo dużego ruchu i natłoku ludzi, wszędzie panuje wzorowy porządek.

Zignorował tę pochwałę miasta.

- Korci cię, by tam powrócić?

- Tak. Musiałam zamknąć mój sklepik z kapelusami, a chciałabym go znów otworzyć.

- Kobieta to rzadki rodzynek w świecie interesów. Szczególnie tak młoda jak ty. - I tak piękna, dodał w myślach.

- Być może, ale czasy się zmieniają. Mówi się już nawet, że kobiety mają uzyskać prawo wyborcze na terenie całego kraju. Tak jak posiadają je już tutaj, w Wyoming.

Zachichotał.

- A więc jest w Wyoming coś, co ci się podoba.

- Okay, przyłapałeś mnie - odparła ze śmiechem, szącąc cudowną, naprawdę cudowną, sherry. - Za dwa miesiące kasztany w parku w pobliżu domu, w którym mieszkałam, będą całe w kwiatach. Ciotka Martha i ja często chodziłyśmy tam na wieczorne spacer. Oczywiście, zanim została przykuta do łóżka. Wtedy skończyły się spacer, skończyło się wszystko, gdyż nie mogłam odstępować jej ani na krok.

Zmarszczył brwi. Kiedy większość panien w jej wieku uczęszczała na przyjęcia i wieczorki taneczne, ta dziewczyna musiała opiekować się umierającą starszką i pracować w sklepie. Nie był to najjaśniejszy obraz lat młodości.

- Twoja rodzina wiele od ciebie oczekiwała, może nawet zbyt wiele - powiedział, siadając na podłodze u jej stóp.

- Nie ma nic ważniejszego od rodziny - odparła.
- A poza tym złamałeś warunki rozejmu.
 - Przepraszam - wybąkał, pochylając się do przodu i okrywając swoją dużą dłonią jej leżącą na kolanie dłoń.
 - Próbowała ją cofnąć, ale wzmocnił uścisk. Ustąpiła.
 - Masz takie smukłe palce - powiedział. - Nadają się bardziej do gry na pianinie, niż do pracy na ranczo. To miejsce nie jest Filadelfią i nie mamy tu orkiestry, ale mogę wyczarować muzykę.
 - Doprawdy? - zapytała, nie kryjąc zdumienia.
- Przepadam za muzyką. Zawsze chciałam grać na jakimś instrumencie.

Wstał i poszedł w głąb pokoju. Po chwili wrócił z dużym drewnianym pudłem w ręku, z którego boku wystawała metalowa korbka. Kilka razy zakręcił nią i podniósł wieko z wiśniowego drewna. Ze środka skrzynki, co graniczyło z cudem, popłynęły dźwięki wiedeńskiego walca.

Logan ukłonił się szarmancko i wyciągnął rękę.

- Czy mogę prosić do tańca, panno Thorn?

Katherine przyjęła zaproponowaną jej konwencję zabawy i wyprostowała się niczym panna, siedząca na ławce pod ścianą na wieczorku tanecznym.

- Sir, czyżbyśmy zostali sobie przedstawieni?

Odchrząknął, mocno skonfundowany.

- Za pozwoleniem, Miss. Logan McCloud, który od wielu godzin nie może oderwać od pani swych pełnych zachwyty oczu, a teraz ma zaszczyt dopraszać się o wspólną minutkę na parkiecie - wskazał ręką na pokój.

I w tym momencie Katherine uświadomiła sobie swoją kreację. A właściwie jej brak. Zesztywniała, jakby kawaler zionął alkoholem.

- Wstań, słodka Katherine i pójdźmy w tany.

Jakże pragnęła spełnić jego prośbę. Hipnotyzował ją swymi czarnymi oczami, a takty walca jeszcze wzmacniały czar. Uniosła się bezwolnie, na granicy lunatycznego snu. Ujął ją w talii i błysnął uśmiechem. Popłynęli „na falach modrego Dunaju”.

- Nie bądź taka sztywna, panienko - powiedział z łobuzerską miną. - Obiecuję, że nie nadepnę ci na paluszki.

Zanim się spostrzegła, przyciągnął ją ku sobie, tak iż dotknęła piersiami jego torsu.

I to był drugi błąd Logana. Pierwszy popełnił, prosząc ją do tańca. Wiedział, że nie powinien jej dotykać. Zabronił sobie tego zaraz po tamtym porannym pocałunku w stajni. Wiązało się z tym zbyt duże ryzyko.

A teraz miał ją przy sobie i czuł jej ciało. Ożyły wszystkie erotyczne wizje, którymi karmił się minionego dnia. Ona zaś pobudzała je jeszcze bardziej, gdyż przyłgnęła do niego i zdawała się być całkiem w jego mocy.

Przestali wirować. Zbliżył jej dłoń do swoich ust i jął całować opuszki jej palców.

Nie bronila się. Drżała na całym ciele. Półmrok salonu, blaski rzucane z paleniska, muzyka i zapadła po niej cisza - wszystko to wydawało się jakby wyjęte z kart upojnego romansu.

- Orkiestra przestała grać - powiedział.

- To była piękna melodia - szepnęła.

Zaczął pieścić palcami jej włosy. Czynił to z jakąś zmysłową delikatnością.

- Jesteś cudowną kobietą, Katherine Thorn.

Zmienił kierunek pszenno-miodnego potoku i na-

kazał mu płynąć po jej ramionach i piersiach. Przypadkowo potarł wierzchem dłoni o jej brodawkę, skrytą pod cienką flanelą nocnej koszuli.

Chciała uciekać, odgrodzić się od niego ścianami i drzwiami. Tymczasem czuła bezwład w nogach, a całe ciało pchało ją w przeciwnym kierunku, ku temu mężczyźnie.

- Pasujemy do siebie, Katherine - wpatrywał się w błękit jej oczu, jakby odkrył w nim zawrotne czeluście.

Próbowała uspokoić oddech.

- Być może dobrze nam szło w tańcu... Być może w tym pokoju i o tej nocnej porze wszystko wydaje się mniej skomplikowane... Ale w innej sytuacji... innych okolicznościach... Chcę po prostu powiedzieć, że nie widzimy pewnych rzeczy tak samo.

- Oczywiście, że jesteśmy różni. Pasować do siebie nie oznacza wcale być identycznym - gładził teraz jej szyję. - Przeciwności podobno się przyciągają. Czy zgodziłabyś się z tym poglądem?

- Logan, dziś rano nie tylko ty mnie całowałeś. Również ja całowałam ciebie.

- Bardzo logicznie powiedziane - uśmiechnął się.

Przechyliła na bok głowę i przytuliła policzek do jego dłoni.

- Niemniej to nie może się już powtórzyć - miała tak ściśnięte gardło, że ledwo mówiła. - Jutro ty i ja wrócimy do naszych własnych światów, a są to światy bardzo odmienne. Dlatego najlepiej będzie, jeśli każde z nas pójdzie swoją drogą.

Zobaczyła zdumienie na twarzy Logana i nagle poczuła, że odzyskała wolę i swobodę ruchów. Skierowała się ku drzwiom.

- Dobranoc - powiedziała z ręką na klamce. -
I dziękuję za... wszystko.

- Katherine... jutro Cookie zawiezie cię wozem.
Myślę, że będzie to najbezpieczniejszy i najwygodniejszy środek transportu.

Kiwnęła głową i znikła.

Twój świat i mój świat, pomyślał Logan. Czasami tak różne światy wpadają na siebie, a rezultat zderzenia może być zachwycający.

7

Promienie porannego słońca odbijały się od śnieżnej płaszczyzny i godziły w oczy tysiącami szpilek. Logan nacisnął głębiej na czoło swój kowbojski kapelusz z szerokimi kresami.

- Cholera - mruknął, przecierając powieki. Następnie spojrzał na jadącego obok Pete'a i rzucił: - Niebawem i my, i konie, wszyscy poślepiemy - poklepał po szyi swego wierzchowca.

Zarządca kiwnął głową.

- Święta prawda.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Zmrożona wierzchnia warstwa śniegu chrupała pod końskimi kopytami. Z ciszy dawało się wyłowić jedynie skrzyp siodła, rzadkie parskania wierzchowców i pobrzękiwanie uzd.

Logan stanął w strzemionach i spojrzał za siebie. Z tyłu ciągnęła kawalkada, złożona z czterdziestu kowbojów i tuzina jucznych koni. Ludzie mieli ponure twarze i nie wdawali się w rozmowy. Oni również przeczesywali wzrokiem horyzont w poszukiwaniu stad bydła.

Ale wokół ciągnęła się tylko oślepiająco biała równina.

Logan opadł na siodło. Katherine odjechała. Dwie godziny temu pomógł jej zająć miejsce na wozie i otulił ją grubym pledem.

Chciał osobiście odwiedzić dziewczynę do domu, ale wiedział, że jest to niemożliwe. Czekало go ciężkie zadanie odnalezienia stad, a podróż wozem wydawała się bezpieczna.

Wiatr szarpał kresami jego kapelusza, więc Logan wcisnął go jeszcze głębiej na czoło. Przed zimnem chronił go barani kożuszek. Owcom należy się pochwała przynajmniej pod tym względem, pomyślał. Wątpił jednak, by Katherine podzieliła kiedykolwiek jego stanowisko.

Zmusił ją, by włożyła na podróż jego wełnianą kurtkę. Jak się spodziewał, nie było łatwo uzyskać jej zgody. Dopiero argument, że podróż w mroźny dzień w nieprzemakalnym płaszczu byłaby czystym wariacstwem, skruszył jej sprzeciw.

Uśmiechnął się pod wąsem. Ta kobieta była jedyna w swoim rodzaju. Bardziej zapalna od prochu w jednej chwili, by już w następnej przemienić się w delikatną, czułą i słodką istotę.

Stanowiła wyzwanie, a Logan lubił wyzwania. Czuł wówczas, że krew żywiej w nim krąży i wszystko staje się bardziej pociągające. Zwycięstwa zaś smakowały bardziej od szampana.

Uśmiechnął się i zaczerpnął haust zimnego powietrza.

- Widzę jakiegoś jeźdźca - powiedział Pete.

Logan spojrział we wskazanym kierunku.

- Jakbym rozpoznawał wielkiego kasztana Slima - mruknął na poły do siebie, na poły do przyjaciela, po czym włożył dwa palce do ust i przeraźliwie zagwizdał. Jeździec i jego koń zatrzymali się, a potem tamten człowiek pomachał ręką i pchnął konia ku wolno posuwającej się grupie.

- Jak się masz, szefie! - wykrzyknął Slim po kilku minutach.

Był chorobliwie chudy i wbrew panującej wśród kowbojów zasadzie nadawania przezwisk zaprzeczających cechom zewnętrznym osobnika, jego imię idealnie pasowało do osoby.

- Gdzie, do diabła, się podziewałeś? - Logan lustrował wzrokiem oszronioną skórzaną opończę kowboja.

- Wykonywałem tylko robotę, za którą płacisz mi, szefie, trzydzieści dolarów za miesiąc - Slim wyprostował się w siodle. - Ja i mój stary wałach tropiliśmy, ma się rozumieć, te przekłete rogacie czworonogi.

- I natknęliście się na nie? - zapytał Pete.

- Tak, pół dnia drogi stąd. W pobliżu Hazard Bluffs - odparł kowboj ściszym głosem.

- Cholera - rzucił Logan. Dobrze znał tamte rozpad-

liny, owe pułapki śmierci. - Czy bardzo źle?

Slim pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć z całą pewnością. Nie było sposobu, abym sam zdołał je zawrócić.

- Wiem, to nie udałoby się nikomu.

Przyszłość rysowała się bardzo ponuro.

Marcowe słońce stało już u szczytu nieba, gdy Katherine wjeżdżała na podwórze rodzinnego ranczo. Była zmarznięta, zmęczona i wdzięczna Loganowi za wóz, kurtkę i pled.

Cookie ściągnął lejce przed gankiem drewnianego domostwa. Z komina cienką strużką unosił się dym. Od drzwi frontowych biegła przekopana w śniegu ścieżka, która na środku podwórza rozgałęziała się w kierunku licznych zabudowań gospodarskich.

Od spichlerza nadszedł jeden z robotników. Cookie polecił mu odprowadzić Sunrise do stajni, po czym pomógł pasażerce zsiąść na ziemię.

Katherine podziękowała poczciwemu chłopisku i bez dalszej zwłoki wstąpiła na schody ganku. Chciała jak najprędzej zobaczyć i pocieszyć zatroskaną jej losem matkę. I oto ujrzała ją, zanim dotarła do drzwi, gdyż Sarah Thorn wybiegła jej na spotkanie.

- Katherine! - krzyknęła, a uśmiech szczęścia rozjaśnił jej chudą twarz. - Dzięki Bogu, żyjesz, moja córeczko!

- Mamusiu! Jak to dobrze znów cię widzieć.

- Nareszcie po tych strasznych dniach mam cię przy sobie - broda Sarah drżała ze wzruszenia. Łzy spływały po jej policzkach, a siwiejące włosy zdawały się jeszcze bardziej posiwiałe. - Och, Katherine, tak się o ciebie martwiłam - w niemej podzięcie wzniosła oczy ku niebu.

Rozłączyły się i ponownie rzuciły sobie w ramiona. Długo trwały pieszczoty, nim gospodyni przypomniała sobie wreszcie o obowiązku gościnności. Otarła łzy rękawem sukienki.

- Serdecznie zapraszamy do środka - rzekła, zwracając się do Cookie'ego i dwóch towarzyszących mu kowbojów. - Mogę poczęstować panów świeżo parzoną kawą i duszoną sarniną.

Katherine dołączyła się do próśb matki.

- Nie odmawiaj, Cookie. Musicie być przemarznięci do szpiku kości.

- Dziękujemy - trzej mężczyźni odpowiedzieli niemal równocześnie.

Cookie grzecznie uchylił kapelusza, odsłaniając swoją łysą czaszkę.

- To bardzo miłe z pani strony, ale nam trzeba jechać. Jeszcze przed nocą musimy założyć obozowisko, z tym zaś jest zawsze mnóstwo roboty. W każdym razie dziękujemy za zaproszenie - raz jeszcze uklonił się, po czym wspiął na wóz i cmoknął na konie.

Sarah i Katherine pomachały im na pożegnanie. Kiedy wóz wytoczył się za bramę, ponownie zajęły się sobą.

Pani Thorn nie mogła nasycić oczu córką.

- Katherine, czy na pewno nic ci się nie stało? I gdzie w ogóle byłaś?

- Nic mi się nie stało, mamusi i jestem zupełnie zdrowa. Wejźmy jednak do środka. Trochę zmarzłam, a przede wszystkim mam ci ryle do powiedzenia.

- Widzę, że ktoś litościwy zaopatrzył cię w ciepłe rzeczy na drogę - rzekła matka, wchodząc razem z córką do wnętrza domu.

- Tak - potwierdziła krótko Katherine, po czym szybko rozebrała się ze zbyt obszernej kurtki i rzuciła ją na stojącą pod oknem otomanę.

Sarah nie dopytywała się o szczegóły.

- Boże, jaka jestem szczęśliwa. Chyba nie muszę mówić ci o tych wszystkich obawach, jakie nami tarzały. Daniel niby pocieszał mnie, ale sam gryzł się i nie mógł znaleźć sobie miejsca.

- Przepraszam, mamusi. Miałaś rację, odradzając mi ten wyjazd do miasteczka. Wszystko jednak dobrze się skończyło.

- Toteż nie skarzę się i nie czynię ci wyrzutów. Najważniejsze, że wróciłaś cała i zdrowa - podeszła do kuchni i nalała z dzbanka kawę do dwóch niebieskich

kubków. Postawiła je na stole. - A teraz opowiedz mi wszystko od początku.

Usiadły i Katherine, rozkoszując się wonną i gorącą kawą, zdała matce zwięzłą relację z ostatnich dni.

- Logan McCloud - powtórzyła Sarah Thorn po raz kolejny z rzędu, tym razem jednak pełnym głosem. - Chcesz więc powiedzieć, że ci trzej, którzy cię tu przywieźli, to jego ludzie?

- Tak...

- Wielkie nieba, Katherine, nigdy bym się tego nie domyśliła. Coś takiego! - Sarah poderwała się z krzesła i zapatrzyła w płonący pod płytą ogień. - Że też właśnie musiałaś trafić na... Logana McClouda. - Pokręciła głową i z powrotem przeniosła wzrok na córkę. - Czy aby na pewno nie zrobił ci jakiejś... krzywdy?

Katherine poruszyła się na krześle.

- Na pewno, mamusiu. Przeciwnie, okazał się człowiekiem bardzo uprzejmym i gościnnym.

- Doprawdy, trudno mi w to uwierzyć. Oczywiście, mam wobec niego dług wdzięczności, ale gdyby ktoś inny tak o nim powiedział, nie uwierzyłabym. Trzeba ci wiedzieć, że pan McCloud już od dłuższego czasu czyni starania, by pozbyć się nas z Wyoming. Twój ojciec często mi mówił, jak bardzo brutalny, szorstki i niegrzeczny potrafi być ten nasz sąsiad.

Teraz z kolei Katherine nie kryła zdumienia.

- Czy mam przez to rozumieć, że Logan McCloud groził tacie?

- Nie. O ile wiem, z jego strony nie padły żadne groźby. Zresztą, nie było mnie tam, a twój ojciec zwykł pewne rzeczy zatrzymywać wyłącznie dla siebie. Lecz myślę, że czasami dochodziło do ostrej wymiany zdań.

- Sarah, uśmiechnęła się samymi kącikami ust. - Irlandzki temperament twojego ojca również nie ułatwiał porozumienia.

- Chyba raczej tak - zgodziła się z uśmiechem Katherine.

Jej ojciec był Irlandczykiem do szpiku kości. Miał kasztanowe włosy i zielone oczy, a porywczością mógł przelicytować pięciu Anglików. A jednak nigdy nie podniósł ręki na swoich najbliższych. Ciężko pracował i był wzorowym gospodarzem. Dawał rodzinie poczucie bezpieczeństwa.

I nagle za sprawą jednego zdradzieckiego strzału wszystko się zmieniło.

W sercu dziewczyny odżyły ból i gniew. Po raz ostatni widziała ojca dwa lata temu, kiedy odwiedził ją w Filadelfii.

Powinna była być tutaj, na miejscu, i przed zamknięciem wieka trumny ucałować jego zimne czoło.

Nie powinien był w ogóle umierać, tylko siedzieć teraz z nimi i popijać kawę z niebieskiego kubka!

A tak zostali tylko we trójkę. Mama była na swój sposób silną i dzielną kobietą, lecz prowadzenie gospodarstwa przerażało ją. Cała więc odpowiedzialność miała spaść na barki Katherine i Daniela.

- Mamo, czy Daniel jest przy owcach?

- Nie. Rano wybrał się z Harrym do miasteczka. Dopuszczaliśmy i taką możliwość, że nie zdążyłaś wyjechać przed zamiecią i ktoś cię przygarnął. Ale się uciesz, gdy wróci.

Daniel wrócił po kilku godzinach i o mało co nie oszalał z radości na widok siostry, która zmywała właśnie naczynia.

- Katherine! - wykrzyknął od drzwi, otwierając ra-

miona. - A więc odnalazłaś się, zgubo! Właśnie wracam z miasteczka, gdzie nikt cię nie widział.

Uściskali się, po czym chłopak odchrząknął i przybrał minę pana domu, będącego prawdziwą głową rodziny.

- Gdzie ty się właściwie podziewałaś przez te kilka dni?

Katherine uśmiechnęła się. Braciszek niepokoił się, ale czy starszym siostrom nie przysługuje naturalne prawo sprawiania braciom kłopotów?

- Ja również przez ten czas myślałam o tobie. Przejde wszystkim jednak ścięgnij kurtkę i napij się czegoś gorącego.

- Mniejsza o mnie - odburknął, rozbierając się jednak i siadając przy stole. Matka postawiła przed nim kubek z parującą kawą. - Co działo się z tobą?

Katherine już po raz drugi tego dnia zaczęła opowiadać swoją historię. Lecz jej monolog nie trwał długo.

- Oszalałaś?! Przyjęłaś gošcinę w domu McClouda?

- Danielu, nie podnoś głosu na siostrę - upomniała go Sarah.

Chłopak poderwał się i jał krążyć po kuchni z dłońmi zacisniętymi w pięści.

- Jak w ogóle mogłaś wytrzymać z nim pod jednym dachem? I co? Nie udławiłaś się własną pogardą i wstrętem?

- On uratował mi życie i był wobec mnie bardzo miły.

- Miły! Miły! - powtórzył przedrzeźniająco.

- McCloud najpewniej zabił naszego ojca, a ty siedzisz tu i gadasz o nim takie bzdury. A może pewnego dnia zaprosisz go na herbatę?

- Niewykluczone - odrzeka, butnie zadzierając głowę. Oboje: ona i Daniel, odziedziczyli irlandzkie usposobienie ojca. - Ja stwierdzam fakty. Były, jakie były, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie.

Daniel opuścił głowę niczym tryk przed szarżą.

- A ja...

- Przestańcie się kłócić - upomniała matka. - Jeszcze słowo, a pobijecie się.

- Danielu - powiedziała Katherine, siląc się na spokój - nigdy nie uwierzę, że człowiek, który przez te kilka dni traktował mnie niemal jak członka rodziny, jest równocześnie tym samym tchórzliwym mordercą, który strzelił w plecy naszemu ojcu.

- Kto nie wierzy w oczywistości - odparował Daniel - wierzy w Świętego Mikołaja i bociany, przynoszące dzieci. - Na jego twarzy malował się gniewny niesmak. Chwycił swój kubek z kawą i cisnął go do miednicy.

Tym razem już nie tylko Sarah, lecz również Katherine doszła do wniosku, że rozwścieczonego chłopaka trzeba uspokoić.

- Rozumiem twoje uczucia, Danielu. I kiedy szeryf znajdzie mordercę, oboje będziemy patrzeć, jak go wieszają. Ale nie sądzę, by w pętli znalazła się głowa Logana McClouda. Określiłam go przed chwilą jako człowieka grzecznego, miłego i gościnnego, gdyż takim był wobec mnie. Nie wiem, jaki jest wobec innych ludzi - podeszła do brata i położyła dłoń na jego ramieniu. - Czy wolałbyś raczej, żebym zamarzyła na śmierć i została przysypana śniegiem?

Daniel potarł ręką czoło. W jego oczach zabłysły łzy. Odczuwał już męski gniew, ale małemu chłopcu, który nadal był w nim, zachciało się płakać.

- Nie, siostrzyczko, oczywiście, że nie. Po prostu...
- Pozwól, że dokończę. Logan wyraził swoje kondolencje, zaofiarował nam pomoc, a kiedy poruszył sprawę kupna naszego rancza, wymienił cenę przekraczającą znacznie jego wartość rynkową.

Prawie natychmiast pożałowała swych słów.

- A widzisz! - wykrzyknął Daniel. - Uśmiechnięta maska, pod którą kryje się zbrodniczy zamiar. Przecież jedyną rzeczą, na której naprawdę mu zależy, to zawładnąć naszą ziemią.

Katherine zawahała się. A nuż Daniel miał rację? Przypomniała sobie wczorajszy wieczór i hultajski urok, jakim emanował tamten mężczyzna. A jeśli faktycznie wszystko to było fałszem? Jeśli chciał uspić ją i oczarować, by tym łatwiej skłonić do sprzedania rancza?

Brat chwycił kurtkę i ruszył ku drzwiom.

- Kiedy ojciec nie chciał sprzedać rancza, zamordowali go. Ale my również nie mamy zamiaru niczego sprzedawać. Ani teraz, ani nigdy!

Dom pogrążony był w ciszy. Wszyscy spali, czuwała tylko Katherine. Chrapanie Daniela dochodziło nawet przez ścianę.

Siedziała na sofce, owinięta w kołdrę. Przewracała się w łóżku długo w noc, aż wreszcie z niego uciekła. Rozsadzał ją wewnętrzny niepokój.

Zbyt dużo trudnych spraw zważyło się na jej kruche barki. Lękała się, czy wszystkim podoła. Rzecz jasna, ze swych lęków i wątpliwości nie zwierzyłaby się matce czy bratu. W ich oczach miała być silną i pewną siebie młodą kobietą. Takiej Katherine właśnie potrzebowali.

Za kilka godzin Daniel obudzi się i wstanie. Ona też będzie musiała się ubrać i podjąć wraz z nim gospodarskie obowiązki. Wczoraj wyratowali z zasp kilkanaście owiec, a ileż jeszcze czekało na ratunek? Kopanie zmrożonego śniegu to była ciężka praca, lecz ostatecznie tego od niej oczekiwano, a i ona uważała, że nie jest tutaj, aby mieszać w garnkach dzemy.

Zwykle nieszczęścia chodzą parami. Zamięć nadeszła akurat w momencie, kiedy ciężarne owce miały się okocić. W śniegu w zimie jagnięta miały niewielkie szanse na przeżycie. Katherine westchnęła. Tak bardzo potrzebowali tych jagniąt.

Na razie, dzięki zaradności ojca, byli wypłacalni. Mieli czystą hipotekę i nie wisały nad nimi żadne spłaty długów. Cierpieli jednak na brak gotówki. Tę można było uzyskać właśnie za jagnięta i wełnę. Strata jagniąt równała się zaciąganiu pożyczek, tego zaś Katherine bała się jak ognia.

Lepiej samemu nie szukać kłopotów, bo one i tak się pojawią. Obecnie zaś największym kłopotem wydawał się być mężczyzna, który mierzył prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i miał czarne, iskrzące się sarkazmem oczy. Jakież to czar na nią rzucił, jakąż władzę nad nią ustanowił, że czuła się całkowicie nim wypełniona?

Odrzuciła głowę w tył na oparcie sofki. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, iż znajduje się w tej chwili w uścisku jego ramion.

Napięcie minęło. Wszystko się jakoś ułoży. Szeryf znajdzie mordercę, oni utrzymają ranczo, ona zaś wróci do swego sklepiku z kapeluszami i dobrodziejstw miejskiej cywilizacji.

Logan jechał na czele długiej linii jeźdźców, których konie zapadały się w śnieg po brzuchy. Jako pierwszy, przecierał szlak i dlatego jego wierzchowiec aż parował w mroźnym powietrzu.

Mężczyźni gawędzili ściszymi głosami. Wieść, że stada zostały zepchnięte przez zamieć w okolice rozpadlin i jarów, rozeszła się błyskawicznie. W górze na tle błękitnego nieba szybował jastrząb, wypatrując zdobyczy równie baczny wzrokiem, jakim Logan wyglądał swych stad.

Dołączył do nich Ed Bromley wraz ze swymi ludźmi. Wysoki i tęgi, przypominał niedźwiedzia. On i Logan wymienili krótkie pozdrowienia. Na czerwonej od mrozu twarzy Bromleya malował się szalony niepokój. Podczas poprzedniej zamieci Ed utracił największy procent pogłowia i teraz przyszłość jego rancza stała wręcz pod znakiem zapytania.

Porażka konkurenta równała się zyskowi tych, którzy wychodzili z opresji obronną ręką. Ale teraz stracić mieli wszyscy. Ta zamieć miała siłę i bezwzględność kataklizmu. Straty jednak będzie można oszacować dopiero po kilku tygodniach, gdy zakończone zostanie cechowanie bydła. Jeśli pogoda nie sprawi nowego psikusa i zgodnie z porządkiem natury nadejdzie wiosna, Logan miał nadzieję przetrwać. Ale Bromley i Morris... Dla nich ta zamieć mogła okazać się egzekucją.

Piekielna sprawa. Nie ma bowiem żadnej sprawiedliwości w sytuacji, gdy mężczyzna zostaje rzucony na kolana, bez szansy na walkę.

Logan przypomniał sobie swoje słowa, którymi określił tę krainę w rozmowie z Katherine. Faktycznie nie było tu litości dla słabych i przegranych. Ale

gorzki sens tych słów ujawnił się dopiero teraz, gdy rzecz zaczęła dotyczyć przegranej jego bliskich sąsiadów.

Nagle Joker, koń Logana, rzucił łbem i wspiął się na tylne nogi. Jeździec zorientował się natychmiast, iż sam zmusił go do tego, ściągając w zamyśleniu wodze.

Kiedy robota z bydłem zostanie ukończona, odwiedzi Katherine Thorn. Podczas tych dwu dni jej pobytu na ranczo śmiał się i złościł mniej więcej tyle samo, co normalnie w ciągu miesiąca. Ożywiła go, wyrwała z zimowej śpiączki, postawiła przed jakimś zadaniem. Lubił ten stan wewnętrznej mobilizacji.

Kątem oka dostrzegł inną kilkunastoosobową grupę, ciągnącą białą równinę w tym samym co oni kierunku. Prawdopodobnie John Morris.

Wraz z upływem godzin grup przybywało, aż w sumie stworzyła się ponad stuosobowa kawalkada ranczerów i kowbojów. Parli przed siebie, pchani tym samym niepokojem. Na kilka godzin przed zmrokiem zobaczyli pierwsze padłe sztuki.

Byczki leżały w przeróżnych groteskowych pozach, sztywne od mrozu. Było jasne, jak znalazły śmierć. Szły w przedzie i utknęły w zaspach, zaś stado rozdeptało je na miazgę.

Przy południowym odcinku ogrodzenia pastwisk Thornów historia musiała się powtórzyć. Stado naparło na druty i pale i znów pierwsze szeregi przypląciły to życiem.

Widok roztratowanych zwierząt wprawił mężczyzn w gniew.

- Przeklęte ogrodzenie - powiedział Bromley głosem chłodniejszym od zimowego dnia. - I niech piekło

pochłonie tego głupca Thorna. Ktokolwiek go ustrzelił, zasługuje na medal.

Słowa te wyraziły myśli wszystkich ranczerów, włącznie z Loganem. Ogrodzenie nie miało żadnej racji bytu. Było cierniem tej ziemi.

Nadal szukali swych stad, jadąc teraz wzdłuż ogrodzenia. Po godzinie Logan uświadomił sobie, że nie widział dotąd ani jednej owcy. Gdzie były? Czy wszystkie zginęły podczas zamieci? Przebiegł wzrokiem bezdrzewny horyzont.

Żadnej ciemniejszej plamki.

Oczywiście, nie miał zamiaru żałować tych owiec. Obchodziło go tylko, czy w przypadku utraty trzody Katherine podejmie wysiłek odbudowania jej, czy też wyjedzie do Filadelfii? Pamiętał, że wspomniała coś o sklepie z kapeluszami.

Myśl o jej wyjeździe legła mu na sercu nieznośnym ciężarem. Właściwie nie miałby nic przeciwko temu, żeby jej owce przeżyły. Wiedział jednak, że życząc powodzenia córce owczarza zasługuje na lincz. Przynajmniej ci mężczyźni mogliby go zlinczować, gdyby poznali jego myśli.

Stado ujrzeni tuż przed zachodem słońca. Osłabłe z głodu i wyczerpane długim marszem sztuki stały lub leżały w miejscu, gdzie zatrzymały się poprzedniej nocy. Tysiące i tysiące łbów, ogonów i grzbietów tworzyły widok, od którego rosło serce. Logan poweselał. Może wszystko skończy się dużo lepiej, niż wskazywały na to początkowe przewidywania? Innym musiała przemknąć przez głowę identyczna myśl, gdyż ponure dotąd i zacięte twarze zaczęły rozjaśniać uśmiech. Wszyscy nagle stali się bardzo rozmowni.

Logan, który nieoficjalnie przewodził grupie, przystąpił do wydawania poleceń.

- Pete, weź tuzin ludzi i oczyśćcie ziemię ze śniegu pod obozowisko.

- Robi się.

- Steen - zwrócił się do innego mężczyzny - zabezpiecz to miejsce palikami i rozładuj juczne konie.

- Nie pracuję dla pana, McCloud - rzucił opryskliwe Steen, który rzeczywiście był na innej liście płac.

Spojrzenie Logana było niczym uderzenie pięścią.

- Wsadź sobie w tyłek to, dla kogo pracujesz. Ja przewodzę spędzaniu stad i dopóki nasze bydło nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu, ocechowane i podzielone, mnie będziesz słuchał. A jeśli nie odpowiada ci taki układ, to wynoś się stąd.

Steen strzyknął śliną i spojrzał w kierunku stojącego nieopodal Johna Morrisa. Tamten nieznacznie kiwnął głową na znak potwierdzenia.

- W porządku, McCloud - uśmiezek na twarzy Steena nie rozgrzał bynajmniej lodowatego chłodu jego orzechowym oczu. - Po prostu nie wiedziałem, że wybory szefa już się odbyły.

Raz jeszcze strzyknąwszy śliną, skrzyknął kilku ludzi i wraz z nimi zajął się wykonywaniem poleceń Logana. Zbliżył się Morris.

- Później z nim porozmawiam. Już więcej nie sprawi ci kłopotów.

- Wyjaśnij mi wszystko, John - Logan poprawił kapelusz na głowie. - Gdybym to ja zaczął zabawiać się z nim w nauczyciela i ucznia, Steen mógłby się jeszcze zdenerwować i podjąć jakąś nierozważną decyzję.

Wskoczył na konia i pokłusował w kierunku stada.

Krnąbrni kowboje byli najmniejszym z jego problemów. Przede wszystkim musiał obmyślić plan, jak otoczyć stado, zerwać je na nogi i popędzić na północ, ku ranczom. W tej okolicy nie było bowiem ani trawy, ani naturalnych zbiorników wodnych. Co zaczęła śnieżyca, mogły dokończyć głód, zimno i pragnienie.

Bydło ryczało i muczało, a dźwięki te układały się w muzykę dla uszu. Istniała nadzieja na zwycięstwo w tej walce, walka zaś była jego żywiołem. Właśnie w ustawicznej walce uczynił swe ranczo największym na tych terenach. A teraz ufał, że przetrwa również tę straszną zimę. Widział swe piętna na zadach najbliższych sztuk i jego serce rosło.

8

Lało. Woda spływała po podwiniętych kresach kapelusza, by potem szeroką strugą spadać na przód i rękawy nieprzemakalnego płaszcza. Ten zaś jedynie z nazwy chronił przed deszczem, gdyż wilgoć wdzierała się wszędzie i oblepiała ciało nieprzyjemnym chłodem.

John Morris spojrział na ołowiane niebo.

- Wygląda na to, że prędko nie przestanie.
Logan również zadarł głowę i natychmiast jego wąsy przemokły jak szczotka wrzucona do balii.

- Jest dużo cieplej niż tydzień temu, kiedy zaczęliśmy spędzanie stad i czuć zapach wiosny.

Przez ostatnie pięć dni grzało prawdziwie wiosenne słońce i stopiło prawie cały śnieg. Białe jęczory i płaty, jakie się jeszcze ostały, rozpuszczał teraz deszcz. Dzieсятki tysięcy racic przemieniło mokrą ziemię w trzęsawisko. Gdzie przeszło stado, zostawał jałowy pas, jak po szarańczy. Ale widok ten radował serca rančerów. Patrząc na morze grzbietów i łbów, patrzyli na swoją terażniejszość i przyszłość. Każdy z tych otrzebionych byczków wart był na wolnym rynku czterdzieści dolarów. Pete poprawił swoją czerwoną chustę, której końcami wiatr chłostał go po twarzy, po czym zwrócił się do Logana:

- Chłopcy na razie obrachowali ubytki na około tysiąc sztuk. Liczba ta z pewnością się zwiększy.

Mężczyźni zamilkli. Porzucili rozważania o zyskach, by zająć się wstępnym podsumowaniem strat. Z padłej sztuki można było ściągnąć skórę, ale jej cena w porównaniu z ceną żywca była doprawdy groszowa.

- I nikt jeszcze nie wie, ile właściwie straciliśmy sztuk na tych przeklętych ogrodzeniach owczarza - zakipiał Bromley.

- Myślę, że skoro stary Thorn nie żyje, jego rodzina sprzeda ranczo i wyniesie się stąd - powiedział Morris.

- Trzymają się tego miejsca, niczym rzep psiego ogona! - ciągnął Ed Bromley. - Wdowa i dzieci byłiby ostatnimi głupcami, gdyby powiedzieli sobie, że przetrzymają.

- Wszystko wskazuje na to, że tak właśnie sobie powiedzieli - rzekł Logan, przypominając sobie twarde słowa i nieugiętą postawę Katherine.

Bromley wyjął zza pazuchy prymkę tytoniu i włożył ją do ust.

- Thorn też uważał, że przetrzyma - powiedział, żując swój specjał - i dobrze wiecie, co mu się przytrafiło.

Ponury uśmiezek mężczyzny zaskoczył Logana. Znał tego ranczera od sześciu lat i nie widział w nim materiału na mordercę. Gaduła, ale nieskory do czynów, tak mniej więcej oceniał dotąd sąsiada. Czyżby się mylił? Pochylił głowę. Woda z kapelusza wylała się na grzywę Jokera.

- Nie lubiłem Thorn'a i nie tęsknię za nim, ale morderstwo to całkiem inna śpiewka - zmierzył Bromleya przenikliwym spojrzeniem. - Raczej próbowałbym go wykupić.

Morris roześmiał się chrapliwie.

- I próbujesz od Jat, tylko gdzie cię to zawiodło? W ślepy zaułek. Natomiast zwykły rewolwer za kilkadziesiąt doliców rozwiązał problem.

- Doprawdy? - Logan zmarszczył czoło. - Przecież nadal tu są.

Długo czekali, zanim Morris znalazł właściwą odpowiedź.

- Chwilowo.

Bromley strzyknął ciemnym i gęstym strumieniem soku tytoniowego.

- To szkodniki. Nie tylko ich owce mącą wodę w naszych wodopojach, lecz jeszcze postawione przez nich ogrodzenia zabijają nasze bydło.

Loganowi niezbyt podobał się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. Rozumiał gniew sąsiadów. Sam kipiał ze złości na myśl o tych drutach i palach. Ale teraz sytuacja skomplikowała się. Pojawiła się Katherine. Ona przejęła dziedzictwo owczarza i postanowiła nie wyzbywać się go. McCloud nic nie mógł poradzić na to, iż poczuwał się do opieki nad tą modniarką z Filadelfii.

- Nie trzeba licznego oddziału, by najechać i spuszczyć ranczo, gdzie mieszkają dwie kobiety i jeden gołowąs. Ale gdyby ktoś na coś takiego się zdecydował, miałby ze mną do czynienia.

Morris uniósł brew. W jego oczach błysnęło zaciekawienie. Spojrzał na Logana.

- Widziałem w mieście tę córkę Thorna. Ślicznotka. Ponoć gościłeś ją pod swym dachem podczas zamieci?

Logan zimno odważemnił ironiczne spojrzenie ranczera.

- Uważaj na słowa, John.

To wystarczyło. Morrisowi zrzędała mina.

- Bez obrazy - wybąkał.

Bromley wrócił do nurtującej go sprawy.

- Te druty muszą zniknąć. I żeby to osiągnąć, chwycimy się każdego sposobu.

McCloud odwrócił się w siodle.

- Na przykład wynajmując rewolwerowców, czy tak, Ed?

- Niewykluczone - ranczer wzruszył ramionami.

Logan ściągnął brwi.

- Mamy całe lato, żeby na nich wpłynąć. Uważam, że prędzej czy później poddadzą się i spakują manatki. Prawdopodobnie stanie się to już tej jesieni. Tym samym problem zostanie rozwiązany.

Bromley nie wydawał się przekonany.

- Nikt nie wspomniał o pewnej ważnej rzeczy. - Wszystkie oczy zwróciły się na niego. - Kiedy Thorn wznosił te swoje zasieki, odciął nam tym samym dostęp do górnych wodopojów. W suche lata może starczyć nam wody jedynie na poranną kawę...

Rewolwerowcy, prawo dostępu do wody, wysepka owczego runa na morzu wołowiny... Do diabła, pomyślał Logan, a w tym całym poplątaniu Katherine o złotych włosach i oczach jak prześwity błękitu.

Nazajutrz Logan i jego towarzysze wsiedli na konie już o wczesnym świcie. Ciągle padało, lecz wczorajsza ulewa przeszła w siapaninę. Ziemia przypominała szlamiaste dno stawu.

Logan stanął w strzemionach i przeraźliwie gwizdnął. Odpowiedziały mu okrzyki i gwizdy kowbojów, rozrzuconych na przestrzeni niemal kilometra. Stado drgnęło. Przodem szły najzdrowsze i najsilniej-

sze sztuki, reszta posłusznie ciągnęła za nimi. Jeźdźcy galopowali na obrzeżach stada, nadając mu wydłużony kształt.

McCloud uganiał się razem z innymi. Pracy było huk, gdyż jak rzeki przy ujściu dzielą się na odnogi, tak dzisiaj stado miało być wstępnie podzielone i każdy z ranczerów miał zabrać swoją część. Z koni białymi płatami spływała piana. Gardła zachrypiły od ustawicznego krzyku. Jedzono i pito nie schodząc na ziemię. Ubrania i twarze pokrywało świeże i zaschnięte błoto. Mięśnie bolały, a kości zdawały się rozchodzić w stawach. Aż wreszcie około południa z głównego koryta popłynęły w lewo i w prawo mniejsze rzeczulki. Logan pożegnał się z Bromleyem, Morrisem i innymi. Zdązał ze swoim bydłem prosto na północ, oni zaś odbijali po skosie ku wschodowi i zachodowi. Stracili siebie z oczu po trzech godzinach.

Około czwartej po południu stado Logana dotarło do miejsca, gdzie ranczo Thornów graniczyło z pastwiskami McCloudów. Znowu mijali ścierwa padłych sztuk. Smród rozkładu tamował oddech i przyprawiał o mdłości. Było już za późno na ściąganie skór. Padlinę trzeba było zakopać w całości.

Przygalopował Slim i zrównał się z Loganem.

- No, szefie, do domciu mamy już niedaleko. Jutro w południe powinniśmy dotrzeć na miejsce.

- Wolałbym wieczorem - odparł Logan.

Kowboj przesunął na tył głowy przeпоcony i załuszczony kapelusz.

- Czysta niemożliwość. Samo omijanie rancza zajmie nam...

- Nie będziemy omijać. Walimy prosto przez ich pastwiska.

Slim ze zdumienia o mało co nie spadł ze swego ogromnego wałacha. Zaraz jednak na jego chudej, ogorzalej twarzy pojawił się uśmiech.

- W porządku, szefie. Będzie, jak mówisz. Lecę zaawiadomić chłopaków.

Pół godziny później przednie szeregi stada zbliżyły się na odległość kilometra do linii drutu kolczastego. Logan skrzyknął kowbojów i wydał odpowiednie rozkazy.

- Slim, ty i George obalicie te przekłete ogrodzenie. Nie zapomnijcie tylko zagrzebać drutu w błocie, gdyż inaczej możemy mieć nieliche kłopoty.

Mężczyźni spięli konie ostrogami i rzucili się do przodu. Niebawem też dołączył do nich Logan, aby zrobić przegląd sytuacji.

- Dobra robota, chłopaki. A teraz walcie dalej na północny zachód. Tam też musicie zrobić lukę w ogrodzeniu. Nie za wąską, lecz i nie za szeroką. Jeśli natkniecie się na owce, spędźcie je z drogi. Tylko żadnych rzezi. Po prostu grzecznie poprosicie, by usunęły się na bok.

Kiedy wypowiadał ostatnie słowa instrukcji, pierwsze szeregi stada łamały właśnie prawo, które ustanowił nieugięty Irlandczyk Thorn. Według rachub Logana, miało im to zaoszczędzić dzień drogi. Wiedział, że dopuszcza się bezprawia, musiał jednak wybrać pomiędzy większym i mniejszym złem.

Uciekł na chwilę wzrokiem w kierunku dalekich gór Laramie. Za błękitnosinawe szczyty zapadało słońce. Wieczór był bezwietrzny, a z nieba ustąpiły deszczowe chmury. Na jutro zapowiadał się pogodny dzień.

Zobaczył ich, gdy byli już w odległości kilometra.

Dwóch jeźdźców. Zbliżali się od północnego wschodu. Jeden jechał przodem, drugi podążał za nim.

Logan ustawił Jokera łbem w tamtym kierunku. Jedną ręką zdjął kapelusz i otarł spocone czoło, drugą zaś musnął kolbę wiszącego u boku kołta.

Za sobą słyszał rwący strumień wołowiny. Sprawowała nad nim pieczę doborowa czterdziestka jego kowbojów. On z kolei miał pieczę nad całością i dbał, by tegoroczny spęd bydła możliwie odbył się bez większych kłopotów.

Kiedy pierwszy jeździec zbliżył się na odległość stu metrów, Logan rozpoznał w nim Daniela Thorna. W tym samym momencie chłopak wymierzył z karabinu. Padł strzał. Kula świsnęła tuż przy prawym uchu Jokera. Koń zląkł się i stanął dęba. Po chwili Logan z przekleństwem na ustach podnosił się z błotnistej mazi.

Nad swoją głową usłyszał szcęk ładowanych Winchesterów. To dwaj jego ludzie przybyli mu na pomoc.

Daniel osadził konia tuż przed intruzami. Jego twarz wykrzywiła wściekłość. Oczy jarzyły się pogardą i wrogością.

- Posłuchaj, McCloud...

Logan skoczył i wytrącił karabin z rąk chłopaka. Następnie chwycił go z przodu za kurtkę i wysadził z siodła.

- Logan, nie!

Rozpoznał głos Katherine, zagłuszony natychmiast rechotem kowbojów, którym spodobało się lądowanie gołowąsa w błotnistej kałuży.

- Nie wtrącaj się, kobieto! Nauczę zaraz twojego braciszka odpowiednich manier. Dam mu lekcję, którą długo sobie zapamięta. Pomijając to, że strzelał bez

ostrzeżenia i mógł ustrzelić mnie jak kaczkę, mógł również spłoszyć stado. A wówczas z waszych owieczek zostałaaby jedynie krwawa marmolada.

Katherine spoglądała z lękiem w jego płonące gniewem oczy i przyznawała rację jego argumentom, a jednak obowiązkiem jej było bronić brata.

Logan postąpił krok w kierunku Daniela. Rzuciła się i próbowała go powstrzymać.

- Ani mi się waż go dotykać!

Chłopak wygrzebał się już błota. Wciąż jednak wydawał się trochę oszołomiony.

- Daj spokój, siostró - upokorzenie sprawiło, iż patrzył gdzieś w bok. - Potrafię sam dokończyć walkę, którą zacząłem. Ty zaś, sukinsynu, wynoś się z naszej ziemi!

Logan odtrącił Katherine i skoczył susem w kierunku chłopaka. Jednak zanim się zwarli, zdążyła jeszcze chwycić go za ramię.

- Logan, proszę!

Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby znać z góry rezultat tego pojedynku. Jedno nieostrożne uderzenie pięścią i McCloud mógł nawet zabić Daniela. Zdecydowana była do tego nie dopuścić.

Logan próbował wyrwać rękę, ale wczepiła się w nią całą siłą.

Powoli uspokajał się. Wreszcie zwrócił się do Daniela:

- Chłopcze, jeśli jeszcze kiedyś mnie zaatakujesz, lepiej zabij na miejscu. Bo następnym razem nie będzie już wybaczenia z mej strony.

Powiedział to z tak śmiertelną powagą na twarzy, iż żadne z nich nie miało najmniejszych wątpliwości, że dotrzyma słowa.

Następnie spojrział na dwóch swoich ludzi, którzy z bronią w ręku wciąż przypatrywali się scenie.

- Wracajcie do stada - powiedział. - Natychmiast!
- krzyknął widząc, że się ociągają.

Podszedł do Jokera i włożył stopę w strzemień. Temat rozmowy został wyczerpany.

Katherine, jak się okazało, była innego zdania. Teraz, kiedy udało się jej ochronić Daniela, mogła wreszcie wygarnąć swojemu sąsiadowi.

- Co to ma znaczyć, panie McCloud? - zapytała podniesionym głosem, wskazując na wyrwę w ogrodzeniu.

Wyjął nogę ze strzemienia i odwrócił się wolno.

- Część mojej pracy - odparł z wielką pewnością siebie.

- Pańskiej pracy?! - nie wierzyła własnym uszom.

- A odkąd to pańską pracą jest niszczenie cudzych ogrodzeń? - Zbliżyła się o krok. - Kto dał panu prawo przegonu bydła przez moje ziemie?

Daniel stanął u boku siostry. Znow trzymał w ręku karabin.

- McCloud, nas nie obchodzi twoje parszywe bydło. Sam się martw, jak i kiedy doprowadzisz je na miejsce. I po raz ostatni powtarzam, żebyś natychmiast wynosił się z naszego pastwiska.

Logan puścił wodze, następnie, kolejno, zbladł i pociemniał na twarzy. Przypominał teraz czarną bestię, która szykuje się do rozszarpania swojej ofiary.

- Przepędzę stado drogą, którą wybrałem - rzekł chrapliwym głosem. - Bo tak będzie prędzej i ponieważ zawsze były to otwarte pastwiska. I ponieważ nienawidzę tych drutów kolczastych. Gdy zechcę, potnę je wszystkie!

Katherine gwałtownie potrząsnęła głową.

- Niczego nie może pan zechcieć, McCloud. Bo my stoimy na ziemi, która jest naszą własnością, i wara ci od nas, naszych owiec i ogrodzeń.

Chwilę spoglądał w jej oczy.

- A jednak pojedę tą drogą - powiedział ściszym głosem.

Zbyt ściszym głosem. A nadto głosem, w którym pobrzmiwał smutek. Gniew zniknął z jego twarzy i wyglądał teraz tylko na wyczerpanego i zmęczonego do ostatnich granic.

Pomimo całej przepaści, jaka rozwarła się między nimi, potrafiła wczuć się w jego położenie. Oboje byli hodowcami. Obojgu zamieć przyniosła dotkliwie straty. Katherine zdecydowała, iż rzeczą ludzką będzie ustąpić.

- Tym razem, panie McCloud, pozwolę panu na przegon bydła przez moje ziemie. I proszę potraktować to jako spłatę długu wdzięczności za uratowanie mi życia. Oczywiście, chyba nie muszę dodawać, że oczekuję naprawy ogrodzenia, gdy tylko przejedziecie.

Logan wskoczył na siodło. Oni również dosiedli koni.

Odjeżdżał już, gdy rzuciła:

- A więc odtąd jesteśmy kwita!

Nie zatrzymując się, krzyknął do tyłu:

- Powiem ci, kiedy będziemy kwita, panienko!

Katherine z gniewem spojrzała na brata.

- Ani słowa - ostrzegła go, po czym z miejsca ruszyła galopem.

9

Katherine otarła rękawem spoconą twarz. Jej zielona, flanelowa koszula i niebieskie spodnie były aż sztywne od krwi i tłustej lanoliny.

Od wczesnego świtu znakowali jagnięta, kastrowali je i przycinali im ogony. Ona, Daniel oraz dwaj robotnicy, Will i Harry. Sądząc z dotychczasowego tempa pracy i patrząc na kojce pełne oczekujących kandydatów, mogło im to zająć kilka dni. Bardzo długich dni.

- Pośpiesz się, Kate - upomniał ją Daniel, podsuwając siostrze do oznakowania beczące jagnię. - Jeszcze nie czas na odpoczynek.

Odpocząć, położyć się, rozprostować zbolące kości. Albo lepiej: spakować się, wyjechać i już nigdy w życiu nie zobaczyć żadnej owcy!

Tymczasem jej dzień roboczy trwał szesnaście godzin. Stracili sześćset owiec i blisko sto jagniąt, to jest jedną piątą trzody. Na dalsze ubytki nie mogli sobie pozwolić.

- Proszę pani?

Najpierw usłyszała głos, a dopiero po pewnej chwili uświadomiła sobie, że to zwraca się do niej Will Murphy. Czekał, aż ona wykona swoją robotę, gdyż dopiero wówczas mógł zabrać jagnię do kojca.

- Przepraszam - wyszeptwała, po czym pacnęła puszysty brzuszek jagnięcia niebieską farbą.

Harry, brat Willa, chwycił natychmiast następnę jagnię, rozłożył je na desce, zaś Daniel z godną podziwu wprawą dokonał na nim swych rakarskich czynności.

Znakowanie nie było czymś tak okropnym, jednak brudziło bodaj najbardziej, gdyż oszalałe z bólu zwierzęta rzucały się i pryskały krwią.

I tak to trwało, godzina po godzinie. Bez chwili wytchnienia. Również w najbliższej przyszłości. Już teraz wiedzieli, że skończywszy z jagniętami, przejdą bezpośrednio do strzyżenia owiec.

Rozprostowała kark. Podeszła do pieca i dźwignęła kolejny kubeł farby. Zabolały ją wszystkie mięśnie. Uginając się pod ciężarem, wróciła do pracy.

Trzy dni później zarysowała się nadzieja końca. Przynajmniej takiego zdania był Daniel. Zaczęli również o świcie. Krótco po obiadowej przerwie Katherine zauważyła, że na ich podwórze wjeżdża szeryf Dorn.

Zsiadł z konia, uwiązał go do kolumny ganku obok srokatego wierzchowca Daniela i skierował kroki w ich stronę. Gładko ogolony, wysoki i barczysty, w każdym calu wyglądał na stróża prawa i porządku.

- Danielu - powiedziała Katherine - spójrz, kto nas odwiedził.

Chłopak spojrzął za siebie i natychmiast zarządził przerwę w pracy. On i siostra wytarli ręce, po czym wyszli na spotkanie szeryfa. Dorn grzecznie uchylił przed Katherine swego brązowego stetsona i powitawszy Daniela kiwnięciem głowy, od razu przeszedł do celu swej wizyty.

- Przyjechałem porozmawiać z wami i waszą matką - rzekł z powagą w głosie.

- Mama jest na tyłach domu w ogrodzie. Wiesza bieliznę - wyjaśniła Katherine. - Może porozmawia pan najpierw z nami.

Danielowi było jeszcze bardziej pilno.

- Minęły już dwa miesiące od morderstwa naszego ojca. Czy znalazł pan tego śmierdzącego skunksa, który go zastrzelił?

Szeryf zatknął dłonie za pas z nabojami.

- Nie, nie znalazłem. I wszystko wskazuje na to, że nie znajdę - przez chwilę ważył coś w myślach. - Przyjechałem powiadomić was, że zamknąłem sprawę.

- Co? - warknął Daniel, a w jego zwężonych oczach zabłysła wściekłość.

W Katherine również coś zadygotało.

- Czy znaczy to, że pan się poddaje? Zamordowany został człowiek, a pan przechodzi nad tym do porządku? Umywa ręce? - pytała surowym, zbolałym głosem.

Ten podwójny atak nieco zaskoczył Dorna. Spoglądał na nich spod swoich krzaczastych brwi. Odchrząknął.

- Przepytałem każdego w promieniu trzech dni jazdy i wszyscy zgodnie orzekli, że niczego nie widzieli i nie słyszeli...

- I, oczywiście, jest to dla pana prawdziwą niespodzianką - powiedział Daniel głosem pełnym pogardy.

- Hodowcy bydła nigdy nie wydadzą żadnego ze swoich.

Myśl o tym, że morderca jej ojca chodzi sobie na wolności, wydała się Katherine wręcz nie do zniesienia.

- Nie mogę w to uwierzyć. Co to za kraj, w którym można bezkarnie zabijać ludzi? - Zacisnęła dłoń.

Szeryf wydawał się niewzruszony.

- Wiem, że dla was to bolesna sprawa. Ale nie mam żadnego punktu zaczepienia. Dłużej nie mogę ciągnąć śledztwa. Jeżeli wypłynie coś nowego...

Katherine odwróciła się. Zerwała kapelusz z głowy i w bezsilnej rozpacz trzepnęła nim o udo. Morderca jej ojca nadal cieszył się wolnością. Było to niepojęte!

- I co teraz? - zapytała, mierząc mężczyznę płonąącym spojrzeniem. - Mamy udawać, że nic się nie stało? Że nasz najdroższy... najukochańszy ojciec... - łykała łyżę, nie pozwalając popłynąć im po policzkach - nie został...

A jednak popłynęły i pomieszały się z jagnięcą krwią. Zalane wiosennym słońcem podwórze nagle jakby zasnuła różowa mgła. Krew była wszędzie.

Pobiegła w kierunku domu i wskoczyła na sroka-cza brata.

Daniel rzucił się za siostrą.

- Kate, zaczekaj!

Musnęła go nieobecny spojrzeniem.

- Chcę zostać sama - uderzyła konia cugłami i ruszyła galopem.

Nie wiedziała, jak długo jeździła i jakimi ścieżkami. Wiedziała tylko, że nie zniesie już dłużej krwi, brudu i bólu. Nad White Creek, toczącą swe wezbrane wody, zatrzymała się i zsunęła z siodła. Łzy nadal płynęły. Jednak jakiś głos podpowiadał jej, że prawo w końcu dosięgnie zbrodniarza.

Trzymając konia za uzdę, szła brzegiem rzeki. Rozmiękła ziemia ugiwała się pod jej stopami. Co tu robiła, w tej posępnej, surowej krainie, gdzie jeśli człowieka nie zniszczą kaprysy natury, to zabiją go inni ludzie?

Co ją powstrzymywało od przekazania gospodarstwa bratu i powrotu do Filadelfii?

Ciało jej przebiegł dresz. Była przestraszona, zła i zmęczona. Rzuciła się na młodą trawę i wybuchnęła głośnym płaczem.

- Nie, nie jadę do Cheyenne - powtórzył Logan.
- Kto jak kto, ale ty powinnaś o tym wiedzieć.

- Nigdy dotąd nie opuściłeś tego przyjęcia u Johnsonów - zauważyła Mary Rosa, wychodząc ze spizarni z jakimiś słoikami w koszyku. - Inni mogą poczuć się zawiedzeni... szczególnie Melissa - dodała z udaną naiwnością w oczach.

- Wielkie nieba, Mary Rosa! Odkąd to tak ci spieszno zobaczyć mnie na ślubnym kobiercu? - Wesół ton głosu Logana nie odpowiadał jego zasepionej twarzy.

- Ty i Melissa, zdaje się, przyjaźniliście się kiedyś ze sobą...

- Mniejsza z tym - zmarszczył brwi. - Sprawy sercowe są moją prywatną sprawą.

- Mówisz jak mężczyzna, który ma na widoku inną kandydatkę. Na przykład, powiedzmy, córkę owczarza.

- Nie mam czasu na takie głędzenia - rzekł sucho mężczyzna.

- Dziwne, że jak na człowieka, któremu bardzo się śpieszy, miałaś czas wykąpać się i wpałaszować tę potrawkę z kurczęcia.

- Jasne, przecież trzeba dbać o siebie - odsunął pusty talerz.

W przeciągu ostatnich dwóch tygodni nic szczególnego się nie wydarzyło. Bydło zostało zagnane na miej-

sce bez przeszkód, jednak końcowe straty okazały się ogromne. Około trzech tysięcy sztuk. Dodając do tego ubytki spowodowane dwiema poprzednimi zamieciami, zima zadała hodowcom prawdziwy cios. Szczególnie dotkliwy okazał się on dla mniejszych rancz, takich jak Bromleyów czy Morrisów. Logan miał nadzieję przetrwać.

Miał też nadzieję na spotkanie z Katherine. Zaimponowała mu swoją postawą tam, przy południowym ogrodzeniu. Natomiast Daniel budził troskę. Znając się trochę na ludziach Logan wiedział, że chłopak nie daruje mu tamtego upokorzenia.

Do tego wszystkiego dochodziła rzecz najbardziej niepokojąca. Okupione licznymi ofiarami wejście stada podczas śnieżycy na ogrodzenie Thornów narobiło strasznego rumoru wśród ranczerów. Już nie winiono zamieci, winiono druty i ludzi, którzy się przy nich upierali. Pół biedy, dopóki sarkania i groźby stanowiły tylko element sąsiedzkich pogaduszek. Mogła jednak nadejść chwila...

- Jest tam ktoś? - rozległ się męski głos, po czym drzwi otworzyły się i stanął w nich szeryf Dorn.

- Bob, ty stary piep... - Logan przerwał, obrzucając ciotkę wesołym spojrzeniem.

Mary Rosa powitała gościa najjaśniejszym ze swoich uśmiechów.

- Bob, nie stercz tak na progu, tylko wchodź, siadaj i mów, co byś zjadł.

Szeryf wszedł na czyste, sosnowe deski podłogi z brzękiem ostróg i stukiem obcasów.

- Jadę do fortu Laramie po odbiór dwóch więźniów, których tam dla mnie przetrzymują - wyjaśnił, kładąc na krzesle brązowy kapelus.

Mary Rosa postawiła przed szeryfem talerz z połówką duszonego kurczaka i pajdą ciemnego chleba.

- Trochę zboczyłeś z drogi, Bob. Czyżbyś zablądził? - zapytała przekornie.

Szeryf z trudem oderwał wzrok od smakowicie wyglądającej potrawy.

- Nie sędzę - powiedział z wielką powagą. - Choć nie mam nic przeciwko zbaczaniu z drogi, jeśli nagrodą mają być twoje smakołyki, Mary Rosa.

Logan zauważył zdradliwe rumieńce na policzkach cioteczki. Tych dwoje było gorszych od pary dzieciaków. Jeżeli Bob przyjechał tu w zaloty, to on, Logan, był całkowicie zbędną osobą.

Pod pierwszym lepszym pretekstem przeprosił ich i poszedł do swego pokoju. Wyjął z komody kilka koszul i pozostałą zapasową bieliznę. Teraz jedynie musiał uprzedzić ciotkę, że wyjeżdża. Wchodząc do kuchni, usłyszał słowa Dorna:

- Nie spodziewałem się, że panna Thorn aż tak to przyjmie.

- To znaczy, co się stało? - zapytał Logan z niepokojem w głosie. Usiadł przy stole, ściskając pod pachą tłumok z bielizną.

- Wybrałem się na ich rancho, aby powiedzieć im, że nie znalazłem mordercy starego Thorna i że w związku z tym zmuszony jestem zamknąć sprawę.

Logan odetchnął z ulgą. A więc w gruncie rzeczy nic się nie stało. Nikt nie skrzywdził Katherine. Bo to śledztwo od początku było beznadziejną sprawą. Szeryf zrobił wszystko, co mógł. W końcu jak można znaleźć mordercę, którego nikt nie widział?

- Powiedziałeś, Bob, że płakała - odezwała się Ma-

ry Rosa. - Poznałam ją trochę i nie wydała mi się dziewczyną, która leje łzy na zawołanie.

- Przede wszystkim była rozsierdzona. Żądała, bym nadal szukał zbrodniarza. I, oczywiście, w pewnym sensie nie przestanę go szukać, tyle, że trzeba mówić ludziom prawdę, a nie podsycać w nich złudne nadzieje.

- Kobiety czasem potrzebują pociechy - zauważyła dobitnym głosem Mary Rosa.

- Ale panna Thorn zachowała się jak szalona. Wskoczyła na konia i popędziła na złamanie karku.

- W jakim kierunku? - zapytał Logan.

Bob wzruszył ramionami.

- Najpierw na południe, a potem Bóg raczy wiedzieć.

- Sama?

Szeryf kiwnął głową.

Nie była to najlepsza wiadomość. Nawet za dnia samotni jeźdźcy nie mogli czuć się bezpiecznie w tych stronach. A co dopiero bezbronna kobieta, która na siłę szukała kłopotów.

Logan gwałtownie zerwał się z krzesła.

- Wracam do stada. Wciąż jeszcze nie skończyliśmy znakowania. A ty, Bob, przyjmij nasze zaproszenie i zostań do jutra. Odpoczniesz i posmakujesz specjałów Mary Rosy.

Szeryf uśmiechnął się z widocznym zadowoleniem. Podziękował.

Jak zareagowała ciotka, tego już Logan nie mógł wiedzieć, gdyż szybkim krokiem opuścił kuchnię. Trzasnął frontowymi drzwiami, dopadł konia i wepchnąwszy bieliznę do sakwy przy siodle, ruszył prosto na południe.

Godzinę później galopował już skrajem pastwisk Thornów. Nigdzie ani śladu Katherine. Dotarł do południowego ogrodzenia, a potem do miejsca, gdzie on i Katherine pokłócili się. Skowronki zachłystywały się swoimi trelami, a południowy wiatr niósł woń kwiatów i ziół.

Stanął w strzemionach i przebadał wzrokiem okolicę. Trawa, trawa, trawa. Wszędzie tylko zieleń traw. Wyszedł na skończony głupca. Włóczył się po prerii w poszukiwaniu zjawy, bo Katherine na pewno wróciła do domu. A poza tym, gdyby nawet natknął się na nią, to co właściwie miał jej powiedzieć? Że przyniósł go tu niepokój o nią? Albo też, że myśli o niej dzień i noc? Takie miłosne serenady można było śpiewać, lecz nie tej dziewczynie.

Pokręcił głową i ściągnął cugle w bok, by zawrócić konia. Nagle usłyszał dalekie rzenie. Joker też je usłyszał, gdyż postawił uszy i odpowiedział radośnie.

Logan spojrzął w kierunku drzew i zarośli, wyznaczających brzeg rzeczki. Wydało mu się, że widzi jakąś cętkowaną plamę. Najprościej byłoby teraz pogalopować tam... Ale drogę przegradzały te diabelskie, kolczaste druty, których Joker nie mógł wyraźnie widzieć, przez co nie mógł ich też przeskoczyć.

Chcąc nie chcąc, McCloud zsiadł z konia i uwiązał go do pala ogrodzenia. Sam przesadził przeszkodę i ruszył w kierunku drzew lekko kołyszącym się krokiem.

Zobaczył ją, gdy znalazł się już w cieniu listowia. Siedziała na kamieniu, zapatrzona w płynącą wodę. Jej gruby warkocz dotykał ziemi. Dotąd nie usłyszała

go, a mógł być przecież osobnikiem przybyłym tu w najgorszych zamiarach.

- Co, do diabła, robisz na tym odludziu?

Skoczyła na równe nogi. Odwróciła się. Dopiero teraz spostrzegł, że jest w samej bieliźnie.

- I gdzie, do diabła, podziałaś swoje ubranie?

10

- To moja sprawa! - odcięła się i nie zważając na swój negliż, ruszyła ku miejscu, gdzie stał przywiązany jej koń.

Była zbyt zmęczona i skołatana duchowo, aby wdać się w jakieś słowne pojedynki. Chciała być sama. Sama za wszelką cenę i wbrew wszystkiemu.

- Zaczekaj! - Logan chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął ku sobie.

- Puść mnie! - dziwnym trafem udało się jej wyrwać rękę. - Nie powinno cię w ogóle obchodzić, McCloud, co robie, gdzie i kiedy. - Zatrzymała się przy krzaku z rozwieszonym na nim ubraniem, które uprała kilka godzin temu i które już dobrze podeschło. - Być może powinnam była pozwolić Danielowi zastrzelić cię tamtego dnia.

- Nie gadaj głupstw, Katherine. Chcę tylko wiedzieć, co robisz tutaj sama. To miejsce nie jest bynajmniej bezpiecznym parkiem w Filadelfii, dokąd chodziłaś na spacer z swoją ciotką - powiedział z gniewnym sarkazmem.

Mógł się gniewać do woli. Nie była jego własnością. Pragnęła ciszy i spokoju. Znalazła je właśnie tutaj. A ten intruz wszystko to zniszczył.

Intruz ów jednak wcale nie miał zamiaru wycofywać się na paluszkach. Zagradzał jej drogę niczym blok bazaltowej skały.

- Czy to tak trudno zrozumieć, że znalazłam się tutaj, szukając samotności?

Zdjęła z krzewu spodnie, lecz koszula zaczepiła się i przy mocniejszym pociągnięciu rozdarła. Patrząc na postrzępione brzegi, Katherine miała wrażenie, jak gdyby poszarpała materię swego życia.

Cała jej śmiałość i ufność w lepsze jutro ulotniły się w przeciągu ostatnich dni harówki i bezsennych nocy, podczas których marzyła, że jej ojciec nadal żyje, ona zaś przyjmuje eleganckie klientki w małym, lecz gustownie urządzonym sklepiku z kapeluszymi. Dlaczego los okazał się tak gwałtowny i bezlitosny? To nie było uczciwe.

Po jej policzkach popłynęły dwie duże łzy. Zacisnęła dłonie, wbijając w ciało paznokcie. Niech to diabli wezmą! Gotowa jeszcze rozplakać się jak mała dziewczynka.

Odwróciła się i jęła naciągać koszulę. Zobaczyła wówczas całą długość szpetnego rozdarcia. Wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Musiała jak najszybciej opuścić to miejsce.

Rzuciła się do ucieczki i wpadła prosto na Logana. Był nawet twardszy od bazaltowej skały.

Ale dotyk jego dłoni, gdy ujął ją pod brodę, zadziwił miękkością. Uniósł jej twarz i zatopił ogniste spojrzenie w zasnutych łzami prześwitach błękitu.

- Jestem po prostu zmęczona - powiedziała z westchnieniem.

- Wiem o tym - pocałował ją w czoło.

Zmęczenia jakby ubyło.

- Tyle rzeczy zważyło się na moje barki...

- Wiem o tym - dotknął ustami jej policzka.

- Mam już dość owiec...

- Ja również - przyznał z uśmiechem i pocałował ją w drugi policzek. - Poza tym brakuje ci ojca.

Serce Katherine przeszło ostry ból.

- Tak, mój Boże, tak! Chcę widzieć go znowu żywego, słyszeć jego śmiech i gniewne pomruki...

Wiedziała już, co było najważniejszym powodem dzisiejszego załamania: sieroctwo i związana z nim bezradność.

Logan trzymał ją mocno w ramionach.

- Rozumiem cię, kochanie. Wierz mi, potrafię zrozumieć twoje uczucia. Mój ojciec umarł osiem lat temu, a prawie nie ma dnia, bym nie poświęcił jakiejś myśli temu teksaskiemu kowbojowi.

Ujrzała litość w jego oczach. To ją przeraziło. Litość wzbudzają słabi. Ona musiała być silna. Jeśli załamie się i pogodzi z klęską, to kto pomoże rodzinie? Matka i brat wiązali z nią duże nadzieje. Nie mogła ich zawieść. Nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Zamknęła oczy. Podjęła wewnętrzną walkę.

- Czuję się taka...

- Opuuszczona - odpowiedział, a ona kiwnęła głową.

Znów delikatnie pocałował ją w policzek.

- Moja błękitnooka, bardzo chciałbym móc dać ci odpowiedzi na wszystkie pytania. Wiem jednak tylko tyle, iż rzeczy oglądane we wspomnieniu nabierają barw i stają się ciekawsze. Pamięta się raczej tylko dobre chwile i człowiek często wraca do przeszłości jedynie po to, aby się pocieszyć.

Wsparła czoło o jego pierś. Pachniał słońcem, wiatrem, koniem i skórą. Był silny, ciepły i kipiący życiem. Jego serce waliło niczym młot. Dotknęła dłońią

tego miejsca. Poprzez materiał koszuli wyczuła mięśnie i żebra. Spłynęło na nią wielkie uspokojenie.

Usłyszała nad sobą jego głos:

- Wszystko jakoś się ułoży. Czas załagodzi rany, ludzie wyciągną rękę. Nie jesteś sama. Są tacy, którym twój los leży na sercu.

Jakby dla potwierdzenia swych słów przytulił ją do siebie. Uniosła ku niemu twarz, a on spoglądał w jej obmyte łzami oczy. Czuła się spokojna i bezpieczna. Po gniewie i strachu nie pozostało w niej ani śladu. Znalazła opiekuna. Czyżby była aż tak słabą i bezbronną istotą, że nie mogła się bez niego obejść?

On zaś patrzył na jej bezbrzeżną samotność i czuł gniew na samego siebie. Gdybyż znał jakieś magiczne słowo, które mogłoby zmienić jej życie i uczynić je bardziej pogodnym...

- Szukałem cię i znalazłem - powiedział z wielką prostotą.

A więc przejechał szmat drogi specjalnie dla niej! Przyjęła z wdzięcznością ten balsam na otwartą ranę. Zawsze zjawiał się przy niej w momencie, kiedy potrzebowała wsparcia i pomocy.

- Cieszę się, że przyjechałeś, Logan.

- Naprawdę, polny kwiatuśku?

- Tak - na jej wargach jał błąkać się niewyraźny uśmiech.

Uniósł prawą brew prawie do pół czoła.

- Nawet jeśli jestem tylko... kowbojem? - Wędrował wskazującym palcem po brzegu różowej muszli jej ucha.

Katherine była piękna i pożądał jej.

- Nie jesteś zwykłym kowbojem.

Przeniósł wzrok na jej wargi.

- Dziękuję, Katherine. Staram się we wszystkim przekraczać rutynę codzienności.

Pochylił głowę. Ich usta spotkały się. Przywarł do niej całym ciałem. Zalała ją fala rozkosznego gorąca. Nie mogła się ruszyć, jak nie mógłby się ruszyć motyl wtopiony w ciemny kryształ. Prawie nie mogła odychać. Wszelkie myśli odleciały.

Pozostało samo słodkie omroczenie. Wbiła palce w mięśnie jego ramion. Jęknęła. Odpowiedział na jej jęk wzmożoną pieśczołą. Masował dłońmi jej szyję, kark, plecy i biodra.

- Zaufaj mi - wyszeptał - a sprawię, że ponure koszmary znikną z twego życia.

Na razie sprawił, że nie poznawała samej siebie. Nogi uginały się pod nią w kolanach. Głowa uciekała gdzieś do tyłu, zaś całe ciało roztopiało się w drżącej ekstazie.

Być może były kobiety, które w takich chwilach potrafiły się bronić. Ona, Katherine, nie wyobrażała sobie nawet takiej możliwości. Bo jak tu nie zmoknąć, gdy zostało się zaskoczonym przez burzę w bezdrzewnej, płaskiej okolicy? Właśnie spadła na nią burza jego pocałunków.

- Katherine, moja słodka Katherine. Tęskniłem za tobą i tak bardzo pragnąłem znów wziąć cię w ramiona.

Obrysował opuszkiem palca jej nos, kości policzkowe i brodę.

Z wysiłku uniosła ciężkie, jakby senne powieki. Ujrzała jego uśmiech i ogorzałą twarz. Czarne oczy błyszczały wszystkimi obietnicami świata. Zapragnęła, by zaczął je spełniać. Pragnęła dalszych, głębszych, dzielszych pocałunków.

On tymczasem bawił się jej włosami.

Uwielbiał je, ich miодно-pszenney kolor i zapach, miękkosć, sypką konsystencję złocistego piasku. Gdy je rozpuszczała, tworzyły wokół jej ramion pelerynę. Kiedy splatała w warkocz, przypominały gigantycznego, królewskiego węża. Wolał rozpuszczone. Rozwiązał więc niebieską tasiemkę i porozdzielał poskręcane sploty. Nastąpił cud pomnożenia. Z jednego stała się wielość, nieprzeliczona, pyszna, oszałamiająca.

- Przypominasz teraz anioła. Tak niewiele radości miałaś w życiu. A chyba jeszcze mniej przyjemności. Może nawet nie wiesz, co to przyjemność. Za chwilę będziesz wiedziała, moja najcudowniejsza.

Zwarli się ustami. Lecz to nie był już pocałunek, tylko drażnienie i spijanie soków. Katherine, z której ulatywały wszystkie myśli, zdołała pomyśleć o jednym. O nasyconej wilgocią glebie na wiosnę. W nich obojgu również nastala wiosna, a podskórne wody wylewały się na powierzchnię.

Pękały paki. Dziewczyna poczuła, że całym swoim jestestwem rozchyła się i rozwiera. Wszystko w niej drżało, płonęło, przeobrażało się. Jego oddech owiewał jej delikatną skórę, lecz nie przynosił ukojenia, tylko jeszcze wzmagał pragnienie. Zanurzyła palce w jego gęste włosy i już nie wiedziała, gdzie kończy się rozkosz, a zaczyna ekstaza.

Tylko dalekim obrzeżem świadomości spostrzegła, że ściągnął z niej podartą koszulę i rozpiął guziki stanika. Następnie odkrył jej piersi. Obnażył je podwójnie, bo najpierw pozbawił je okrycia i wydobyl na światło dzienne, a potem jął chłonać ich nagość zachwyconym, płonąącym spojrzeniem.

Zawstydzila się.

- Tak nie można - wyszeptała słabym głosem.

Jednak całą sobą mówiła co innego. Jej serce waliło w pościgu za rozkoszą, a wzrok omdlewał w przyzwoleniu. Jej dłonie na ciele Logana poszukiwały bliskości.

McCloud nie mógł nasycić spojrzenia. Patrzył na piękność, jakiej nigdy jeszcze nie trzymał w ramionach. Lazur oczu, biel piersi, złoto włosów i różowość brodawek tworzyły mieszankę godną najsubtelniejszego pędzla.

Boże, jak bardzo jej pożądał. Bo czyż można patrzeć na piękno, nie pożądamy go?

- Pozwól - powiedział, dotykając jej piersi.

Odniosł wrażenie, że dotknął puszystego kwiatu białej peonii. Kwintesencji gładkości, delikatności, miękkości. A w samym środku przeżył się pręcik sutka, jakby oczekując na zapylenie. Ujął go w wargi i musnął koniuszkiem języka. Katherine wyszeptwała coś chrapliwie. Raczej domyślił się samego słowa, niż je zrozumiał.

- Wiem - odpowiedział, myśląc o dalszych rozkoszach, które pragnął z nią dzielić.

Poczuł jednak, iż powoli zaczyna tracić panowanie nad sobą. Już nie pieścił płatków kwiatu, tylko je roznijał. Zanurzył twarz w przełęczy pomiędzy piersiami. Słyszał w uszach pulsowanie krwi. Niecierpliwłość, przyrodnia siostra żądzy, pchnęła go ku dalszym zdobyczom.

Katherine była tylko w długich, batystowych pantalonach, ściągniętych w pasie na gumkę. Zsunął je z bioder, a dalej spadły już same. Miał więc ją wreszcie nagą. Ześlizgnął się spojrzeniem po płaskowyzu brzucha w cienisty kielich ud.

I znowu zawstydziała się i chciała przylgnąć do

niego. Nie pozwolił na to. Rozchylił dłonią jej długie, bardzo długie nogi i zaczął pieścić uda od wewnętrznej strony. Głowa Katherine opadła do tyłu, a w półotwartych ustach błysnęły białe zęby.

- Spójrz na mnie - poprosił.

Minęła długa chwila, zanim uniosła powieki.

- Jesteś piękna. Tak piękna, że aż trudno w to uwierzyć. I jesteś moja, Katherine.

Wziął ją, bezwładną, na ręce i złożył kilka metrów dalej na miękkiej trawie nad brzegiem rzeki. Klęcząc, zrzucił koszulę, a potem zsunął spodnie.

Był teraz jej równy. Również nagi. Tyle, że ona przez skromność czy też upojenie nie widziała tego. I dopiero kiedy poczuła jego nagość na sobie, powitała ją głębokim westchnieniem i spazmatycznym dreszczem. Zaraz jednak przyszło opamiętanie. Ta dolegliwa i sztywna twardość na podbrzuszu była czymś zupełnie nowym, groźnym i bolesnym. Uda instynktownie zwarły się, ciało naprężyło.

Logan wyczuł opór i ponowił pieszczoty. Walczył z jej strachem, ale też zmagał się z własną niecierpliwością. Smagała go żądza, a musiał postępować jak najczulszy z kochanków. Katherine w pełni na to zasługiwała. Gładził ją, całował, dotykał i smakował aż do chwili, gdy znowu rozchyliła się na jego przyjęcie.

Ale nawet teraz nie śpieszył się. Zanurzył dwa palce w wilgotną, gorącą miękkość. Dziewczyna glucho jęknęła, rozrzuciła nogi i wygięła w łuk swe ciało. Jej absolutnie bezwstydną w tej chwili poza podniecała go, zachwycała, chwytiała za gardło. Oto leżał na miękkiej murawie z dziwką-dziewicą, wszeteczną nieskalaną jak lilia. Oddawała mu swoją czystość w upojeniu i eks-

tazie, skromność nie licowała przecież z miłosnym szalem.

Bo Katherine czuła się wsysana przez wir. Od podbrusza po jej ciele rozchodziły się fale upojnego gorąca. Sutki łaskotały, jakby za chwilę miały trysnąć sokiem. Krzyż zdawał się być rozpalonym prętem. Czuła mrowienie, łaskotanie, palenie w wielu różnych miejscach. Jeśli za chwilę to nie ustanie, zacznie chyba krzyczeć, więc się i rzucać jak opętana.

Doszły ją słowa Logana. Zdławionym, zachrypniętym głosem prosił ją o zgodę.

Zgodę na co? Znała odpowiedź na to pytanie. Chciał, ażeby świadomie mu się oddała. Jeżeli w ogóle jeszcze zachowała jakieś resztki świadomości.

- Tak, Logan. Tak!

Oplotła go ramionami i nogami. Przywarła do niego, niczym bluszcz do ściany. Wstrzymała oddech.

Czekała całą wieczność. Przynajmniej tak się jej wydawało. A potem nagle rozdarł ją piorun. I cisza. Bezruch. Uspokojenie. Logan był w niej i oczekiwał, aż ona go zaakceptuje.

Uderzyły na nią poty. Wyrzuciła biodra do przodu. Wówczas i on drgnął, a z tego drgnienia narodził się rytm, cała melodia cielesnego ruchu. Przypominała jej tamtego wiedeńskiego walca, którego tańczyli razem. Ta sama płynność, delikatność> czułość. I ten sam rozkoszny zawrót głowy.

Ale wtedy po prostu tańczyli. A teraz ona leżała bez ruchu, on zaś zapadał w nią i wynurzał się, niczym pływak, który wychyla głowę dla złapania powietrza. Zaczęła więc nieśmiało naśladować jego ruchy. Z początku szło jej bardzo nieporadnie, lecz w pewnym momencie złapała rytm i dostroiła się do kochanka.

Podziękował jej najdzikszy z pocałunków.

- Logan - jęknęła.

- Katherine...

Wbiła paznokcie w skórę na jego plecach. Gryzła jego ucho. Opanowało ją marzenie, iż Logan chowa się w niej cały.

Ich ruchy stawały się coraz szybsze i szybsze. Zaczęła rzezić. Wiedziała, że umiera, lecz było to rozkoszne umieranie. Miało w sobie słodycz omdlenia, jasność fajerwerków i uniesienie zwycięstwa.

Nagle pechnął raz i drugi tak silnie, że niemal przygwoździł ją do ziemi. Krzyknął. Palące soki wypełniły jej wnętrze i wylały się na pośladki i uda.

Znieruchomieli, dysząc. Dopiero teraz poczuła ciężar jego ciała. Ale on jakby to odgadł i nieznacznie uniósł się na łokciach. Patrzył z góry na jej wpeł omdlałą twarz.

Wiedział już, że odnalazł ten rzadki skarb, którego szukał od lat - Katherine Thorn. I teraz pragnął go sobie przywłaszczyć.

Na zawsze.

Delikatnie dmuchnął w jej zamknięte oczy.

Otworzyła je. Zajaśniał błękit.

- Porozmawiam z kaznodzieją i ustalę z nim datę ślubu. Możliwie najbliższą.

11

Serce skoczyło jej w piersi, jakby chciało rozsadzić żebra. Mężczyzna, który właśnie przeobraził jej świat w sposób równie bezpowrotny, jak trzęsienie ziemi zmienia bieg rzeki, poprosił ją o rękę.

Przez dłuższą chwilę tylko patrzyła w jego ciemne, śmiejące się oczy. Próbowwała wyobrazić sobie siebie jako jego żonę, która budząc się rano, niezmiennie odnajduje go u swego boku i wita pocałunkiem. Logan przeciąga się, uśmiecha, przytula ją do siebie. Słodki, idylliczny, rozpaczliwie nęcący obraz...

- Chcesz ożenić się ze mną? - zapytała obrzmiałymi miłością ustami.

- Pragnę tysiąca rzeczy, moja ty czarodziejko - pocałował ją w czoło i pogładził po nagim ramieniu.

Nagle własna nagość wydała się jej czymś upokarzającym, a akt miłosny, który spełnili, postępkami grzesznym i niegodnym.

Z rumieńcem na twarzy uniosła się gwałtownie. Okryła piersi peleryną włosów i osłaniając łono, wstała. Rozejrzała się za ubraniem, a ujrzawszy je na ziemi pod krzakiem w odległości kilkunastu kroków, ruszyła w tamtą stronę.

Idąc, usiłowała nie myśleć o tym, iż Logan podąża za nią oczami. Mimo to całą sobą wyczuwała jego spojrzenie. Szła więc dumnie, wyprostowana i gibka, niczym wschodnia księżniczka.

Zachodzące słońce kładło na trawie długie cienie drzew. Zapowiadał się miły, ciepły wieczór. Świat zniewalał swym pięknem, tylko jej dusza była zła i zbrukana. Czy tak postępuje porządna dziewczyna? Jak to się stało, że sprawy zaszły tak daleko? Palił ją wstyd. Wprawdzie to Logan rozniecił w niej ten płomień, ale to ona powiedziała „tak”. Gorzej: czerpała rozkosz z każdej sekundy cielesnego zbliżenia.

Przy wkładaniu bielizny drżała jak liść osiki. Słyszała za sobą Logana. Zapewne również się ubierał. Nucił jakąś melodię. W pewnym momencie przerwał, aby powrócić do tematu ślubu.

- Nigdy dotąd nie myślałam o zamążpójściu - oświadczyła zupełnie szczerze.

- I nie chciałaś wyjść za mąż?

- Nie, przynajmniej w najbliższej przyszłości. - I na pewno nie za hodowcę bydła, choćby był najprzystojniejszym mężczyzną pod słońcem, dodała w myślach.

Zapinając guziki, spojrzała przez ramię na McClouda. Był nie tylko przystojnym mężczyzną. Po stokroć ważniejsze było to, że dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Uporawszy się ze spodniami i koszulą, usiadła na trawie, aby włożyć skarpety i buty.

Wtedy z wyjątkową ostrością dobiegło ją jedno zdanie z poświęconego małżeńskim planom monologu Logana:

- ...i, oczywiście, sprzedasz mi swoje ranczo...

- Chwileczkę! - zawołała, podrywając się na nogi.

- Czy dobrze usłyszałam? Powiedziałaś: sprzedasz ranczo?

- Tak - odparł, podchodząc. - Sprzedasz mi ranczo, a ja wezmę pod opiekę twoich najbliższych.

Ale to byli właśnie j e j najbliżsi i to ona była za nich odpowiedzialna. Czyż mogła przerzucić wszystko na Logana?

- Również Daniela?

Logan zmrużył oczy, ale nie zawahał się.

- Jeśli zależy ci na tym, może mieszkać razem z nami. Myślę jednak, że jakaś szkoła na wschodnim wybrzeżu byłaby lepszym rozwiązaniem.

- Nie różniłoby się to niczym od pozbycia się go. Daniel nie chce chodzić do szkoły. Chce prowadzić ranczo.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Może uda mi się przekonać go do mego pomysłu.

- Wątpię.

- Dlaczego?

- Ponieważ Daniel uważa, że jesteś zamieszany w morderstwo naszego ojca.

Logan zamilkł w bezruchu. Następnie podszedł do Katherine i położył dłoń na jej ramieniu.

- A ty? - zapytał.

- Ja tak nie uważam - odparła, patrząc w jego niespokojne oczy.

- Dzięki, Katherine - ścisnął jej ramię. - Natomiast co się tyczy samej ceremonii, to sprowadzę tu kaznodzieję z Cheyenne...

- A co z moją matką?

To pytanie zmieszało go.

- Kiedy sprzedasz mi ranczo, a ja je zlikwiduję, twoja matka, oczywiście, przeniesie się do nas. Powiększę dom i będzie miała własny pokój.

- Ona nie chce spędzić reszty życia w jakimś ciasnym kojcu. Chce mieć własny dom. Zawsze pragnęła domu i teraz go posiada.

- Cóż, nie sądzę, aby było rozsądną rzeczą pozostawiać ją w domu całkiem samą. Jestem pewien, że kiedy powiadomimy ją o naszych zamiarach, wszystko zrozumie i na wszystko się zgodzi.

Ale jak ona, Katherine, powie o tym swojej rodzinie? Jej nierozważny postępek miał zmienić nie tylko jej życie, lecz również życie brata i matki. Jak im powie, że złamała dane obietnice i przekreśliła wspólnie układane plany?

Patrzyła na mężczyznę, przyglądała się jednak własnym myślom. Ona i Logan ulegli porywowi żądzy, lecz w zasadzie to było wszystko. Czyż wobec tego miała odwracać się od swoich najbliższych i łączyć na całe życie z tym człowiekiem tylko dlatego, by rozgrzeszyć i moralnie usankcjonować jeden moment słabości?

Wiedziała, że na to pytanie mogła być tylko jedna odpowiedź.

- Nie wyjdę za ciebie, kowboju.

Uśmiech znikł z twarzy Logana, ustępując miejsca skupionej powadze.

- Dlaczego? - zapytał, odsuwając się od niej na krok.

Nie miała nic więcej do powiedzenia. Odwróciła się, aby odejść.

- Zaczekaj - zabiegł jej drogę. - Pierwsze tego typu doświadczenie należy zawsze do....

Zacisnęła usta.

- Pierwsze i zarazem ostatnie.

Poczuł, że coś się w nim burzy i buntuje. Zapropował jej siebie, swoją opiekę, wyzwolenie od tych przeklętych owiec, a ona chciała tym wszystkim wzgardzić. Kochał ją i pragnął się z nią ożenić, ona

zaś podeszła do całej sprawy jak do oferty kupna ta-
siemki w kolonialnym sklepiu.
Jaki błąd popełnił?

- Czy perspektywa małżeństwa ze mną wydaje ci
się aż tak straszna?

- Me dotykaj mnie! - wykrzyknęła, widząc, że Lo-
gan wyciąga ku niej rękę.

Zastygł w groteskowej pozie żebraka przed kościo-
łem. Patrzył na pobladłą twarz Katherine i w końcu
zrozumiał, że ta córka owczarza bynajmniej nie droczy
się z nim, ale jest śmiertelnie poważna.

Poczuł ból w sercu, jakby utkwilo w nim ostrze no-
ża. Ogień namiętności, który dotąd rozgrzewał go od
wewnątrz, nagle wygasł, pozostawiając zimną pustkę.

- Może powinnaś, wzięwszy pod uwagę zaistniałą
sytuację, raz jeszcze przemyśleć swoje stanowisko? Ja
w każdym razie nie wycofuję się z oświadczyn.

- Czy mówiąc o „zaistniałej sytuacji”, masz na my-
śli tamto nasze zwierzęce tarzanie się na trawie?

Spojrzał gdzieś w bok, za rzekę, na horyzont.

- Skoro tak to odebrałaś... Nie mogę odwrócić te-
go, co już się wydarzyło, ale, na Boga, gdybym mógł,
nie zawahałbym się.

A zatem i on żałował miłosnego porwy. Mimo
wszystko przyjęła to jako policzek. Zresztą, kopulacja
mężczyzny i kobiety to jeszcze nie miłość. Logan nie
kochał jej i ona też go nie kochała, nie mogła kochać...

Była już całkowicie ubrana. Pozostawało jedynie
włożyć na głowę kapelusz. Zrobiła to.

- Zwalniam cię ze wszystkich zobowiązań wobec
mnie.

Przeczesał ręką włosy.

- A jeśli jesteś w ciąży?

Że też nie poświęciła temu ani chwili zastanowienia! Jak mogła być tak bezmyślna? Przecież nie uważała się za durne dziewczątko z głuchej prowincji.

- Nie jestem - odparła w nadziei, że słowa mają magiczną moc tworzenia rzeczywistości.

- W tej chwili nie możesz być pewna. I proszę, nie próbuj zbyć mnie byle czym. Zbyt dobrze cię poznałem, Katherine. Znam każdy zakątek twojego ciała.

Odrzuciła do tyłu głowę, mierząc go lodowatym spojrzeniem.

- Wszystko skończone. I jeśli raz jeszcze choć słówkiem ośmielisz się wspomnieć o...

Jego oczy pociemniały od smutku, ale trwało to tylko krótką chwilę.

- Dobrze, że to i owo zdążyliśmy sobie wyjaśnić. W tej sytuacji mam zamiar zamieścić w okręgowej gazecie ogłoszenie następującej treści: „Logan McCloud i Katherine Thorn zakosztowali swych ciał, po czym rzeczona panna odrzuciła oświadczyzny kawalera”. - Jego głos wprost ociekał sarkazmem.

- Do jasnej cholery, Logan, nigdy nie staniesz się dla mnie ważniejszy od rodziny! - wykrzyknęła histerycznie.

- Rób, jak chcesz, kochanie.

Słońce dźwigało się znad horyzontu, barwiąc jasnymi różami wschodnią połąć nieba. Zapach dymu ogniska zdawał się wskazywać, że śniadanie już wkrótce będzie gotowe. Loganowi było wszystko jedno.

Wokół niego wstawali, ziewali i przeciągali się mężczyźni. I od razu zaczynali narzekać. Dosłownie na wszystko. Od posiłków pichconych przez Co-

kie'ego po życie w ogólności. Typowe kowbojskie brednie, pomyślał McCloud i odrzucił koc.

Nie zmrzył oka przez całą noc. Nie, żeby nie chciał zasnąć. Cholernie chciał. Tylko że sen wymagał wyrzucenia z myśli Katherine Thorn, a na to nie było go stać. Przynajmniej jeszcze nie teraz, kiedy dopiero co został odtrącony.

Zwijając koc, pociągnął nosem. Oto, czego mu było potrzeba. Kubka mocnej kawy, tak mocnej i gęstej, żeby wrzucona do niej podkova uttrzymała się na powierzchni.

- Cześć - powiedział Cookie, unosząc wzrok znad patelni, na której skwierczał bekon.

- Nalej mi kawy - wymamrotał Logan, który stwarzał w tej chwili wrażenie człowieka leczącego kaca.

Dostał kubek czarnego, aromatycznego napoju.

- Dzień dobry! - wyszczerzył do niego zęby Pete.

Mężczyzna jęknął w duchu. Jak ludzie mogą się uśmiechać przed wypiciem co najmniej trzech takich kubków, jaki trzymał w dłoni?

- Dobrze się spało? - zapytał Watkins, podchodząc. Jego kubek parował w świeżym i chłodnym powietrzu poranka.

Logan kiwnął głową. Było to zwykłe kłamstwo. Czekają ich dzisiaj wielkie znakowanie bydła. Ranczerzy z okolicy robili to wspólnie, angażując w operację wszystkich swoich ludzi i poważne środki. Podział stada na mniejsze grupy podczas przegonu dokonał się wyłącznie na umownych zasadach, aby każdemu było łatwiej odżywić pogłowie i doprowadzić je do jakiej takiej kondycji. Na otwartych pastwiskach stada w naturalny sposób mieszały się ze sobą. O prawach

własności świadczyły jedynie piętna wypalone na zadach.

Logan, nie czekając na koniec śniadania, przystąpił do wydawania rozporządzeń.

- Pete, chcę dzisiaj sześciu ognisk zamiast czterech. I wyślij dwa tuziny chłopców do spędzania mniejszych grup i pojedynczych sztuk, które odłączyły się od stada. - Kończył już drugą kawę i teraz mógł spojrzeć znad brzegu blaszanego kubka na swego zarządcę. - Pete, czy ogłuchłeś?

- Ależ słucham - odparł tamten, niemal dławiąc się kawałkiem bekonu.

Logan nacisnął kapelusz i ruszył w kierunku zagrody, w obrębie której miało odbywać się znakowanie. Po kilku krokach stanął i spojrzał za siebie. Żaden z jego ludzi nie ruszył się z za stołu zbitego z nieheblowanych desek.

- Idziemy, chłopaki! Czekają nas masa roboty. Nie mam zamiaru spędzić tu całego lata.

Wszystkie twarze zwrócone były w jego stronę. Obrosłe szczecina szczęki pracownicy żuły bekon.

- Szefie, nie bądź taki w gorącej wodzie kapany. Daj nam przelknąć - odpowiedział Pete.

McCloudem powodowały dzisiaj jego własne demony. Chciał się zatracić w pracy, aby nie myśleć o niczym innym. Słowa zarządcy częściowo go otrzeźwiły.

- Daję wam kwadrans - rzucił i podjął marsz ku zagrodzie i przywiązany do pali koniom.

Osiadł w pośpiechu Jokera i już miał na niego wsiadać, kiedy doleciał go okrzyk Watkinsa:

- Spójrz! Mamy gości! - Pete wstał od stołu i po chwili dołączył do Logana.

Od południowej strony zbliżał się samotny jeździec.

Kiedy osadził konia, zauważyli, że cały pokryty jest grubą warstwą kurzu. Uchylił kapelusza i otarł rękawem koszuli spocone czoło.

- Dzień dobry - pozdrowił ich z południowym akcentem.

- Dzień dobry - odpowiedział Pete.

- Zapraszam na śniadanie - rzekł Logan, patrząc badawczo na mężczyznę. Zachodnia gościnność nakazywała zadbać o wędrowca.

Nieznajomy zsiadł z konia, który bił niespokojnie kopytem o ziemię.

- Dziękuję za zaproszenie. Czy to pan jest McCloud?

- Ja - potwierdził Logan. Ten człowiek nie wzbudzał zaufania. Przede wszystkim nie wyglądał na kowboja. Nosił spodnie z kozłej skóry i miękkie mokasy.

Obcy spojrział na Logana oczami, z których wyzierał lodowaty chłód.

- Jake Faraday - przedstawił się z irytującą flegmą.

McCloud skurczył się w sobie jak do skoku. Znał to imię i nazwisko. Lecz cóż porabiał w tych stronach głośny rewolwerowiec?

Rozmowy przy oddalonym o kilkanaście kroków stole zamilkły. Widocznie do uszu kowbojów dotarły ostatnie dwa słowa.

Wedle krążącej famy, Faraday miał zabić ponad tuzin mężczyzn. Logan nie do końca dowierzał plotkom, jednak ten człowiek najpierw pracował dla pułkownika Dodge'a, a później przy załadunku i ochronie transportów złota z kopalni w Colorado. Przy takich robotach niemal codziennie dochodziło do wyciągania spluw.

Ostatnio przekazywano sobie również inne plotki. Mówiono, że któryś z ranczerów planował wynajęcie rewolwerowca. Czyżby ten głupiec przemienił wreszcie zamiar w czyn? Ale to oznaczało, że sytuacja, zła już dzisiaj, jutro mogła przemienić się w katastrofalną.

- Słyszałem co nieco o zawodowym rewolwerowcu o tym nazwisku - Logan spojrzął na wykładaną perłową macicą rękojeść rewolweru, która wystawała z kabury zawieszanej nisko na prawym biodrze mężczyzny.

- Zgadza się - potwierdził krótko Jake. Od dnia wypuszczenia z jankeskiego więzienia przed piętnastoma laty chwycił się różnych zajęć. Pracował przy bydle i koniach, zakosztował hazardu i odkrył, że nie jest w tym dobry, aż wreszcie odnalazł swoje powołanie w strzelaniu. Na tym polu nikt nie mógł mu dorównać, a lata praktyki przemieniły talent w maestrię.

McCloud lustrował go wzrokiem, o którym można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był przyjazny. Jake zastanowił się, czy czasami nie popełnił błędu. Mógł z łatwością wymienić zmyślane nazwisko. Była to jednak możliwość czysto teoretyczna, Jake bowiem nigdy nie podszywał się pod kogoś innego. Miał swój własny kodeks honorowy, w którym nie było miejsca na kłamstwo.

- Kto cię tutaj przysłał? - zapytał Logan.

- Wielki Jim Poteet. Powiedział, że u pana zawsze znajdę pracę. - Jake'owi chodziło o pracę, która nie wymagała spoglądania za siebie. Albowiem Jake czuł się zmęczony. Zmęczyło go ciągłe pamiętanie o tym, aby za plecami mieć tylko ścianę, skałę lub gruby pień drzewa.

- Wielki Jim? - powtórzył Logan, unosząc jedną brew. Znał faceta o tym przydomku i szanował go. Był on dyrektorem kopalni złota, w której McCloudowie mieli znaczne udziały. - Skąd się znacie?

Jake dotknął kciukiem kolby rewolweru.

- Oddawałem mu ostatnio pewne usługi. - Przybysz nie krył, o jakiego typu usługi tu chodziło.

- Nie potrzebuję rewolwerowców - powiedział Logan tonem wykluczającym wszelką dyskusję.

Jake poczuł skurcz serca, ale jego twarz pozostała nieruchoma. Przerzucił ciężar ciała na jedną nogę. Potrzebował tej pracy. Przejechał za nią porządny szmat kraju.

- Mężczyzna robi to, panie McCloud, co utrzymuje go przy życiu. Co nie znaczy, że zawsze musi robić to samo.

Odpowiedź ta zaciekała Logana. W ogóle było coś intrygującego w tym południowcu. Nie pasował do szablonu rewolwerowca. Ci, których do tej pory poznał, byli pretensjonalnymi elegancikami i chwaliłpiętami, brzydzącymi się pracą na ranczo.

Podszedł do karego wierzchowca Faradaya i poklepał go po kłębie. Znał się na koniach, a ten wałach niewątpliwie przyciągał uwagę. Potrafił też ze sposobu, w jaki jeździec traktował zwierzę, wyrobić sobie opinię o człowieku.

- Piękny - pochwalił.

- Ja i Jeb nie rozstajemy się od lat. - Jake sięgnął do kieszeni kurtki, a wyjąwszy bibułkę i tytoń, skrzył sobie papierosa.

- Pracowałeś już kiedyś przy bydle?

Tamten potarł zapałkę o rękojeść rewolweru.

- Pracowałem przez jakiś czas u Hale'ów.

Bracia Hale zaliczali się do największych hodowców bydła w południowym Teksasie.

- Jak długo? - dopytywał się Logan.
- Około trzech lat.

McCloud miał przeczucie, iż Jake jest szczerzy. Poza tym podobało mu się, że nie starał się usprawiedliwiać ze swojego fachu zabójcy. Taki człowiek mógł okazać się przydamy. Chociażby po to, aby odstraszyć niektórych ranczerów rozwścieczonych na Thornów.

- W porządku - zdecydował. - Dam ci szansę. Zapłata jak u wszystkich. Będziesz wypełniał polecenia Pete'a. On tu jest zarządcą.

- Może mnie pan najpierw sprawdzić, a dopiero potem przyjąć - powiedział Jake.

Logan powrócił do Jokera i wskoczył na siodło.

- Nie ma potrzeby. I tak wkrótce będę wszystko wiedział.

Ostre rysy Jake'a jakby złagodniały.

- Dzięki.

Ale Logan już nie usłyszał tego słowa. Pędził w kierunku stada. Czuł się w swoim żywiole. Potrzebował ruchu, pracy, wysiłku. I niebawem miał to wszystko w nadmiarze. Ogniska zapłonęły, a rozpalone do czerwoności żegadła poszły w ruch. Zaczął się pracowity dzień.

McCloud wybrał rzucanie lassem. Odłączał młode i nie oznakowane sztuki od stada, chwycił je na pętlę i włókł do któregoś z ognisk. Cała ta procedura trwała około pięciu minut, co jednak pomnożone przez kilka tysięcy dawało pełne wyobrażenie o ogromie czekającej ich pracy.

Po dwóch godzinach uganiań się na koniu niepokój i gniew Logana osłabły. Pozostał tylko bolesny

ucisk w żołądku, jakby skutek kopnięcia rozłoszczonego muła, ale wiedział, że tego bólu na pewno nie złagodzi ciężka praca.

Jaki właściwie błąd popełniłem?, zapytywał siebie wciąż od nowa i nie znajdował odpowiedzi.

Ofiarował jej swoje nazwisko, życie i majątek. Nigdy dotąd nie oświadczył się żadnej kobiecie. A kiedy w końcu to uczynił, dostał straszliwego kosza. Upokorzyła go, a przecież chyba na to nie zasłużył.

Spojrzał na niebo. Zbliżało się południe. Niebawem wszyscy przerwą pracę i zasiądą do jedzenia. Logan pomyślał, że chyba zrezygnuje z posiłku.

Chciał być sam. Lepiej zresztą, żeby mężczyzna, któremu nie dopisuje humor, usuwał się na stronę, a on był w paskudnym nastroju. Pomylił się w swojej ocenie Katherine i to całkowicie. Zachował się jak głupiec.

Był przekonany, że on i Katherine są dla siebie stworzeni. Oczywiście, różnili się bardzo, lecz w tych różnicach, jego zdaniem, cudownie uzupełniali. Myślał poza tym, że zapadł jej w serce. Bądź co bądź, oddała mu swoje dziewictwo, rzecz najcenniejszą dla kobiety. Lecz zaraz potem odwróciła się do niego plecami, jakby znał dla niej tyle, co zeszłoroczna trawa.

Najgorsze jednak było to, że nadal ją kochał. Cierpiał ból wzgardzonej miłości, nie zaś zranionej dumy.

Katherine odłożyła nożyczki, głęboko odetchnęła i zamknęła oczy. Uniosła dłonie ku skroniom i zaczęła je masować. Od rana bolała ją głowa, przy czym ból, zamiast słabnąć, nasilał się.

- Czy bardzo boli, kochanie? - zapytała Sarah, która przykładając papierowe formy, kroiliła materiał na sukienkę. - Może dać ci proszek?

- Nie, dziękuję, mamo. Wszystko będzie dobrze. Po prostu zbyt długo siedziałam dziś rano nad książką rachunkową. - Otworzyła oczy, lecz potok światła wpadający przez okno, natychmiast zmusił ją do ich przymrużenia. - Miałam trudności z odczytywaniem cyfr. Tata nie był najlepszy w kaligrafii.

- Wiem - potwierdziła Sarah z uśmiechem, nie przerywając krojenia materiału. - Czy z rachunkami wszystko w porządku?

- Naprawdę nie masz powodu się martwić, mamusi - zapewniła ją Katherine. - Jeżeli ceny wełny się utrzymają, zyski przekroczą straty. - Minimalnie, dodała w duchu. Nie mieli pieniędzy na odbudowę trzody, zaś tegoroczne ubytki sięgały jednej piątej. Ona, Katherine, nic na to nie mogła poradzić. Jeżeli będą skąpić i oszczędzać, być może...

Westchnęła. Znajdowali się na skraju finansowej ruiny. Ledwo wiąźali koniec z końcem. I tak było zawsze. Jedynie wspomnienia dzieciństwa rozjaśniały ciepłym blaskiem ostatnie ciężkie lata.

- Będzie z tego piękna sukienka - powiedziała Sarah, robiąc ostatnie cięcie. - Jak to dobrze, że udało ci się kupić ten muślin - wzięła materiał do rąk, podziwiając jego błękitnoseledynowy roślinny wzór. - Przypomina mi tamte lata, kiedy byłaś małą dziewczynką, a ja każdej wiosny szyłam ci nową sukienkę.

- Pamiętam cię z igłą i naparstkiem, w słabym świetle lampy naftowej, jakby to było wczoraj. Myślałam wówczas, że bardzo lubisz szyc.

- Musiałam szyc - matka uśmiechnęła się. - Z pieniędzmi zawsze było u nas krucho, a ty i Daniel rośliście jak na drożdżach. - Potrząsnęła tkaniną, która zafalowała, niczym kwitnąca łąka. - Podobny jest do

materiału, z którego uszyłam ci sukienkę, gdy miałaś dwanaście lat.

- Masz rację. Tylko tamten usiany był różowymi kwiatami.

- Oczywiście! Że też go dotąd pamiętasz, córeczko.

- Bardzo lubiłam tę sukienkę, a kiedy z niej wyrosłam, płakałam.

Sarah zachichotała.

- Popuszczałam szwy, dokąd się dało, to znaczy póki jeszcze mogłaś oddychać. Może zdecydowałabym się nawet na wstawianie klinów, gdybyśmy wówczas mieszkali koło jakiegoś miasta, gdzie znalazłabym taki sam materiał.

- A potem zaczęliśmy wędrować z miejsca na miejsce.

Matka kiwnęła głową. Na wspomnienie tych różnych miejsc opanował ją smutek. Praca od świtu do nocy, pogoń za każdym groszem. A najgorsze w tym wszystkim było to, że nigdzie nie osiedli na dłużej i dzieci nie otarły się nawet o szkołę. I chociaż ona sama uczyła je czytania, pisania i rachunków, nic nie mogła poradzić na brak przyjaciół-rówieśników.

O, tak, prosiła nieraz Charlesa, by wreszcie gdzieś się zatrzymali, lecz jemu albo nie podobało się akurat to miejsce, albo oświadczał, że potrzebują więcej pieniędzy. A potem przestała prosić. Żony powinny zostawiać mężom swobodę w podejmowaniu decyzji. Kochała i szanowała swojego męża. Oświadczył się jej w momencie, gdy już zaczynała myśleć, że zostanie starą panną. Wybawił więc ją i była mu za to wdzięczna całym sercem.

Miała wówczas dwadzieścia jeden lat, wiek bardzo niebezpieczny dla panien w jej stronach. Większość

młodych mężczyzn walczyła w armii Południa, pozostali zaś uważali, że jest zbyt uparta i samowolna.

Być może i była, ale wiedziała, że Charles Thorn jest jej ostatnią szansą. Dlatego nakazała sobie podczas spotkań z nim trzymać język za zębami. Wytrwała w tym postanowieniu i została nagrodzona dobrym mężem i dwójką cudownych dzieci. O dawnej, pierwszej, szalonej miłości starała się zapomnieć.

- Mamo?

Sarah zamrugała oczami, budząc się ze wspomnień.

- Wybacz, kochanie - sięgnęła po już nawleczoną igłę. - Miałam taki sen na jawie.

Katherine wskazała na kupon niebieskiego materiału w białe paski, który kupiła dla matki.

- A co z tym?

- Doceniam, córeczko, że myślisz o mnie, lecz czerń żałoby bardziej mi pasuje.

Dziewczyna dotknęła spracowanej dłoni matki. Kupiła tę bawełnę pod wpływem impulsu. Nie mogła już znieść spłowiałych, wytartych, cerowanych sukienek, które nosiła Sarah.

- Tata zawsze lubił cię w niebieskim.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Ludzie wezmą mnie na języki.

- A ja myślę, że wszystko, co będą mogli o tobie powiedzieć, to to, że nigdy nie przyniosłaś mężowi wstydu i zasługujesz na szacunek.

Sarah poczuła łzy pod powiekami. Dotknęła miękkiego, gładkiego materiału.

- Czy naprawdę lubił mnie w niebieskim? - Nie był to jej ulubiony kolor. Przepadała za różowym. Ale cokolwiek podobało się Charlesowi, budziło i jej zachwyty.

- Potrzebujesz na gwałt nowej sukienki. Te, w których chodzisz, jutro mogą rozejść się w rękach.

Sarah rozwinęła materiał. Właściwie był bardziej granatowy, niż niebieski. Pod pewnym kątem, w świetle, nawet całkiem ciemny. W każdym razie trzeba było dużo złej woli, żeby widząc ją w sukni z tego materiału, zarzucić ostentację i kpinę z żaloby.

- Dobrze. Uszyję sobie nową sukienkę.

Powróciła do pracy. Katherine odprężyła się, co okazało się najlepszym lekarstwem na ból głowy. A kiedy tak patrzyła na pogodną twarz matki, wiedziała, że dokonała wczoraj właściwej decyzji.

Jak mogłaby oświadczyć tej słodkiej istocie, że ma pakować manatki i wynosić się z domu, bo ona, jej córka, okazała się nierozważną, płochą, łatwado zbalamucenia pannicą? Jak mogłaby zażądać od Daniela, by zrezygnował dla niej ze swoich marzeń?

Nie panowała wówczas nad rozwojem wypadków. Była tak zmęczona, tak zboląła na duszy, zaś głos i dłonie Logana emanowały zniewalającym czarem. Nie miała właściwie najmniejszych szans na skuteczny opór. Los chciał, żeby McCloud zjawił się w momencie, kiedy była najsłabsza, najbardziej bezbronna.

Spojrzała na matkę. Przez cały ranek obawiała się, że bystremu spojrzeniu Sarah nie ujdzie przemiana, jaka się w niej dokonała. Było to może głupie, ale czuła się gruntownie przeobrażona. Wstydziła się również własnej słabości.

Wystarczyło, by objął ją i pocałował jakiś mężczyzna, aby od razu mu się oddała. Czyż nie było to żenujące, wstrętne i haniebne? A może mężczyzna ten nie był zwyczajnym człowiekiem, tylko wytrawnym magiem i hipnotyzerem?

Tak czy inaczej, o wczorajszym wydarzeniu nad rzeką nikt, absolutnie nikt, nie mógł się dowiedzieć. Nawet gdyby miała całe życie przeżyć w staropanieństwie. Popeliła jeden błąd i nie chciała dodawać do niego następnych. Ostatecznie podjęła właściwą decyzję, bodaj najlepszą z możliwych, gdyż mogła teraz żyć w zgodzie z samą sobą.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i z furią rozdrażnionego szerszenia wpadł do kuchni Daniel.

- Nie żyją! Wszystkie co do jednej!

- Kto nie żyje? - Katherine zmrużyła oczy. Poczowała w głowie bolesne pulsowanie.

Sarah z pobladłą twarzą i dłonią przyciśniętą do serca zerwała się na równe nogi.

- Na Boga, Danielu, powiedz, co się stało?

- Dokładnie to, co powiedziałem! - wykrzyknął.

- Straciliśmy co najmniej trzy tuziny owiec! - krążył wokół stołu. - Niech będzie przekłety McCloud i wszyscy inni śmierdzący hodowcy bydła stąd do Cheyenne!

Katherine opanowała gniewną irytacją. Miała dość tych histerycznych tyrad brata. Ból głowy powrócił, a krzyki czyniły go nie do zniesienia.

- Zanim zaczniesz winić innych i przeklinać, może najpierw wyjaśnisz nam, co się wydarzyło?

- Co się wydarzyło? - powtórzył, przedrzeźniając ją. - Znalazłem na dnie parowu, na północ stąd, trzy tuziny naszych owiec.

- Czy jest możliwe, aby same pospadały? - zapytała z dłońmi przy skroniach.

Daniel zerwał z głowy kapelusz i trzepnął nim o udo.

- Jest to możliwe w tym samym stopniu, jak to, że tata sam się zastrzelił.

Sarah z jękiem opadła na krzesło.

- Danielu! - krzyknęła ostrzegawczo Katherine.

Chłopak cisnął kapelusz na stół.

- Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że któryś z naszych sąsiadów robi wszystko, chwytając się każdej niegodziwości, aby nas stąd usunąć? Dlaczego próbujesz udawać, że nic strasznego się nie dzieje?

- Niczego nie udaję. Wiem, że tata został zamordowany i że obowiązek prowadzenia rancza spoczywa teraz na nas. Ale wiem również, że upatrzyłeś sobie McClouda, aby winić go o każde nieszczęście, które na nas spada. I co, pojedziesz teraz do niego i położysz go trupem? Zakładając, rzecz jasna, że on cię najpierw nie zastrzeli.

Daniel na dźwięk nazwiska znienawidzonego człowieka omal nie wybuchnął. Oczy zaszyły mu mgłą wściekłości, zacisnął szczęki, jakby już miał w nich upragnioną zdobycz.

- Mało dbam o to...

- Wspaniale! Mało dbasz o to, czy będziesz żył czy teżgnił w ziemi! I, oczywiście, nie przyjdzie ci do tego tępego łba, że po twojej śmierci będziemy musieli sprzedać ranczo i przenieść się do Filadelfii. O ile w ogóle mama przetrzyma kolejny cios! - Daskoczyła do brata. - Jeżeli jednak jakimś cudem uda ci się zastrzelić McClouda, to nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby przewidzieć, że na drugi dzień zostaniesz powieszony przez jego przyjaciół. - Dźgnęła palcem w pierś brata. - A teraz mów, jaka jest twoja decyzja, bo chcę wiedzieć, czy już mam zamawiać kaznodzieję i grabarza na twój pogrzeb.

- Katherine, na miłość boską! - wykrzyknęła Sarah, zalewając się gorzkimi łzami.

- Wybacz, mamó, ale to chłopaczysko musi wreszcie nauczyć się panować nad sobą, jeśli chce prowadzić ranczo.

Daniel opadł na krzesło. Mógł stawić czoło McCloudowi, ale nie tym dwóm kobietom na raz.

- Powtarzam - wydyszał - odpowiedzialność za wszystko ponosi ten czarny diabeł. Owce może nie są zbyt mądre, ale nie popełniają samobójstw. Ktoś musiał im pomóc, by pospadały. Jeżeli nawet McCloud nie zrobił tego sam, to na pewno dobrze zna sprawcę. Prezes Stowarzyszenia Hodowców Bydła jest tu człowiekiem najlepiej poinformowanym.

- Mniejsza o Logana - rzekła Katherine. - Skupmy się na tobie. Musisz jak najprędzej przestać ulegać nastrojom i zacząć myśleć. Upierasz się, aby ciągnąć pracę ojca, a więc skup się na tym. Czekają nas teraz strzyżenie owiec i trzeba zagnać trzodę do zagród. Za uzyskane za wełnę pieniądze musimy zakupić paszę na zimę. Warto też pomyśleć o wynajęciu kogoś, kto będzie pilnował naszych stad.

Daniel spojrział na czubki swych butów. Wiedział, że siostra ma rację. Ale ona nie rozumiała niczego poza tym. Był mężczyzną odpowiedzialnym za swoją rodzinę, zaś mężczyzna w obronie najbliższych rzuca na szalę nawet swoje życie.

Tak, kobiety nie rozumiały słowa „honor”.

12

Katherine oparła czoło o poprzeczną belkę ogrodzenia. Męczyły ją mdłości. Jej nagi kark grzało czerwone słońce. W górze, zajęte wyłącznie własną radością, śpiewały skowronki. Dlaczegoż zresztą miały litować się nad nią? Popelniła straszliwy błąd i musi zań odpokutować.

Nudności znowu wstrząsnęły jej ciałem. Nie, nic jej nie zaszkodziło. Zatrąła się fizyczną miłością i teraz skutki tej choroby spadną na jej najbliższych. Czy w ogóle rozumieją? Dopuściła się czynu, który nigdy nie mógłby się przydarzyć przyzwoitej, obyczajnej dziewczynie. Mało tego. Stało się to przy współudziale mężczyzny, który był zdecydowanym wrogiem wszytkiego, co ceniła i stawiała sobie za cel w życiu. Utraciła szacunek brata i matki.

Chciało się jej krzyczeć. Chciała wrzeszczeć, kopać, miotać się i przeklinać jak pijany kowboj. Dobry Boże, czasami nienawidziła siebie za to, że jest kobietą.

Tego ranka uświadomiła sobie, że musi udać się w worze pokutnym do Logana i błagać go, żeby się z nią ożenił. Musi bić się przed nim w piersi i żałować tamtych odważnych słów. Nie miała wyboru i świadomość tego była prawdziwą udręką. Nawet tutaj, w hołdującym postępowi stanie Wyoming, gdzie kobiety chodziły do urn wyborczych, miały zagwaran-

towne prawo własności i prawo do rozwodów, ludzie patrzyli z niesmakiem na pannę z dzieckiem, zaś samo dziecko otrzymywało etykietkę bękarta. Wiedziała już, jak mogą ranić kolce uprzedzeń. Wystarczy, że hodowało się owce w krainie bydła.

Lecz Katherine była dorosłą osobą. W swoich decyzjach uwzględniała margines ryzyka. Natomiast dziecku nie przysługiwał wolny wybór. Niewinna istota nie mogła cierpieć za błędy matki.

Głęboko westchnęła, wyprostowała się i ruszyła w kierunku stajni.

Po kilku minutach wyprowadziła osiodłanego konia. Smutek, jaki odczuwała, nie byłby większy, gdyby w tej chwili szła na własną egzekucję.

Gdy przejeżdżała przez podwórze, na ganku domu pojawił się Daniel.

- Dokąd jedziesz? - zapytał.

Nie chciała kłamać, z drugiej jednak strony nie była to pora na szczerość. Udała więc, że nie usłyszała pytania, machnęła mu ręką i spięła konia ostrogami.

Na ranczo Logana dowiedziała się, że znakuje on bydło. Mary Rosa spodziewała się go za kilka dni. Katherine z początku chciała zaczekać, lecz w końcu odrzuciła tę pokusę. Oczekiwanie łączyło się ze straszną niepewnością. Skoro i tak miała przejść przez ogień, wolała to zrobić natychmiast.

Podziękowała Mary Rosie i kierując się jej wskazówkami, udała się do obozowiska.

Przez całą drogę serce biło jej szybciej od skrzydeł kolibra. Szukała w myślach jakiegoś sposobu uniknięcia tego spotkania, jednak żaden cudowny pomysł nie przyszedł jej do głowy. Chyba że zdecydowałaby się na opuszczenie Wyoming. Ale tego właśnie nie mogła

zrobić. Poza tym Logan był ojcem dziecka i miał prawo dowiedzieć się o swoim ojcostwie.

Nagle ujrzała stado. Bezkrzesne morze grzbietów, ogonów i łbów. Kilka ognisk znaczyło krajobraz. Mężczyźni uwijali się na koniach w pogoni za cielakami.

Katherine powoli zbliżała się do tego kłębowiska. Okrzyki mężczyzn stawały się coraz wyraźniejsze. Antylopa, która skubała trawę razem z jałówkami, pierzchła na jej widok. Jałówki nie raczyły nawet podnieść łbów.

Prześlizgując się wzrokiem po jeźdźcach, Katherine szybko rozpoznała Logana. Wysoki i barczysty, wyróżniał się spośród innych. Ciągnął właśnie na linie cielaka, który też zaraz dostał się w ręce oprawców.

Dziewczyna drgnęła, gdy dotarło do niej bolesne muczenie. A jeszcze gorszy był swąd palonej skóry. Poczowała ucisk w żołądku i falę mdłości. Udało się jej jednak zdławić atak. Nie zamierzała ośmieszać się przed tymi mężczyznami. Na szczęście Logan nie zauważył jej jeszcze. Zapomniała słów, którymi miała go powitać i teraz w panice próbowała je sobie przypomnieć.

Mężczyźni na jej widok przerwali pracę. Jechała w szpalerze zaciekawionych spojrzeń. Siedziała na siodle wyprostowana, ale jej ciało płonęło, a rumieńce piekły policzki. Czowała się jak dusza grzesznika, smażona na piekielnych rusztach. A przed nią, w odległości pięćdziesięciu kroków, stał sam Lucyfer.

Na jego koszuli ciemniały pod pachami plamy potu. Był w skórzanych spodniach, które lepiej od bawełnianych chroniły nogi przed obtarciem bądź

odparzeniem. Słońce błyszczało w jego ostrogach, sypiąc diamentowymi skrami. Wiatr bawił się kresami jego kapelusza, które przypominały skrzydła kruk. Logan nacisnął kapelusz głębiej na czoło. Znała ten gest bardzo dobrze - często powtarzał się w jej snach.

Siedział na koniu nieruchomo, patrząc gdzieś ponad jej głowę. A potem zaczął zwijać arkan. Powiesił go na łęku siodła i znów zamarł w bezruchu.

Wreszcie ich oczy się spotkały. To wystarczyło, aby uświadomiła sobie jedną podstawową rzecz: ten człowiek władał nią bez reszty. Jeżeli nawet nie na odległość, to na pewno w zasięgu wzroku.

Ściągnęła cugle. Ich konie teraz prawie dotykały się łbami, tuląc uszy. Nabrała w płuca powietrza. Odchrząknęła.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała z takim pośpiechem, jakby za chwilę odjeżdżał jej dyliżans. A przecież inaczej to sobie zaplanowała.

Logan uniósł brew na znak chłodnego zaskoczenia.

- Porozmawiać? - powtórzył.

Poprawiła się w siodle.

- Na tematy osobiste - spojrzała na kowbojów. Nie lubiła publicznych scen, tutaj zaś była przedmiotem ogólnego zainteresowania. Mogła iść o zakład, że jeden drugiemu, zadawał teraz pytanie, co robi córka owczarza w mateczniku hodowców bydła.

Czuła się napięta i skrepowana. Chciała jak najprędzej wyrzucić z siebie słowa, z którymi tu przyjechała i wreszcie odnaleźć jakieś wyjście z tej matni, w której się znalazła.

Logan trącił konia i zatoczył łuk.

- Ruszamy.

Wyjechali poza przestrzeń zajęta przez pasące się stado. Mężczyzna zatrzymał się przy dużym, żółtawym kamieniu. Kciukiem przesunął kapelusz na tył głowy, odsłaniając twarz. Brud rozmazany potem nie ujmował tej twarzy nic z jej szczególnego męskiego piękna. Ale tym razem było to piękno surowe i jakby wyostrome. Pozbawione uśmiechu.

Katherine chwyciła się kuli siodła, by nie stracić równowagi. Myśli galopowały w jej głowie jak spłoszone tabun dzikich koni.

- Przyjechałam... - utknęła już na pierwszym słowie. Logan nie ułatwiał jej sprawy. Jego oczy miały twardość obsydianu. - Przyjechałam powiedzieć ci, że spodziewam się dziecka.

Minęła cała wieczność, zanim McCloud zareagował na tę wiadomość. Ale była to zaskakująca reakcja. Wybuchnął bowiem głośnym, zimnym, nieprzyjemnym śmiechem.

- A więc jednak, kochanie! - rzekł wreszcie głosem, w którym dźwięczała stal. - Jak widzisz, niewiele była warta twoja pewność siebie - wiedział, że mówiąc tak, tylko zwiększa jej ból, ale, do jasnej cholery, on również czuł się zraniony. - Czego więc oczekujesz ode mnie, panienko?

Pytanie to dotarło do Katherine jakby z przeciwnego brzegu rzeki. W jej uszach szumiała krew. Gniew zabarwił policzki. Dławiło ją upokorzenie. Logan potraktował ją niczym kowboj swą kochanicę z saloonu.

- Niczego, McCloud - odparła, pozwalając dumie zagłuszyć głos zdrowego rozsądku. - Dam ci znać, kiedy nastąpi radosne wydarzenie, ażebyś mógł wypić ze swymi pastuchami beczkę whisky.

- Dlaczegoż by nie?! - wykrzyknął, chwytając za grzywę jej klacz. - Dotąd rozgrywałaś rzeczy po swojemu, kochanie. Teraz będziesz tańczyć pod melodie, którą ja ci zagram!

Katherine straciła panowanie nad sobą. Przytrzymał jej konia, ograniczał jej swobodę, naigrawał się z niej... Zamachnęła się i z całej siły trzasnęła go w twarz.

Gwałtownie cofnęła dłoń, przyciskając ją do falującej ze wzburzenia piersi. To nie była jej ręka, ponieważ ona jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzyła. Była to ręka histeryczki i pasjonatki... albo po prostu osoby ogarniętej rozpaczą.

Logan spoglądał na nią z zakrzepłym na twarzy, zimnym uśmiechem. Na jego lewym policzku odznaczała się wstętna, różowa plama. Czarne oczy utraciły coś ze swego blasku.

- Logan, ja nie... - wyciągnęła ku niemu dłoń, jak gdyby chcąc zetrzeć tamten ślad. Wyprostował się gwałtownie. Siodło zaskrzypiało. Opuściła ramię. Zależy, to, co się stało, nie mogło się odstać.

- Do tego więc doszliśmy, Katherine?

Zadrzała. Zadrzała na ciele i duszy. Złękła się, że zaraz spadnie. Chwyciła się lęku siodła.

- Wybacz mi - wykrztusiła chrapliwym głosem. Łzy stanęły jej w oczach, ale prawdziwe morze łez zalewało ją od wewnątrz.

Złowrogi wyraz twarzy mężczyzny zdawał się potwierdzać, że z tej matni, w którą sama się wpakowała, nie ma żadnego wyjścia.

Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał jednak dziwnie spokojnie:

- Nieważne, co czujemy, jak patrzymy na siebie i jak

oceniamy. Ważne jest dziecko, moje dziecko. Nie pozwolę, by powitało ten świat z piętnem bękarta na czole.

Katherine kiwnęła głową, bojąc się zaufać swojemu głosowi.

- Czy chcesz tego, czy nie - kontynuował - musimy się pobrać. I to nie zwlekając.

Przełknęła ślinę.

- W porządku, Logan. Wyjdę za ciebie - powiedziała, czując, że honor nie pozwala jej na więcej słów.

- Ślub w poniedziałek, - dorzucił, wiedząc, że schwyta w pułapkę Katherine zgodziłaby się nawet na ślub w tej chwili, tutaj, na koniach.

Dom wybudowany przez starego Thorna przypominał bardziej chałupę wyrobnika niż rezydencję ranczera, jednak zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz panował tu schludny porządek, rzecz rzadka w krainie pastwisk. Logan wszedł za Katherine do obszernej izby. Ostre zapach łągi i słomkowa jasność podłogi powiedziały mu, że niedawno odbyło się tu wielkie sprzątanie. Pochylił się więc, odpiął ostrogi i oczyścił buty. Na koniec zdjął kapelusz. Sarah Thorn uniosła wzrok znad zielono-białej flanelowej koszuli, którą cerowała. W jej oczach odmalowało się zaleźnione zdumienie. Lecz chociaż zeszywniała i trochę pobladła, nie kazała mu się wynosić. Nie uczyniła więc tego, co zrobił jej mąż, kiedy Logan był tutaj po raz ostatni.

- Panie McCloud, to prawdziwa niespodzianka - powiedziała głosem kulturalnej damy, która jednak równie dobrze mogłaby skrywać węża w sercu. Przeniosła wzrok na córkę. - Katherine czy stało się coś złego? - Odłożyła koszulę i wstała. Czarna sukienka dodawała jej surowego majestatu.

- Nie, mam, wszystko w porządku - odpowiedziała szybko dziewczyna.

Nic nie było w porządku i Sarah dobrze o tym wiedziała. Nie mogło być, skoro w pobliżu był McCloud. Jego policzki ocieniał kilkudniowy zarost, a kolor koszuli i spodni trudno było odgadnąć spod grubej warstwy kurzu. W czarnych oczach malowało się zmęczenie. Nie, pomyślała Sarah, chyba raczej smutek. Niepokój ścisnął ją za gardło.

- Proszę mi wybaczyć, pani Thorn, że składam tę niespodziewaną wizytę, ale jest pewna ważna sprawa, o której chciałbym z panią porozmawiać.

- Daniela nie ma w domu, więc jeśli przyjechał pan rozmawiać o sprzedaży rancza...

- Tym razem nie sprowadza mnie tu ranczo. - Nerwowo przejechał dłonią po włosach.

- A co, jeśli można wiedzieć? - zapytała Sarah z niepokojem w głosie.

- Pani Thorn, poprosiłem Katherine o rękę, a ona przyrzekła mi ją. Ślub odbędzie się w poniedziałek. Obojgu nam zależy na pani obecności.

Gdyby powiedział, że owce nauczyły się latać, Sarah nie byłaby bardziej zdumiona i oszołomiona. Przez długą chwilę tylko patrzyła na nich, jakby chcąc dopasować do siebie te dwie twarze: ukochaną, jasną twarzyczkę córki oraz ciemne oblicze tego człowieka.

- Katherine, co tu się dzieje? - zapytała, odzyskawszy wreszcie zdolność mówienia.

Dziewczyna spuściła oczy.

- Jestem w ciąży - odparła niemal szeptem.

Sarah zachwiała się. Ten cios spadł na nią zbyt niespodziewanie. W płucach zabrakło jej powietrza. Padła na krzesło.

- Mój Boże! - jęknęła, zaciskając dłonie. - Gdyby Charles tu był, zabiłby cię, panie McCloud. Mój syn wciąż jeszcze może to zrobić.

- Radziłbym, dla jego bezpieczeństwa, żeby nie próbował - rzekł Logan niedbałym tonem.

Sarah zrozumiała groźbę i nie wątpiła, że ten człowiek, a raczej ten diabeł, jest zdolny ją wykonać.

- Panie McCloud, widzimy się po raz pierwszy, przynajmniej tak twarzą w twarz, wiem już jednak, że nie doceniałam pana. Moja córka obecnie płaci za mój błąd.

Katherine, widząc wrogość w oczach matki, zbliżyła się do krzesła i uknęła na jedno kolano. Nakryła dłonią zimną dłoń Sarah.

- Wybacz mi, mamó - powiedziała, a łzy spływały jej po policzkach.

Tak było niegdyś. Zapłakana Katherine podbiegała do niej, kłękała, ona zaś pieszczotą, mądrą radą lub pocałunkiem uwalniała ją od wszystkich dziecięcych kłopotów. Ale teraz, mimo że również gładziła córkę po włosach, czuła własną bezsilność i niemoc tej pieszczoty. Nawet miłosne matczyne zaklęcie nie mogłoby niczego tu zmienić.

- Och, Katherine, jak mogłaś do tego dopuścić? Przecież nie jesteś już dzieckiem. Powinnaś przewidywać możliwe skutki swoich czynów.

- Wiem, mamusiu. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

Wciąż głaszcząc córkę po miękkich złocistych włosach, Sarah spojrzała na McClouda. Patrząc na Katherine z jakąś ciepłą, prawie rzewną tęsknotą w oczach. Poczuli się mniej pewni swego gniewu.

Ujęła dziewczynę pod brodę.

- Katherine, nie tego pragnęłam dla ciebie, ale jesteś moim dzieckiem, które bardzo kocham. Jeżeli nie chcesz poślubić tego człowieka, po prostu powiedz mi to, a damy sobie radę. Mniejsza z tym, co ludzie będą gadać.

Katherine uśmiechnęła się blado. Łzy nadal płynęły z jej oczu.

- Och, dziękuję, mamusiu. Ale przemyślałam to dobrze i...

- Decyzja już zapadła - przerwał jej Logan.

Sarah zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

- Zechce pan zauważyć, że rozmawiam z moją córką. Nie chcę, by zmarnowała sobie życie przez małżeństwo bez miłości. - Nagle zdecydowała się zadać pytanie, którego zresztą nie mogła pominąć: - Katherine, czy ty go kochasz?

W pokoju zapanowała taka cisza, że mucha, która tłukła się o szybę, zdawała się czynić niemożliwy hałas. Sarah spojrzała na Logana. Miał napiętą twarz, a z jego oczu znowu wyzierała tęskna nadzieja. Szybko zniknęła, gdyż mężczyzna dostrzegł, że jest obserwowany, tym trudniej więc było Sarah zyskać jakąś pewność. Dostrzegła tylko, że McClouda żywo obchodzi odpowiedź Katherine.

Ta wolno uniosła głowę.

- Oboje życzymy dziecku jak najlepiej - odparła wymijająco.

- I nie chcemy, by przypadł mu w udziale los bękart, pani Thorn - dorzucił Logan.

Znaczyło to, że czuł się odpowiedzialny za własne dziecko. Przemawiało to bez wątpienia na jego korzyść. Zaś Katherine nie powiedziała wprost, że go nie kocha. Sarah dostatecznie dobrze знаła swoją córkę,

żeby wiedzieć, że nigdy nie złączyłaby się ona z człowiekiem, którym by gardziła lub do którego czułaby wrogość.

- Mamo, kocham cię za wszystko, co dla mnie w życiu uczyniłaś i za twoje ostatnie słowa, ale muszę powiedzieć, że Logan nie zmuszał mnie do niczego wbrew mojej woli. To uczciwy, szlachetny człowiek. Nie martw się, wszystko jest na jak najlepszej drodze.

Mężczyzna nie wierzył własnym uszom. Kilka godzin temu otrzymał od Katherine siarczysty policzek, a teraz brała go w obronę przed własną matką. Uważnie spojrzał na jej twarz i dostrzegł na niej cień bólu. A on, jako przyszły mąż, powinien chronić ją przed bólem i zgryzotą. Podeszedł więc i opiekuńczym gestem położył dłonie na jej ramionach.

Rzecz jasna, blady uśmiech, z jakim jej córka przyjęła dotyk McClouda, nie mógł ujść uwadze Sarah. Teraz wiedziała już wszystko lub prawie wszystko. I chociaż wciąż nie było to to, co wymarzyła dla swojej córki, pocieszała się myślą, że tych dwoje troszczy się o siebie bardziej, niż zdają sobie z tego sprawę.

- Katherine - rzekła z wielkim wzruszeniem w głosie. - Pragnę, abyś była szczęśliwa.

- Będę dbał o nią - powiedział Logan z miną człowieka, który składa przysięgę.

Pomimo całej swojej niechęci do McClouda, Sarah poczuła, że nie może odmówić mu szacunku. Mógł się z łatwością wykręcić od tego małżeństwa, a jednak był tutaj, zdecydowany na ślub. A poza tym spojrzenie, jakie kierował na Katherine, nie było spojrzeniem mężczyzny, który został schwytany przez kobietę w potrzask ojcostwa.

- Zawsze ci ufałam, córeczko i nigdy nie przestanę.

Katherine, w konfrontacji z tym bezmiarem macierzyńskiej miłości, poczuła się jeszcze bardziej winna. Ale musiała się jakoś pozbierać i z nadzieją spojrzeć w przyszłość. Winna to była matce, swojemu dziecku oraz Loganowi. Płacze i żale musiała odrzucić.

- Chciałabym, żebyś przyjechała na nasz ślub. Będziesz?

- Będę. I postaram się wytłumaczyć wszystko Danielowi.

Padły sobie w ramiona, całując się, tuląc i obsypując piśszczotami. W końcu Katherine przypomniała sobie o Loganie; Odwróciła się i spojrzała z uśmiechem w bezdenną czerń jego oczu.

- Poślę po karnodzieję jeszcze dzisiaj - zapewnił ją cichym szeptem. - W poniedziałek o dziesiątej będziemy już mężem i żoną.

W zasadzie były to miłe słowa, za które powinna być mu wdzięczna. A jednak miała poczucie niespełnienia. Jeszcze jako dorastająca dziewczynka wyobrażała sobie okres przedślubny jako czas wypełniony miłością i obietnicami, uśmiechami rodziny i sąsiadów oraz słodkim drzeniem przed tajemnicą nocy poślubnej.

Tego wszystkiego miało nie być.

Trzy dni później Katherine znajdowała się w tym samym salonie, w którym niegdyś, w zimową noc tańczyła walca. Meble odsunięto pod ściany, aby zrobić więcej wolnego miejsca na środku. Wielebny Holland stał na tle wygasłego kominka. Wysoki i wyjątk-

kowo chudy, siwiuteńki jak gołąb i dobrotliwie uśmiechnięty, przedstawiał sobą doskonały wzór kaznodziei.;

Mary Rosa kipiała energią. Jej prawą ręką był Pete i na tę „rękę” sypały się nieprzerwanie rozkazy „głowy”. Jak rozstawić krzesła, jak udekorować stół, jak szeroko uchylić okna, aby wygnać duchotę, a nie wpuścić much, wszystkie te polecenia Pete wypełniał w lot i z widocznym przejęciem.

A zatem okna były uchylone i poranny wietrzyk wydymał białe koronkowe firanki, po czym wpadał do wnętrza i bawił się rąbkiem spódnicy Katherine. Dziewczyna ubrana była w prostą sukienkę z błękitnoseledynowego muślinu, którą uszyła dla niej matka. Kiedy wspólnie siadały do szycia tej sukienki, żadna z nich nie podejrzewała, że wyjdzie z tego kreacja panny młodej.

Katherine odwróciła głowę i spojrzała na matkę. Sarah miała na sobie bawełnianą niebieską sukienkę w białe paski. Wyglądała bardzo elegancko. Uśmiechnęła się do córki, której uśmiech ten rozgrzał serce i nappełnił je otuchą.

- A teraz - zaczął wielebny Holland - proszę postąpić kilka kroków do przodu i stanąć tutaj, panie McCloud - wskazał palcem na czystą, błyszczącą podłogę, jakby widział na niej zaznaczony punkt.

Logan postąpił dokładnie tak, jak mu kazano. Wkroczył w święty krąg ceremonii ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i rdzawy, jedwabny krawat.

- Panno Thorn - wielebny jeszcze bardziej złągodził głos, jakby powodował nim zachwyty dla bożego cudu panieństwa i dziewictwa - proszę również się zbliżyć. - Wypreżony, długi palec kazno-

dziei obniżył się ku podłodze i schował natychmiast, gdy tylko Katherine znalazła się w wyznaczonym miejscu.

Za młodą parą stanęli Pete, Mary Rosa i Sarah.

- A zatem zaczynamy - powiedział wielebny Holland i przystąpił do wypełnienia swoich obowiązków.

Katherine słyszała i rozumiała słowa, ale zdawały się one docierać do niej z wielkiej odległości. Skupienie się na nich przerastało jej siły. Myślała o swoich porażkach i złamanych obietnicach. Przede wszystkim jednak dręczył ją Daniel.

Kiedy ona i matka powiadomiły go o ślubie, wpadł w niepohamowany gniew. Nazwał ją zdrajczynią i było to ostatnie słowo, jakie od niego usłyszała. Odmówił przyjazdu na uroczystość. Ugodził ją tym w samo serce.

- Czy bierzesz tego mężczyznę za swego prawowitego, ślubnego małżonka i obiecujesz kochać go, szanować oraz być mu posłuszna i wierna aż do śmierci?

I oto wreszcie nastał ten moment, kiedy jedno słowo miało na zawsze zmienić jej życie. Zaciśnęła dłonie na wiązance z polnych kwiatów.

Wielebny uśmiechnął się dobrotliwie i klepnął ją po ramieniu.

- Naprawdę nie ma się czym denerwować. Weź, aniołku, głęboki oddech i powiedz „tak”.

Katherine spojrzała na stojącego obok niej Logana. On również zwrócił ku niej głowę. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Tak - powiedziała.

McCloud odprężył się i odetchnął z ulgą. Mimo

wszystko nie był do końca pewien swojej narzeczonej. Wiedział jedynie, że gdyby spróbowała się wycofać, nie pozwoliby jej na to. Nie mieli wyboru i jasno to sobie uświadamiali.

- Tak - odpowiedział wielebnemu we właściwym momencie.

I zostali ogłoszeni mężem i żoną.

13

Kiedy została sama, Katherine popadła w stan jakiejś bezwładności, podobnie jak firanki, które zwisały teraz bez ruchu na zamkniętych oknach. Przed sobą na stole miała resztki weselnego przyjęcia. Talerz z napoczętym tortem otoczony był wianuszkami pięciu smukłych kieliszków. Cztery były puste, z piątego wypito zaledwie kropelkę. Była to gorzka kropla. Francuski szampan nie przypadł Katherine do smaku.

Cóż zresztą wiedziała o bogactwie i jego symbolach? Dokładnie tyle samo, co o małżeństwie.

Z dworu dobiegł jej uszu głos Logana. Wydawał polecenia komuś z kowbojów. Za chwilę stanie w tych drzwiach. Logan McCloud - jej prawowity mąż.

Katherine cicho westchnęła. Miała wrażenie, że życie w ostatnich tygodniach spiskuje przeciwko niej, obarczając coraz to nowymi obowiązkami w przewrotnej próbie sprawdzenia jej fizycznej wytrzymałości i duchowego hartu. Miesiąc temu cały jej czas i energię pochłaniała rodzina. Dzisiaj, wraz z wybiciem godziny dziesiątej, doszedł mąż i cała masa związanych z tym faktem obowiązków. Czuła w tej chwili ich ciężar na swoich barkach.

Na ganku rozległy się kroki. Katherine głęboko odechnęła, próbując opanować nerwy. Logan wszedł do salonu i zamknął za sobą drzwi. Spojrzeli na siebie

przez całą długość pokoju. Poczwała chłód w dłoniach, a na karku bolesny ucisk.

- Nareszcie sami - rzekł mężczyzna, przerywając kłopotliwe milczenie. Pokój zaczął już pogrążyć się w wieczornym cieniu i Logan również jął zatracać kształty i przemieniać się w niewyraźną plamę. - Po całym dniu rozmów i biesiadowania cisza aż dźwięczy w uszach.

- Tak, dźwięczy - powtórzyła mechanicznie, dopiero teraz w pełni uświadamiając sobie fakt, że zostali sami.

- Udane przyjęcie, nie sądzisz?

- Bardzo udane - odparła drewnianym głosem. Zmuszała się do tej rozmowy. Bowiem tak naprawdę miała ochotę zaszyć się w jakimś kącie, by schować się przed światem i przed... mężem.

Logan w końcu oderwał się od drzwi i przemierzwszy pokój, stanął tuż przed nią. Odzyskał kształty, a nawet rysy twarzy. Spoglądał na nią z niepokojącą zmysłowością w oczach. Serce Katherine przyśpieszyło swój rytm. Biegło teraz niczym jelonek w ucieczce przed pumą. Westchnęła. McCloud uśmiechnął się. Najwidoczniej bawił się setnie jej udreką i skrępowaniem.

- Przestań się śmiać.

- Dlaczego? - zapytał z miną niewiniątka i nie dość, że nie spełnił jej prośby, to jeszcze pogłębił uśmiech, tak iż na jego policzkach ukazały się dołeczki, a przez jej ciało, jak zwykle, przebiegł niepokojący dreszcz.

Logan wydawał się Katherine szczęśliwym człowiekiem, prędko jednak wycofała się z tej oceny. To małżeństwo było koniecznością, prozaicznym kontraktem

dwóch zainteresowanych stron. O miłości między nimi nie mogło być mowy. Zresztą, tym lepiej, pomyślała. Miłość komplikowała rzeczy, a i tak wszystko było dostatecznie zagwatmane.

Stopień tej komplikacji podniósł się jeszcze bardziej, kiedy Logan pogładził palcami jej policzek.

- Jesteś piękna, Katherine. Twoja skóra przypomina jedwab. Jest ciepła i chłodna zarazem. Matowa i błyszcząca. Lubię dotykać jedwiabi.

Gwałtownie odchyliła się do tyłu. Zbyt łatwo wciągał ją w wir swego magnetycznego czar. Nie chciała być bezwolnym liściem, niesionym prądem rzeki w otchłań wodospadu. Pamiętała dokładnie, co sprawiło, że pewnego dnia stanęła przed perspektywą spędzenia reszty życia pod pręgierzem hańby.

Uznała, że najbezpieczniej będzie zwykła pogawędka.

- Tak bardzo chciałabym, żeby Mary Rosa porzuciła myśl o wyjeździe do San Francisco. Spróbuję na nią wpłynąć. Wiem, że postanowiła tak ze względu na nas i jest to bardzo miłe z jej strony. Ale naprawdę nie wyobrażam sobie tego domu bez niej... Gdyby jednak bardzo się upierała, to czy nie powinniśmy doprowadzić jej na stację dylizansów?

- Mary Rosa nie lubi, gdy ktoś próbuje ją odwieść od raz podjętych decyzji. Nie martw się. Pete przypilnuje, by wyjechała bezpiecznie - wędrował wzrokiem od jej ust do oczu i od oczu do ust. - Napijesz się szampana?

- Nie, dziękuję - wstała i podeszła do okna.

Słońce już prawie się schowało za dalekie szczyty gór. Jeszcze godzina i zapadnie noc. Jej noc poślubna, pomyślała z drzeniem.

Mężczyzna oczekuje po nocy poślubnej określonych rzeczy. Logan już dał do zrozumienia, że nie różni się od innych mężczyzn. Czy byłby namiętnym i czułym kochankiem? Znała odpowiedź na to pytanie. Doświadczyła już raz jego zmysłowości i zdolności wpływania na jej zmysłowość. Tego właśnie lękała się najbardziej. Zatracenia się w cielesnym upojeniu i zapomnienia o bożym świecie. Był to rodzaj wyzucia się z własnej duszy.

Logan stanął za nią i pogładził po szyi, potem po ramionach.

- Tęskniłem za tobą.

Katherine głęboko odetchnęła. Nie pomogło. Czowała gorąco jego ciała przez muślin sukienki. Dotknął szorstkim policzkiem jej ucha, po czym odwrócił żonę ku sobie.

W geście, który dokonał się całkowicie poza jej wolą, położyła dłonie na jego ramionach. Dotknęła miękkiej wełny marynarki. Jej ciało jednak zareagowało tak, jakby dotknęła bezpośrednio skóry.

Złękła się samej siebie. Panika rosła, aż osiągnęła szczyt, gdy Logan nakrył ustami jej usta i wdarł się w nią, niczym płonący oścień.

Nie broniła się przed pocałunkiem. Jak mogłaby walczyć z czymś tak cudownym? Czowała się podzielona, wewnętrznie pęknięta. Pragnęła cielesnego kontaktu, pieszczot i pocałunków, a równocześnie nienawidziła siebie za to pragnienie. Nienawidziła też maga, który wyczarowywał w niej źródła rozkoszy.

Czując, że dłużej już nie wytrzyma tego rozdwojenia, zmobilizowała wszystkie siły i wydała walkę swemu ciału. Oderwała usta i wyswobodziła się z objęć męża.

Logan wyglądał niczym ptasznik, któremu gołąb właśnie wyfrunął z rąk.

- Dlaczego, Katherine? Dlaczego usiłujesz zaprzeczyć temu, co faktycznie czujesz? Obojętnie, czy jesteśmy w tym samym pokoju, czy też dzieli nas rozległa przestrzeń, w naszych ciałach płonie identyczny ogień i nie myśl, że uda ci się go zgasić.

- Mylisz się! - Katherine zacisnęła dłonie. - Co mam robić, abyś zrozumiał? Jesteśmy małżeństwem. Zdobyłeś, co chciałeś: kobietę do łóżka i prawo posiadania dziecka. Nie poniosłeś przy tym żadnych kosztów. Ja zapłaciłam wszystkim: moją rodziną, złamanymi obietnicami, niespełnionymi marzeniami... - w jej głosie zabrzmiała rozpacz. - Zboczyłam z prostej ścieżki i będę pokutować za ten błąd do końca mego życia. Oddałam ci się, niczym najtańsza z dziwerek. Lecz to się już nigdy więcej nie powtórzy. Nigdy!

W pokoju zapadła śmiertelna cisza, jak gdyby cały świat wstrzymał oddech. Nie bzyknęła ani jedna mucha, nie zaśpiewał ptak, nie zaszczekał pies.

Twarz dziewczyny płonęła gniewem. Pierś falowała. Dłonie same zaciskały się w pięści.

Logan długo przyglądał się tej kobiecie, swojej małżonce, matce nie narodzonego jeszcze dziecka.

- Tak, Katherine - powiedział w końcu - teraz wszystko rozumiem. Chcesz widzieć w tamtym zbliżeniu brudne, zwierzęce tarzanie się na trawie. Ale ono było czymś więcej i ty dobrze o tym wiesz. Znam cię lepiej, moja żono, aniżeli ty znasz samą siebie.

Gwałtownie potrząsnęła głową. Nadal niczego nie rozumiał. Bo to była wyłącznie żądza, ruja, rozpasanie. I nie wmówi jej, że wówczas dotykały się same ich dusze.

Zamknęła oczy. Poczula, że podłoga kołysze się, niczym pokład statku. Wyciągnęła rękę, aby o coś się wesprzeć. Nagle jednak zrezygnowała z oparcia. Musiała być silna. Jej obowiązkiem było mocno stać na nogach.

Spojrzała na Logana.

- Jestem twoją żoną. W związku z tym spoczywając na mnie pewne obowiązki. Gotowa jestem je wypełniać. Wszystkie. - Każde słowo wypowiedziała z jakąś szczególną starannością i naciskiem, jak człowiek, który po długim milczeniu od nowa przyzwyczaja wargi do mówienia.

McCloud uśmiechnął się z politowaniem.

- Mówisz pięknie o obowiązkach, a nic o naturalnej skłonności serca i zmysłów. Możesz jej zaprzeczać choćby do końca świata, lecz to niczego nie zmieni. Wniknęliśmy w siebie nawzajem, Katherine, i żadna siła nas już nie rozdzieli.

Nagle jej strach wzrósł w dwójnasób. Słowa Logana zawierały prawdę, a ta zdawała się czymś przerażającym. Chwytała za gardło i dusiła, niczym nocna zmora.

Katherine zabrakło powietrza. Cofnęła się o krok, potem jeszcze o dwa. Odwróciła się i wybiegła na korytarz. Dopadła do drzwi sypialni. Kiedy zatrząskiwiała je za sobą, miała poczucie, że barykaduje się nie przed mężem, ale przed czymś o wiele potężniejszym.

Logan ziewnął i przeciągnął się. Miał zdrętwiałą szyję i ściernięte ramię. Późno w nocy zasnął w fotelu w salonie i teraz właśnie się obudził. Któraż to mogła być godzina?

Spojrzała na ścienny zegar. Siódma! Zerwał się na

równe nogi. Szyja bolała go, jakby ściskano ją katowskimi obcęgami. Podniósł z podłogi ślubną marynarkę, która nocą służyła mu za okrycie, i rzucił ją na kanapę.

Dlaczego Mary Rosa nie obudziła go? Racja, cioteczka wyjechała. Pete zaś zapewne nie chciał pakować się do domu nowożeńców, wychodząc z założenia, że rankiem po nocy poślubnej człowiek potrzebuje trochę spokoju. Logan zaczął rozcierać sobie kark.

Zaiste, takiej nocy poślubnej nikt nie mógłby mu pozazdrościć. Najpierw spędził godzinę nad księgą rachunkową, następnie zjadł kolację - nienawidził zimnych kolacji! - by na koniec wypić o jedną szklanczkę whisky za dużo. Kilka razy decydował się już, że dołączy do żony w sypialni i niezmiennie wycofywał się z tej decyzji. Nie chciał stawiać siebie w roli faceta, który pełzaniem i błaganiem próbuje osiągnąć coś, co przysługiwało mu na mocy praw boskich i ludzkich.

Zasnął więc tam, gdzie w danej chwili siedział. W fotelu. Ból szyi podpowiadał mu, że popełnił niewybaczalny błąd.

Do stu tysięcy diabłów! Katherine popełniła nieporównanie większy. Zachowywała się wczoraj jak niewiedzona. Mówiła coś o obowiązkach, jakby naprawdę mężczyźni pragnęli żony leżącej w łóżku jak kłoda, z zaciśniętymi zębami i z wypisaną na twarzy pokorą wobec wyższych racji.

I ta jej pomyłka musiała zostać dzisiaj za wszelką cenę wyjaśniona. Ostatecznie ożenił się nie po to, aby przemienić swój dom w rezerwat dla dziwaczek.

Poprawił koszulę i przeczesał palcami włosy. Wołał, żeby nie skojarzyła go sobie ze skacowanym kow-

bojem. Wyszedł na korytarz i zbliżył się do drzwi sypialni. W pierwszym odruchu chciał zapukać, lecz pohamował się. Nie będzie zachowywał się w swoim własnym domu, wobec własnej żony, niczym kamerdyner w hotelu, który przynosi do numeru śniadanie dla nowożeńców. Po prostu nacisnął klamkę i wszedł do środka.

- Katherine, ja...

Omiótł pokój spojrzeniem.

Pusty! W takim razie co z Katherine? Czyżby spałowała się i wróciła do matki? Otwarta szafa rozwiąła jednak te przypuszczenia.

Wypadł z sypialni na korytarz, skręcając za drzwiami w lewo, w stronę kuchni. Jak mógł o tym nie pomyśleć? Oczywiście, jego żona poszła po rozum do głowy i w tej chwili z pewnością przygotowuje śniadanie. Odczuł wielką ulgę i nawet uśmiechnął się pod wąsem.

Jednak uśmiech prędko znikł z jego twarzy. Kuchnia straszyla głuchą pustką, tym większą, że zawsze o tej porze krzątała się tutaj Mary Rosa, a z garnków i patelni unosiły się smakowite zapachy. Jego żona nawet tu nie zajrzała. Nie zauważył żadnych śladów jej obecności. Właściwie miał pełne prawo pomyśleć, że ślub po prostu przyśnił mu się dzisiejszej nocy.

Więc może Katherine jest gdzieś w obejściu? Już ruszył w kierunku drzwi, gdy przykuł jego wzrok karłuszek na stole.

Chwycił go i spojrzał na krótką informację. Bardziej zwięzłą wręcz trudno było sobie wyobrazić.

„Pojechałam na ranczo Thornów. Wróć na obiad. K.”

Do diaska!

Walnął otwartą dłońią o blat stołu. Dłoń, ma się ro-

zumieć, zabolą, lecz jeszcze bardziej zabolą szyja. Skrzywił się i jęknął.

Udał się szybkim krokiem do sypialni, gdzie w pośpiechu przebrał się w zwykły, codzienny ubiór. Opuścił dom, chwycił jeszcze pas z rewolwerem i nieodłączny kapelusz.

Na nieskazitelnie błękitnym niebie świeciło wesołe słońce. Wiał orzeźwiający wietrzyk. Zdawało się, że dzień naigrawa się swoim urokiem z ponurego nastroju Logana.

Krzyki mężczyzn naprawiających corral zwróciły jego uwagę, lecz nie na długo. Nie zatrzymując się, odpowiedział machnięciem ręki na ich pozdrowienia i wpadł do stajni. Widział przed sobą tylko jeden cel: dopaść swą żonę i sprowadzić na powrót do domu. Jeśli wyobrażała sobie, że może mu skakać po głowie i nie liczyć się z jego wolą, to była w błędzie. Im szybciej uświadomi sobie swój błąd, tym lepiej.

Doszedł do boksu, w którym stał Joker. Jednak na widok spokojnie żującego obrok konia coś w jego duszy jakby się odmieniło.

Bo cóż właściwie zamierzał uczynić? Gonić swoją żonę, niczym chory z miłości szczeniak? A potem, czy miał paść przed nią na kolana i błagać, by wróciła do domu, czy też może raczej przerzucić ją przez kolano i porządnie przetrzepać siedzenie? Obraz fizycznie karconej Katherine był nawet dość pociągający, szkopał w tym, że mało realny.

Logan zmarszczył brwi, poklepał Jokera po szyi i opuścił stajnię. Zdecydował się rozmówić z Katherine po jej powrocie do domu.

Uderzyła konia lejcami po zadzie. Wielki gniadosz, przyśpieszył kroku. Powozik podskakiwał na wybojach. Była spóźniona. Słońce barwiło już purpurą daleki łańcuch górski, a przecież miała wrócić w porze obiadu.

Ale najgorsze było to zmęczenie. Bardziej zresztą duchowe niż fizyczne. Cały dzień spędziła na zaciekłym sporze z Danielem. Na szczęście, udało się jej w końcu złagodzić nieco jego urazy i gniew.

Wjechała w obręb zabudowań i zatrzymała się przed stajnią.

Podszedł do niej jeden z kowbojów i uprzejmie pomógł przy wysiadaniu.

- Jestem Slim, pani McCloud - przedstawił się, uchylając kapelusza.

- Dziękuję, Slim. Czy byłbyś jeszcze tak uprzejmy i wstawił bryczkę do wozowni? Trochę się śpieszę i...

- Żaden problem, pani McCloud. Proszę iść prosto do domu, a ja się wszystkim zajmę.

Gdzie mógł być w tej chwili Logan? Pracował, czy też czekał na nią w domu? Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że jest tam w środku i niebawem spiorunuje ją spojrzeniem i zaleje wymówkami.

Otwierając frontowe drzwi, dumnie uniosła głowę.

Przecucie nie omyliło jej. Był tam. Stał oparty o kuchenny kredens. Wydawał się innym człowiekiem. Wyższym, potężniejszym i jakby ciemniejszym. Czarным jak chmura gradowa.

- Tylko nie zaczynaj, Logan.

Odstawił szklanę z maślanką. Ale uczynił to nieostrożnie. Szklanka przewróciła się, a jej zawartość wylała.

- To ty zaczęłaś wszystko, kreśląc do mnie ten czarujący liścik miłosny.

Rzuciła na stół kapelusz i rękawiczki. Gestem tym zdradziła, jak bardzo jest wzburzona.

- Mów, o co ci chodzi?!

Skrzyżował ręce.

- O ciebie. Chodzi mi o ciebie, moja kochana żono.

- Czuję się zaszczyciona.

Przeszła przez kuchnię i zniknęła w spiżarni. Po chwili wyszła z niej z puszką fasoli i połciem bekonu. Położyła produkty na kuchennym stole i rozejrzała się za opalem.

Skoczył ku niej i chwycił za ramiona.

Próbowała się wyswobodzić. Daremnie.

- Logan, chciałabym zrobić obiad, więc jeśli pozwolisz...

- Mam w nosie obiad. Cóż to był za pomysł z tym wyjazdem?

- Jak to? Znajduję się w więzieniu?

Chwycił ją w tali, podniósł do góry jak piórko i usadził na krześle. Nie opierała się. Nie było najmniejszego sensu walczyć z tym rozwścieczonym niedźwiedziem.

- Żadnych wariactw więcej, Katherine. Jesteś moją żoną. Od wczoraj nosisz nazwisko McCloud. Z nazwiskiem tym łączą się pewne obowiązki. Przede wszystkim obowiązki względem własnego męża. - Skrzyżowali spojrzenia. W oczach kobiety malował się upór.

- Kiedy będziesz chciała gdzieś wyjechać, uprzedzisz mnie o tym, a ja albo sam cię odwiozę, albo zlecę komuś innemu, żeby ci towarzyszył. Tak czy inaczej, twój dom jest tutaj, nie zaś w obrębie tamtych drutów kolczastych. Czy wszystko jasne?

Katherine nadal patrzyła nieugiętym wzrokiem, potem, powoli, wstała.

- Czy już skończyłeś, McCloud? - Nie czekała na odpowiedź. - Więc teraz ja ci coś powiem. Nie będę przyjmowała żadnych rozkazów. Ani od ciebie, ani od kogokolwiek innego. Nie jestem twoją niewolnicą ani pańszczyźnianą sługą. Nikomu też nie będę opowiadać się, dokąd jadę, kiedy i w jakim celu. Lecz skoro już tak bardzo rozsierdził cię mój dzisiejszy wyjazd, to powiem krótko, że odwiedziłam moją rodzinę. Naprawdę nie uważam, abym musiała zrywać z nią tylko dlatego, że wczoraj wielbny Holland ogłosił nas mężem i żoną.

- I bynajmniej nie skłamał. Tak jest faktycznie, tyle, że zdajesz się o tym zapominać. Oczekuję więc...

- Spełniania wszystkich twoich zachcianek - wtrąciła sarkastycznym tonem.

- Nie myl mężczyzny z rozkapryszonym dzieckiem. Mężczyzna, który budzi się rano lub wraca po pracy do domu, oczekuje rzeczy o wiele skromniejszych. Takich, na które w pełni zasługuje. Miłego uśmiechu, gorącego posiłku, ciepłej rodzinnej atmosfery.

Katherine aż zazgrzytała zębami. Nikt nie będzie jej pouczał, jaką ma być żoną.

- Więc zapewniam cię, że będę utrzymywała w czystości twój dom. Będę prała, sprzątała i przyrządzała posiłki, jeżeli gar gorącej zupy jest dla ciebie czymś aż tak niesłychanie ważnym. Choć, swoją drogą - dodała z zuchwałym błyskiem w oku - tak duży chłopiec jak ty powinien umieć usmażyć sobie jajecznicę czy uprać koszulę.

- Ten duży chłopiec wszystko to potrafi, ale nie o tym mówimy, Katherine. Nie chce mi się wierzyć, byś nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Z jednego tylko zdaję sobie sprawę. A mianowicie, że nigdy nie porzucę mojej rodziny - wyjęła z szafki patelnię. - Obiad za dwadzieścia minut - rzuciła przez ramię.

- Do diabła z obiadem! - ryknął i wypadł przez drzwi.

14

Cztery dni później Logan miał już dość tych komedii. By było paradniej, spali w jednym łóżku, lecz tylko dlatego, że odrzucił jej pomysł przeniesienia się do pokoju gościnnego. Ustąpiła mu w tym punkcie, ale poza *tym* w żadnym innym.

Oczywiście, długa nocna koszula, szczelnie osłaniająca całe jej ciało, czyniła intencje Katherine, a raczej ich brak, całkowicie jednoznacznymi. Spał więc z zakonnicą i do kompletu brakowało jedynie modlitewnika. Skromne za dnia, zakonnice nic nie tracą ze swej skromności również nocami. Tak i ona kuliała się na samym brzeżku łóżka. Zachodził w głowę, jakim cudem udawało się jej dotąd nie spaść na podłogę.

Cierpiał straszliwie. Miał oto jedną z najcudowniejszych kobiet na wyciągnięcie ręki i nie mógł jej dosięgnąć. Tak naprawdę mógł, tylko nie chciał. Skoro jego żonie zachciało się być upartą, to jemu również. Bynajmniej nie był od niej gorszy. Jeśli już mieli kiedyś w przyszłości wspominać ten miodowy miesiąc, to niech przynajmniej będzie tak, aby zasługa równo się rozkładała.

Słońce lało z góry potoki rozpalonej surówki, nawet wiatr zdawał się być podmuchem pieca hutniczego. Logan zdjął kapelusz i wytarł spocone czoło rękawem koszuli. Żgnął konia ostrogami. Zmęczony Joker przeszedł do ciężkiego galopu. Jechał wzdłuż rze-

ki, szukając w jej wyschniętym korycie niecek z wodą. McCloud spojrział na wschód. Tam, gdzieś na tym przeklętym ranczo z owcami, była Katherine.

Dotrzymywała słowa. Prała, sprzątała, pichciła, a kiedy wyjeżdżał, ona również wyjeżdżała. Korzystała z bryczki. Był to na razie bodaj jedyny znak, że nosi w łonie dziecko.

Ich wzajemny kontakt sprowadzał się do sporadycznych rozmów. Pragnął swojej żony. Marzył o tym, by trzymać ją w ramionach, rozkochaną, gorącą, otwartą na jego przyjęcie. Musiał więc uwieść tę zakonnicę, zdobyć tę wyniosłą twierdzę. I kiedy tak jechał brzegiem rzeki w upalne popołudnie, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Przystąpił do jego realizacji w czwartek wieczorem przy kolacji.

- Pojutrze jadę do Cheyenne. Chciałbym, byś pojechała ze mną.

- Nie mogę.

Logan spodziewał się tej odmowy. Odłożył widelec. Wiedział, że nie wolno mu się unosić. Postanowił przeprowadzić tę rozmowę możliwie najspokojniej, sięgając do racjonalnych argumentów.

- Dlaczego? - zapytał, zaś lekkie zmarszczenie brwi stanowiło jedyny sygnał jego zniecierpliwienia.

- Daniel w sobotę przepędza owce na północne pastwisko. Obiecałam pomóc.

- I będziesz pomagać mu, jadąc konno?

- Nie, idąc piechotą.

- Rozumiem - zamyślił się. Katherine miała w sobie płochliwość sarenki, musiał więc posuwać się bardzo ostrożnie. - Twój brat przynajmniej może liczyć na twoją pomoc.

Zmrużyła oczy. Stała się nieufna.

- Tak, może.

- Traktujesz bardzo serio swoje zobowiązania - utkwiał w niej badawczy wzrok. - I jest to słuszne, nieprawdaż?

Jej nieufność pogłębiła się.

- Znasz moją odpowiedź.

- Jednak mam wrażenie, że dotrzymujesz swych zobowiązań wobec wszystkich, tylko nie wobec własnego męża.

Z jej oczu powiało lodowatym chłodem.

- Nigdy nie twierdziłam, że ty...

- Nie mówmy o mnie, trzymajmy się tematu - przerwał jej, bojąc się, by rozmowa znów nie zбочyła na sprawy współżycia seksualnego. - Wybieram się do Cheyenne w interesach. Pragnę, by towarzyszyła mi żona.

- Jeżeli to mają być interesy, po co ci moja osoba?

- Ludzie zaczynają się dziwić, dlaczego moja młoda żona nagle tak pokochała cztery ściany domu, że nie chce wytknąć z nich nosa. Rób tak dalej, a zaczną krążyć najbardziej fantastyczne plotki.

Katherine skrzywiła usta w kwaśnym uśmiechu.

- Kiedy największy w stanie hodowca bydła nagle, ni stąd, ni zowąd, żeni się z córką owczarza, to już samo w sobie jest powodem do plotek.

- Zgoda. Tylko że pokazując się razem publicznie, możemy im dać odpór.

Milczała. Jej oczy przywodziły na myśl ostatnią zimę w Wyoming. Lubił w niej mnóstwo rzeczy, ale z pewnością nie ten zimny upór.

- Katherine...

- Masz rację.

- Co?

- Masz rację - ramiona jej opadły. Spuściła głowę. Sprawiała w tej chwili wrażenie osoby, która się poddała. - Niekiedy myślę sobie, że dni powinny trwać co najmniej czterdzieści osiem godzin, aby wystarczyło ich na wszystko, co chciałabym zrobić - patrzyła teraz na niego ze smutkiem w oczach i był to smutek wpływający z poczucia klęski.

Współczucie ścisnęło go za gardło.

- Nie toczymy ze sobą wojny, Katherine. Po prostu ty i ja próbujemy ułożyć sobie życie, aby znaleźć w nim chwile szczęścia.

Oczy kobiety zwilgotniały. Gwałtownie wstała od stołu.

- W sobotę rano będę gotowa.

- Ja również - odparł, odprowadzając wzrokiem jej gibką postać.

Dylizans do Cheyenne wyruszał o dziewiątej spod sklepu Hockbaura. Logan i Katherine okazali się jedynymi pasażerami.

McCloud usiadł obok żony, mimo że skorzystanie z drugiego siedzenia gwarantowałoby większą wygodę podróży.

- Lubię jechać przodem do kierunku jazdy - odparł na milczące zapytanie żony, zakładając nogę na nogę.

Katherine próbowała rozsiaść się swobodnie na pokrytej czerwoną skórą ławeczce, ale nie było to łatwe. Wystarczył najmniejszy ruch, aby zaraz ocierała się ramieniem lub udem o ciało Logana.

W końcu udało się jej zająć taką pozycję, że między nią a nim stworzyła się wąska luka. Był to niejako pas

ziemi niczyjej. Znikł bardzo szybko. Logan wyciągnął nogi, wytarł nos chusteczką i już z powrotem dotykał biodrem jej biodra.

Westchnęła z rezygnacją. Przed tym mężczyzną nie było ucieczki. W czwartek rozmyślała nad tym długo w noc i doszła do wniosku, że Logan ma rację. Był jej małżonkiem i jakkolwiek wtedy w obozowisku zachował się wobec niej bardziej jak prymitywny kowboj niż kulturalny ranczer, to przecież ożenił się z nią, chociaż wcale nie musiał tego robić.

Posiadała go zatem i całą duszą pragnęła przyczynić się do tego, aby ich małżeństwo okazało się udane i szczęśliwe. Ale zmiana nastąpiła tak szybko, iż nie potrafiła zmienić całego swojego życia w przeciągu kilku dni. Niemniej dziś rano zdecydowała, że zatelegrafuje z Cheyenne do banku w Filadelfii, by zlecić sprzedaż sklepu z kapeluszami. Trudno było jej podjąć tę decyzję, ale była zamężną kobietą w ciąży i powrót do branży modniarskiej wydawał się niemożliwy. Poza tym spalenie za sobą mostów mogło ułatwić jej rozwiązanie bieżących problemów.

Nagle koło dylizansu natrafiło na jakiś wybój czy kamień, pojazd podskoczył i Katherine zsunęła się z ławeczki. Przed upadkiem uratowało ją ramię Logana. Chwycił ją i przyciągnął do siebie. Poczowała jego oddech na swoim policzku, a ocienione wąsikami wargi prawie dotknęły jej ust.

- Ależ ze mnie niezdara - powiedziała z bladym uśmiechem, siadając na swoim miejscu.

- Lubię niezdary - odpowiedział, a w jego czarnych oczach zapłonął płomień wesołości i sympatii.

Przez jej ciało przebiegł rozkoszny, ciepły dreszcz. Chcąc zatuszować tę reakcję, wyjęła z torebki chustę-

czkę i przytknęła ją do nosa. Jechali w chmurze kurzu. Batystowa chusteczka przy nosie i ustach wydawała się jak najbardziej usprawiedliwiona.

Logan nieznacznie przesunął się bliżej Katherine. Wszystko na razie szło zgodnie z planem. Zresztą najlepsze są najprostsze plany, pomyślał cynicznie. Zagrał na strunie jej poczucia odpowiedzialności i udało mu się uzyskać zgodę żony na wspólny wyjazd do Cheyenne. Miasto stanowiło teren neutralny. Przez jakiś czas mieli przebywać z dala od bydła i owiec, pozbawieni możliwości ucieczki od siebie oraz sposobności zajęcia się czymś innym, niż tylko sobą nawzajem. Wspaniała okazja, aby powtórzyć to, czego już raz zakosztowali.

McClouda przepęłniała miłość. Jasne, że każdego dnia po wielokroć powtarzał sobie, jak niemądrą i ryzykowną rzeczą jest kochać Katherine. Gromadził argumenty przeciwko tej miłości i powstała z nich lista, z której mógłby być dumny każdy rozsądny, trzeźwo myślący człowiek. Ale nie miało to nic do rzeczy. Miłość nie liczy się z logiką, a nawet jest jej krańcowym zaprzeczeniem.

Logan postanowił zatem uwieść własną żonę i zamierzał to zrobić, sięgając do metod możliwie najskuteczniejszych. Długie przejażdżki, przechadzki po sklepach, wieczory w teatrach i restauracjach, noce...

Sprawa nocy przedstawiała się najbardziej mgliście. Solennie przyrzekał sobie, że nie będzie zdobywał jej szturmem, ale też nie zamierzał dawać pardonu. Pragnął jej i musiał ją mieć.

Aż westchnął pod ciężarem tego postanowienia, po czym wyjrzał przez okno. Z chęcią zrzuciłby woźnicę z kozła i sam chwycił za lejce, by jak najprędzej zna-

leżć się w Cheyenne. Mieście, które nazywał w myślach miastem miłości.

Dojechali dopiero późnym popołudniem i zatrzymali się w centrum przed hotelem „Inter-Ocean”.

Logan wyskoczył z dylizansu, po czym pomógł Katherine zejść po dwóch chwiejących się stopniach na cementowy chodnik.

- Witaj w Cheyenne, Czarodziejskiej Perle Równin.

- Dziękuję - odparła, spoglądając na imponujący fronton hotelu. - Czy tutaj właśnie się zatrzymamy?

- Zatrzymamy się w moim domu - odpowiedział, odbierając od woźnicy bagaże.

- Twoim domu? - zapytała, nie kryjąc zdziwienia.

- Tak. - Logan rozglądał się po ulicy, najwyraźniej kogoś szukając.

- Nadal nie rozumiem, co to oznacza? - Pociągnęła go za rękaw surduta.

- Chwileczkę, kochanie - uniósł rękę. - Jack! - pomachał w kierunku stojącego opodal powozu, na którego koźle siedział jakiś mężczyzna.

Zostawiwszy walizy i torby na chodniku, Logan wziął Katherine pod rękę i ruszył w tamtą stronę. Prawie biegła, chcąc dotrzymać mu kroku.

Mężczyzna zeskoczył na ziemię. Był wysoki i szczupły.

- Logan! - krzyknął, uśmiechając się. - Niewiele się spóźniłście.

- Jack, ty stary koniokradzie! - mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. - Co za frajda znowu cię widzieć.

Katherine stała skromnie z boku. Czuła się prawie intruzem. Zaraz jednak Logan ogarnął ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Katherine, to jest Jack Holcombe. On i jego żona, Sally, opiekują się tutaj naszym dobytkiem.

Mężczyzna uchylił ciemnobrązowego stetsona.

- Miło mi panią poznać, pani McCloud. Kiedy Logan zatelegrafował, że przyjedzie z żoną, Sally wpadła w istne szaleństwo. Rzuciła się do sprzątanía i pieczenia, i choć zaczęła wczoraj, zapewne ciągle to robi - jego kapelusz znów znalazł się na głowie. - A teraz proszę się wygodnie rozsiąść, a my w przeciągu dwóch minut uwiniemy się z bagażami. Za kwadrans będziemy w domu.

Logan otworzył drzwiczki powozu i pomógł wsiąść żonie. Cóż za różnica w porównaniu z ławeczką w dylizansie! Katherine miała wrażenie, że siedzi teraz na domowej kanapie, choć nawet one nie dawały takiego komfortu.

W ogóle nie był to zwykły powóz. Ogromny, lśniący srebrnymi okuciami i hebanową czernią, zaprzężony był w parę dorodnych siwków, których sama uprząż warta była majątek. Tak wspaniałego pojazdu Katherine nie widziała nawet w Filadelfii.

Nagle uświadomiła sobie z całą jasnością, jak bardzo bogatym człowiekiem jest Logan. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tą sprawą i dopiero teraz, widząc zaciekawione spojrzenia przechodniów, skupiła się na niej. Nic dziwnego, że mógł zaproponować tak wysoką cenę za jej ranczo.

Powóz zakołysał się łagodnie, kiedy Logan stanął na stopniu.

- Niebawem będziemy w domu - zapewnił ją, wciskając na czoło kapelusz.

Ruszyli, zaś Katherine wydało się, że płynie na pokładzie wspaniałego statku.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że masz tutaj dom?

- Nie pytałaś.

Westchnęła.

- Czy miałam zapytać cię przy kolacji: „Słuchaj, Logan, czy ty masz jakiś dom w Cheyenne, Nowym Jorku, Paryżu lub Timbaktu”?

Logan odchrząknął, co wyglądało, jakby tłumił duszący go śmiech.

- Odpowiedź na twoje pytanie brzmi „tak”. Mam... mamy dom w Cheyenne oraz kamienicę w Nowym Jorku. Gdy jestem w Paryżu, zatrzymuję się u mego kuzyna. Natomiast co się tyczy Timbaktu, nigdy tam nie byłem, lecz jeśli chciałabyś zobaczyć to baśniowe miasto, możemy któregoś roku wybrać się tam.

Rozszerzone oczy Katherine wyrażały w równym stopniu zdumienie, co niewiarę.

- Chyba żartujesz sobie ze mnie?

- Bynajmniej.

- Wielkie nieba, Logan! Wiedziałaś, że jesteś mądrym człowiekiem, posiadającym mnóstwo ziemi i krów, ale nie miałam pojęcia, że jesteś aż tak nieprzyzwoicie bogaty.

Ujrzała kątem oka, że ramiona Jacka trzęsą się od bezgłośnego śmiechu.

McCloud okazał się mniej taktowny. Roześmiał się w głos, pełną pierśią.

- Hodowla bydła przynosiła w ostatnich latach krociowe zyski. W każdym razie nie grozi nam, że umrzemy z głodu.

- To pocieszyłeś mnie - odparła i również wybuchnęła śmiechem.

Jack odwrócił się, ocenił sytuację, uśmiechnął się i wrócił do powożenia.

Katherine wytarła oczy batystową chusteczką.

- Wybacz, Logan. To, oczywiście, nie jest twoja wina, że siedzisz na pieniądzach.

Spojrzał jej w oczy z miną człowieka, który w ostatniej chwili, stojąc już przed plutonem egzekucyjnym, został ułaskawiony.

- Doceniam twoją wyrozumiałość. Bo już przez chwilę myślałem, że zaraz mnie poprosisz, abym pozbył się tych pieniędzy i...

Dalsze jego słowa zagłuszył przeraźliwy gwizd lokomotywy, która ciągnęła trzy wagony osobowe i tyleż towarowych. Jechali właśnie wzdłuż torów Union Pacific. Do gwizdu, sapania i turkotu dołączył dzwonek, aż w końcu wszystko ucichło, gdyż skręcili w prawo i oddalili się od parowego potwora.

Katherine mogła wreszcie odsłonić uszy, które zakryła przedtem dłońmi.

- Jesteśmy w centrum handlowym - powiedział Logan, pokazując na dwa nieprzerwane ciągi sklepów i restauracji po obu stronach szerokiej ulicy.

- Jestem pod wrażeniem.

Katherine czuła się wprost oszołomiona. Zapachy, dźwięki i widoki miasta rozbudziły w niej nieugaszoną, choć tłumioną do tej pory tęsknotę. Cheyenne przypominało jej Filadelfię. Z podnieceniem małej dziewczynki przyglądała się wystawom sklepowym i eleganckim strojom.

- I co myślisz o moim mieście? - zapytał Logan z nie skrywaną dumą. - Już jutro Cheyenne będzie stanowić potężną konkurencję dla miast wschodniego wybrzeża.

- Naprawdę piękne, fascynujące miasto - odparła z całą szczerością. - Muszę zmienić swoją opinię o Wyoming. Ilu mieszkańców ma Cheyenne?

- Ostatnio słyszałem, że około dwudziestu pięciu tysięcy. Wśród obywateli miasta są nawet członkowie angielskiej rodziny królewskiej. Podejrzewam, że pokrewieństwo jest dość dalekie, ale jednak... Zresztą poznasz ich osobiście.

- Tych książąt?

Roześmiał się.

- Oczywiście. Powiedziałem ci przecież, że bydlę to lukratywny interes. Posiadają rancza na zachód od miasta.

Co za niespodzinka! Członkowie rodziny królewskiej tutaj, w Wyoming. Kto by pomyślał?

Opuścili handlowe centrum i wjechali w dzielnicę mieszkaniową. O ile, rzecz jasna, mieszkaniem można było nazwać te piętrowe rezydencje, widoczne zza parkanów i żywopłotów.

Z dziedzińca jednej z takich willi pomachały ku nim dwie kobiety. Logan uśmiechnął się i uchylił kapelusza.

- Mellissa Johnson i jej matka - wyjaśnił, opadając na siedzenie.

Katherine już miała na końcu języka pytanie, kiedy wreszcie dojadą na miejsce, gdy Jack zatrzymał siwki.

- Oto nasz dom - powiedział Logan wesołym głosem, spoglądając w prawą stronę. - I jak ci się podoba?

Katherine poszła za jego wzrokiem. Dom? Ta kamienno-ceglana budowla wcale nie była domem. Domem był budynek, w którym mieszkali jej matka

i brat, jak również ten, w którym od kilku dni mieszkała z Loganem. Natomiast to, co miała przed sobą, to był najprawdziwszy pałac. Wznosił się w górę na dwa piętra i otoczony był żywopłotem z bzu.

- Myślę, że tam w środku można zabłądzić - powiedziała, stając na chodniku.

- Mój ojciec wybudował go dla mamy. Ona nie zabłądziła, więc może i tobie uda się tego uniknąć. W każdym razie jest to najzwyczajniejszy dom z czterema ścianami i dachem.

- Góry Laramie to też tylko sterty kamieni.

Logan roześmiał się, setnie rozbawiony tym porównaniem, po czym wziął żonę pod ramię. Katherine nie czuła się już tak pewnie jak dziś rano, gdy opuszczali Clearwater, jednak niepewność nie była dla niej czymś zupełnie nowym.

Pozostawiając Jackowi troskę o bagaże, ruszyli ku frontowym drzwiom. Weszli na schodki portyku. Nagle, zanim Katherine się spostrzegła, znalazła się na rękach męża.

- Należy do tradycji, że mężczyzna przenosi przez próg domu swą nowo poślubioną małżonkę.

- Logan, puść mnie. Jeszcze ktoś zobaczy...

Dalsze słowa zamarły jej na wargach. Czegoś takiego nie spodziewała się w najbardziej fantastycznych marzeniach. Hol miał rozmiary niejednego domu. Z sufitu zwieszał się czteroramienny kryształowy żyrandol, lejąc światło na wywoskowaną posadzkę. Wykładane ciemną boazerią ściany stwarzały niemal świątynny nastrój. Nieliczne, ale stylowe meble przywodziły na myśl dawne epoki. Ku górze biegingy kręte, drewniane schody, tyleż niebezpieczne, co wyrafinowane w swych bluszczowatych skrętach.

Dopiero ochłonawszy z pierwszego wrażenia, Katherine uświadomiła sobie, że nadal znajduje się na rękach Logana. Lecz nawet kiedy postawił ją na nogi, nie ruszyła się. Wciąż dotykała go niemal całą długością ciała. Jej odrętwienie brało się tym razem z dwóch źródeł: bliskości tego mężczyzny i niezwykłości otoczenia.

O jej duchowym i fizycznym stanie decydował jednak mężczyzna. To jego ciało, ciepło i zapach oddziaływały na nią tak dojmująco. Powtórzyło się to, co działo się już niejednokrotnie: zagubiła się w tej zmysłowej przestrzeni, którą on kreował.

Pochylił głowę i delikatnie pocałował ją w usta. Oderwał wargi i natychmiast powtórzył pocałunek.

Usta Katherine były miękkie, soczyste i gorące. Logan miał wrażenie, że spija z nich nektar obietnicy.

- Witaj w domu, pani McCloud - powiedział, cofając się pół kroku.

- To jest właśnie błękitny pokój - powiedziała Sally, otwierając przed Katherine drzwi sypialni.

Nazwa jak najbardziej pasowała do wspaniałego wnętrza. Błękitna, atlasowa narzuta okrywająca łożę z kolumnkami, błękitne zasłony na oknach i akcenty błękitu na wzorzystym dywanie - wszystko to tworzyło doskonale skomponowaną, harmonijną całość. Nie było chyba kobiety, która nie marzyłaby o takiej sypialni.

- Ale ten pokój jakoś nie pasuje mi do Logana - zauważyła Katherine.

- Bo nie jest jego pokojem - roześmiała się Sally, zakładając za ucho kosmyk rudych włosów.

Dały się słyszeć głosy mężczyzn, którzy wnosili na górę bagaże.

- Co wy tu robicie? - zapytał Logan, stając w drzwiach. Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy.
- To jest pokój gościny, a moja żona dzieli sypialnię ze mną.

- Oczywiście - odparła Sally, rumieniąc się aż po dekolt żółtej sukienki. - Logan, ty tu o wszystkim decydujesz, ale twój pokój jest ciemny i ponury, niczym loch więzienny. Pomyślałam, że pani McCloud wolałaby spać w trochę weselszym miejscu. Wiesz zresztą, jakie są kobiety. A już szczególnie podczas miodowego miesiąca.

Cóż, jego pokój rzeczywiście nie przypominał buduaru. Raczej celę mnicha.

- Podoba ci się tutaj, Katherine?

- Nigdy jeszcze nie widziałam tak pięknej sypialni - odparła, wodząc wokoło zachwyconym wzrokiem.

Logan uśmiechnął się. Było mu doskonale obojętne, gdzie będą spali, byleby spali razem. Odwrócił się do Jacka.

- Zostawiamy tutaj bagaże. Skocz po pozostałe. Holcombe uwolnił się od dwóch pękatych toreb podróżnych, po czym ujął za ramię swą żonę.

- Chodź, kobieto. Zostawmy tych szczęściarzy samych.

- Jeśli będziecie czegoś potrzebowali... - zaczęła Sally.

- Jedyne, czego pragnę, to uwolnić się od nas - zauważył jej mąż, wyciągając kobietę na korytarz i zamykając drzwi.

Logan dźwignął kufer, który postawił przedtem na podłodze i przeniósł go bliżej szafy. Odpiął mosiężne klamry i podniósł wieko.

- Jeśli jesteś zmęczona, to mogę go sam rozpakać albo zawołać Sally.

- Wcale nie jestem zmęczona. Rozwieszanie ubrań w szafie to żadna praca. Poradzę sobie sama.

- To dobrze - powiedział Logan, lecz jego posmutniałe oczy mówiły co innego. - W takim razie ja zejść na dół i zobaczę, co z obiadem. Łazienka znajduje się na końcu korytarza. A gdy już będziesz gotowa, odnajdziesz mnie w bibliotece na parterze. Drugie drzwi na lewo od schodów.

Pocałował ją w policzek i opuścił pokój.

Gdy Katherine została sama, z miejsca wzięła się do rozwieszania ubrań. Po chwili jednak przerwała i raz jeszcze rozejrzała się po sypialni. Miała wrażenie, że jest księżniczką z bajki. Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Wiedziała, że niektórzy ludzie żyją w luksusach, teraz jednak mogła sprawdzić naocznie, wręcz namacalnie, co to są te luksusy.

Poczuła w piersiach skurcz żalu. Pomyślała teraz nie o sobie, lecz o swojej matce. Sarah do tej pory zaznawała tylko biedy i trudu. Czy los nigdy nie miał uśmiechnąć się do tej najdroższej jej sercu istoty?

Zacisnęła zęby, przysięgając sobie wymusić na losie ten uśmiech, po czym wróciła do rozwieszania sukienek. Skończywszy, zamknęła szafę i zajęła się bielizną, którą włożyła do dwóch dolnych szuflad.

Ta krzątanina związana z opróżnianiem toreb i kufra zmniejszyła trochę jej wewnętrzne napięcie. Lecz mimo to miała poczucie, że musi upłynąć trochę dni, zanim niepokój spowodowany pracą, zmartwieniami, strachem i wyrzutami sumienia minie całkowicie.

Przechodząc obok łóżka, pogładziła błękitną, atlasową narzutę. Było w niej coś, co przypominało

powierzchnię chłodnej toni. Katherine zapragnęła zrzucić ubranie, skoczyć w tę rozkoszną głębię i zostać w niej, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej przez tydzień.

Czyż nie zasługiwała na chwilę odpoczynku, zając się samą sobą, a nawet na chwilę szczęścia?

Szczęście. Słowa tego nie używała dotąd w odniesieniu do siebie. A przecież nie mogła powiedzieć, że jest nieszczęśliwa. Raczej znajdowała się na rozdrożu. Poszukiwała nowej formuły dla swego życia.

Dywan był tak miękki i puszysty, że zapadała się weń aż po same kostki. Wyszła na korytarz.

Stanął przy niej Logan. Nie w swej cielesnej postaci, lecz utkane ze zmysłowych doznań wyobrazenie jego osoby. I od razu poczuła ów dobrze jej już znany niepokój, gorączkę całego ciała. To, co najbardziej ją zawstydzalo, to przyjemność wiążąca się z tym stanem.

Zbliżyła się do schodów. Logan wciąż jej towarzyszył, ujmując smutku, strachu i samotności.

Byli związani ze sobą sakramentem małżeństwa i bliskim rodzicielstwem. Szczerze mówiąc, nienawidziła tych porannych żołądkowych sensacji. Słyszała, że wymioty związane z ciążą nie trwają długo. Miała nadzieję, że to prawda. Ta biedna, mała istotka w środku musiała mieć chyba już dość tych wstrząsów.

Mała istotka. Pragnęła ją sobie wyobrazić, ale obraz rozpląwał się w jakiejś nieokreśloności. To „coś”, ten „pędraczek” zbyt jeszcze zlewał się z nią, z jej duszą i ciałem, aby mogła traktować go jako odrębną osobę.

Stała więc u szczytu schodów i wpatrywała się w przyszłość. Za siedem miesięcy urodzi dziecko, które będzie wymagało miłości i rodzinnego ciepła, wychowawczych wskazówek i materialnej opieki, aż

wreszcie stanie się dorosłym człowiekiem, przygotowanym do dźwigania własnego losu.

Położyła dłoń na poręczy. Była ona gładka, błyszcząca i chłodna. I nagle go zobaczyła... maleńkiego chłopczyka...

- Katherine.

Tym razem to rzeczywisty Logan stał u podnóża schodów, z głową przechyloną na jedno ramię.

- Czy dobrze się czujesz? Stoisz tam już ze dwie minuty?

- Myślałam o czymś.

Zaczął iść ku niej, stopień po stopniu.

- A cóż to tak zaprzętało twoje myśli?

- Pewien mały chłopiec, który będzie uwielbiał zjeżdżać po tej poręczy.

Na chwilę zatrzymał się w swej wędrówce ku górze. Poraził go czar jej słów i musiał ochłonać.

- Tak, ten mały chłopiec będzie za tym przepadał - powiedział ściszym głosem, wpatrując się oczami duszy w ruchliwego jak fryga brzdąca. Jakże pragnął mieć go wreszcie i trzymać w ramionach. - A jak będzie wyglądał ten psotny cherubinek?

Gładziła dłonią obłoczek poręczy.

- Ten, o którym ja myślę, będzie miał falujące, czarne włosy.

Dlaczegoż tak trudno było mu oddychać, a tak łatwo wchodzić? Ciemnozielony chodnik sprężynował pod stopami jak gąbka.

- A poza tym?

- Hultajski uśmiech.

Serce waliło mu w piersi, jakby miał za sobą już tysiąc stopni. Ale nie czuł się zmęczony. Czuł się uskrzydłony.

- I co jeszcze?

- Duże czarne oczy. Wiesz, w rodzaju tych, co potrafią stopić matczyne serce.

Stała. Lecz jego dłoń ciągle wędrowała po lśniącej poręczy, aż dotknęła palców Katherine.

- A czyj będzie ten czarnowłosy czaruś? - zapytał chrapliwym głosem.

- Twój - powiedziała.

- Nasz - poprawił ją.

- Nasz - zgodziła się z rozmarzonym uśmiechem i pogładziła go po twarzy.

A potem ujęli się za ręce i zeszli do holu. Pragnął rozmawiać z nią dłużej o dziecku i przyszłości. Pragnął wyznać, jak bardzo ją kocha. Ale nie mógł się zdobyć na wyrażenie słowami swoich pragnień. Na to było jeszcze za wcześnie. Jeszcze Katherine nie była w pełni jego. Powiedział tylko:

- Będę dbał o ciebie, Katherine - to było wszystko, co mógł w tej chwili zaryzykować.

- Zgodziłeś się na błękitny pokój. Czyż mogę żądać czegoś więcej? - Jej duszę przepelniała cicha radość, jakiej bodaj nigdy dotąd nie zaznała.

Uśmiechnął się i pocałował ją w czubek nosa. Odwdzięczyła się jasnym uśmiechem. O wspanialszym darze nie mógł w tej chwili marzyć.

15

Katherine przetarła oczy i usiadła na łóżku. Była w pokoju sama. Jedynie odrzucony róg koldry oraz dołek w poduszce świadczyły, że tę noc Logan spędził u jej boku. Musiał położyć się bardzo późno, pomyślała.

Wypiła wczoraj do obiadu kieliszek wina, który odurzył ją i kompletnie zbił z nóg. A kiedy już znalazła się w pościeli, prawie natychmiast zasnęła. Nieprawdopodobnie miękkie łóżko wciągało, niczym wir. Spała snem głębokim i uzdrawiającym. Obudziła się rześka i wypoczęta.

Odrzuciła koldrę i stanęła bosymi stopami na puszystym dywanie. Spojrzała na zegar. Wpół do jedenastej! Ostatecznie ktoś mógł pomyśleć o obudzeniu jej. Nalała wody z dzbana do błękitnej, porcelanowej miski. Szybko umyła ręce i twarz, po czym zaczęła się ubierać. Na razie tylko w prostą spódnicę i perkalową bluzkę, gdyż nie znając planów Logana na ten dzień, wołała nie tracić czasu na niepotrzebne czynności.

Rozczesała włosy z zamiarem upięcia ich. Ale były dzisiaj dziwnie niesforne i wymykały się spod grzebyków. Związała je więc tylko żółtą kokardą i opuściła sypialnię.

W połowie schodów zatrzymała się, przypominając sobie wczorajszą scenę. Logan stał dwa stopnie niżej

i unosił ku niej twarz. Jego czarne oczy przypominały bezdenną głębią górskie stawy. Czerpała z nich bez troskę, radość i spokój.

Wszystko było tak skomplikowane. Lubiła jasne i proste sytuacje. Chciała, ażeby ktoś wytłumaczył jej, niczym małemu dziecku, jak ma postępować.

Zeszła na dół i przecięła hol. Obcasy jej czarnych pantofli stukwały o deski podłogi.

Wtem przykuł jej spojrzenie bukietów białoróżowych stokrotek na mahoniowym stoliku. Posiadały tyle wdzięku. Mimo iż skromniuteńkie, rozjaśniały hol bardziej od czteroramiennego żyrandola.

Usłyszała lekki szmer. Odwróciła się i w drzwiach biblioteki ujrzała Logana. Miał na sobie zieloną koszulę i czarne spodnie. Jego uroda nie zmieniała się w zależności od ubioru - czy to w garniturze, podróżnym surducie, czy też kurtce ranczera, był zawsze tak samo przystojny. Zapragnęła podbiec i przytulić się do jego szerokiej piersi. Powstrzymała jednak ten pierwszy odruch, nie wiedząc zresztą, dlaczego.

- Dzień dobry - pozdrowił ją, a na jego wargach pojawił się ów dobrze już jej znany, na poły rozleniwiony, na poły diabelski uśmiech.

- Dzień dobry - odpowiedziała. - Wybacz, że spałam prawie do południa, ale...

- Potrzebowałam odpoczynku - przerwał jej, pokonując dzielący ich dystans czterema długimi krokami.

- Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie. - Wodził opuszkami palców po jej czole, włosach i policzkach.

Przez długą chwilę stali w milczeniu, jedynie patrząc na siebie i pieszczotliwie dotykając. Katherine muskała ręką tę dłoń, która gładziła ją po twarzy.

- Wiesz co, moja ty stokrotko - odezwał się w końcu Logan przytłumionym głosem - mnie naprawdę nie potrzeba wiele. Wystarczy, że obudzę się i zobaczę cię uśpioną na poduszce obok, abym poczuł się szczęśliwy.

Były to bez wątpienia miłe słowa. A przecież ich podtekst sprawił, że Katherine poczuła się bardzo głupio. Bądź co bądź, nie mieli za sobą dwudziestu lat małżeństwa.

Przełknęła ślinę i cofnęła się o krok. Uśmiech Logana rozjaśnił całą jego twarz.

- Chyba pomyślimy o jakimś śniadaniu... a może już o obiedzie?

- Nie teraz - położyła dłoń na brzuchu. Wystarczyło samo wspomnienie śniadania, by od razu odezwały się te przeklęte mdłości.

Logan spoważniał.

- Sądę, że skoro już jesteśmy tutaj, dobrze byłoby odwiedzić doktora Hillera. Być może poradzi coś na te twoje poranne utrapienia.

Wzruszyła ją jego troska.

- Mówiono mi, że to jest całkiem normalna dolegliwość, która mija w przeciągu kilku tygodni. A również, że przed południem najlepiej nic nie brać do ust. Nie przejmuj się. Gdybym myślała, że to coś poważnego, powiedziałabym ci o tym. A teraz - ciągnęła, nie dając mu dojść do głosu - chciałabym wiedzieć, jakie są twoje plany na dzisiaj?

Miał gotową odpowiedź na to pytanie. Ale gdyby wyznał wprost swoje skrywane pragnienia, mógłby zaprzepaścić misterny plan uwiedzenia Katherine. Uwodzenie bowiem jest sztuką małych kroczków i delikatności postępowania. Jak dotąd, rzeczy szły po jego

myśli i nie zamierzał psuć wszystkiego jednym nieostrożnym słowem.

- Cóż, przykro mi to powiedzieć, ale przyjechałem tu w interesach i jedną z takich finansowych spraw będę musiał dzisiaj załatwić.

Katherine kiwnęła głową, nie do końca wiedząc, czy rozczarowała ją, czy też ucieszyła ta zapowiedź nieobecności Logana.

- Spotkanie przeciągnie się z pewnością do późnych godzin popołudniowych, ale gdybyś zechciała wybrać się na zakupy, to mógłbym...

- Nie, jeszcze nie dzisiaj. Wolałabym spędzić ten dzień w domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nieczęsto się dotąd zdarzało, żebym miała czas wyłącznie dla siebie. -I mogła spokojnie przemyśleć swoje życie, dodała w duchu.

- Trudno mi się z tobą rozstawać, Katherine, ale mój adwokat wyjeżdża jutro do Denver i muszę omówić z nim pewną bardzo ważną sprawę.

- Rozumiem. A czy mógłbyś, o ile, oczywiście znajdziesz trochę czasu, nadać za mnie telegram?

- Telegram? - powtórzył, marszcząc brwi.

- Tak, zaledwie kilka słów. Potrzebny mi jest tylko papier i ołówek.

Przeszli do biblioteki, gdzie Katherine otrzymała wszystko, co było potrzebne do napisania wiadomości. Zanim jednak usiadła przy biurku, Logan rozsunał zasłony, aby wpuścić więcej światła. Po chwili dostał kartkę, która jednak nie była złożona. Czyżby wolno mu było zapoznać się z jej treścią? Popatrzył pytająco na żonę.

- Adresatem jest bank w Filadelfii. Jeśli chcesz, resztę możesz sam przeczytać.

Uczynił to, po czym spojrzał na Katherine ze zdumieniem w oczach.

- Sprzedajesz swój sklep modniarski?

- Tak.

- Dlaczego?

Niedbale wzruszyła ramionami.

- Cóż, biorąc pod uwagę fakt, że jestem zameźna i oczekuję dziecka, perspektywa mojego powrotu do Filadelfii wydaje się raczej mglista.

Uderzył go smutek, przebijający w jej głosie.

- A może ktoś mógłby poprowadzić za ciebie ten sklep? - zapytał, próbując, z jednej strony, podtrzymać ją na duchu, z drugiej zaś, szczerze zadowolony, że Katherine zdecydowała się zerwać więzy z przeszłością. Złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni koszuli, dając tym samym do zrozumienia, że jednak gotów jest wesprzeć Katherine w tej decyzji.

- Nie ma sensu odraczać w nieskończoność czegoś i tak nieuniknionego. Przecież nie sprzedasz rancza i nie przeniesiesz się wraz ze mną do Filadelfii?

Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Też pomysł! Skąd w ogóle mogła ci przyjść do głowy taka myśl? Kiedy urodzi się dziecko, będziesz. ..

- Zajęta, wiem - kręcąc głową, podeszła do okna. Liliowe kiście bzu na tle szarego nieba nie traciły nic ze swej urody. - Oczywiście, wspomniałam o sprzedaży rancza jedynie żartem. Lecz mimo wszystko jest to interesujące...

- Co?

- Przekonanie mężczyzn, że kobiety pragną być wyłącznie żonami i wychowywać dzieci. A równocześnie nikomu nie przyjdzie do głowy, że może

mężczyźni pragną wyłącznie być mężami i zajmować się wychowywaniem potomstwa.

- Tej roli kobiety w rodzinie nie wymyślił człowiek. Przypada jej ona w udziale zgodnie z porządkiem natury - powiedział, czując, że stoi na bardzo niepewnym gruncie.

- Logan, nie myślisz chyba serio, że wskutek jakichś biologicznych różnic kobieta rodzi się z gotową już wiedzą, jak gotować, sprzątać i zadbać o dzieci. Może się zdziwisz, ale ja nienawidzę sprzątanania, jestem mierną kucharką i nie mam zielonego pojęcia o wychowywaniu dzieci.

- Poważnie?

- Najpoważniej w świecie. Rzecz jasna, nauczę się tego wszystkiego, bo lubię wyzwania i pragnę tego dziecka. Dlatego zamierzam być najlepszą kucharką i najlepszą matką, a moja matka bez wątplenia mi w tym pomoże. Niemniej prowadzenie interesu jest zajęciem dużo łatwiejszym i mniej szarpiącym nerwy. Dorzucimy też korzyści, które w tym drugim wypadku są bardziej oczywiste i wymierne.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Zaintrygowały go jej poglądy.

- W przypadku matki i żony musi upłynąć wiele lat, co najmniej kilkanaście, zanim stanie się jasne, czy jej wysiłek zakończy się sukcesem. Natomiast ze skłębem sprawy mają się całkiem inaczej. Tutaj jestem niezależna, odpowiedzialna tylko przed samą sobą. Jeśli podejmę jakąś decyzję w poniedziałek, to w piątek już znam jej skutki, obojętnie, dobre czy złe. Złym skutkom staram się na przyszłość zapobiec, podejmując bardziej przemyślane decyzje. Dodam jeszcze, że sklep stanowił dla mnie gwarancję bycia kimś. Byłam Ka-

therine Thorn, modystką. Zaś teraz... - zapatrzyła się na rozległy, porośnięty trawą dziedziniec.

Logan przypomniał sobie jej słowa wypowiedziane przed kilkoma dniami: „Ciebie to nic nie kosztuje, a mnie kosztuje wszystko.” Miał wrażenie, że teraz lepiej je rozumie.

- Katherine, jest wiele racji w tym, co mówisz. Mężczyźni odnajdują siebie w swych czynach i zwycięstwach, jakie odnoszą. I również zgoda na to, że nie oczekujemy od kobiet tego samego stosunku do tych spraw, chociaż w tej chwili, Bóg mi świadkiem, nie wiem, dlaczego. Ale proszę, zaufaj moim słowom, gdy mówię, że nie jest ci niezbędny ani ten sklep, ani hodowla owiec, ani nawet społeczny status pani McCloud. Żadna z tych rzeczy niczego nie może ci dodać ani też ująć. Albowiem jesteś istotą niezwykłą i doskonałą, doskonałości zaś nie sposób poprawiać. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek ujrzałem - ujął jej twarz w swoje dłonie. - Stojąc wobec twojej piękności, mieszam się jak chłopiec. Czasem, przyznaję, wpadam również w gniew. Ale zawsze, zawsze, moje kochanie, zachwyty tobą przewyższa wszystkie inne doznania.

Pochylił głowę i złożył na jej wargach najczulszy, najdelikatniejszy z pocałunków. Usta Katherine były ciepłe, kuszące i soczyste, niczym dojrzałe wiśnie. A kiedy spojrział jej w oczy, zobaczył prześwity błękitu tak łagodne i czyste, jakby były obietnicą wiecznej pogody.

Czuł ukrop rozlany pod skórą, lecz pohamował się. Nie chciał jej przestraszyć. Nie teraz, gdy wszystko szło tak gładko i zmierzało do końcowego triumfu.

- Czy mogę dziś wieczór zaprosić cię na kolację? Wybierzemy lokal z orkiestrą i parkietem. Uważam, że jestem ci winien prawdziwego walca.

Serce Katherine biło powolnym rytmem. Była odurzona. Czulość jego słów owionęła ją narkotyczną chmurą. Czuliła się na granicy jawy i snu.

- Nie wzięłam w tę podróż żadnych wieczorowych sukni.

Uśmiechnął się pod wąsem i popatrzył frywolnie.

- Wieczorowa suknia nie jest konieczna. Obiecuję, że tej nocy długo nie zapomnimy.

Wyczuła aluzyjną dwuznaczność tych słów. Położyła dłoń na falującej piersi.

- Tak - powiedziała, zastanawiając się, czy czasami nie zgodziła się na więcej, niż tylko na wspólną kolację z tańcami.

Logan spojrział w lustro na węzeł swego jedwabnego krawata i uśmiechnął się z zadowoleniem. Nieile, pomyślał, obciągając kamizelkę i poprawiając kołnierzyk nieskazitelnie białej koszuli. Minęło już z górą pół roku, kiedy po raz ostatni, pomijając dzień ślubu, był tak elegancko ubrany. Jesień, San Francisco, szalone wieczory, wszystko to należało do zamkniętego już rozdziału jego życia.

Dostrzegł rażące wybrzuszenie na swej lewej piersi, więc sięgnął do wewnętrznej kieszeni i poprawił ułożenie portfela. Teraz surdut leżał, jak należy. Wszystko inne również. Logan poczuł się paryskim dandysem.

Na piętrze trzasnęły drzwi. Dostrzegł przemyskającą korytarzem Sally. Zniknęła w błękitnym pokoju.

Dlaczego trwało to tak długo? Minęło już półtorej

godziny od jego powrotu, a Katherine, która poszła się przebrać, wciąż się nie pojawiała.

Spojrzał na ścienny zegar. Minęła właśnie ósma trzydzieści. Zniecierpliwiony, jął chodzić wzdłuż i w poprzek holu. W końcu stanął w otwartych drzwiach frontowych. Wilgotny wieczorny powiew działał kojąco na podrażnione nerwy.

To był dziwny dzień. Logan niby zajmował się interesami, niby rozmawiał z adwokatem o konkretnych sprawach, a właściwie jego umysł zaprzątnięty był czym innym. Dręczyła go pokusa, zaś przywoływany wciąż od nowa obraz Katherine czynił oczekiwanie wręcz niemożliwym do zniesienia. Pożądał ciała swej żony, ale pożądał też czegoś więcej. Chciał, ażeby oddała mu się w porywie miłości. Kochał ją i jak każdy zakochany mężczyzna liczył na wzajemność. Cały jego misterny plan podporządkował temu jedynemu celowi: rozkochania w sobie Katherine. Poślubił wszak kobietę pchniętą ku niemu rozpaczą i strachem. Zamierzał przemienić ją w oszalałą z miłości do niego.

Bardziej wyczuł, niż usłyszał, że opuściła wreszcie pokój. Odwrócił się.

- Spóźniłam się - powiedziała, śpiesząc w dół po schodach. - Były pewne komplikacje z suknią...

Wyglądała jak anioł. Upięte na szczycie głowy włosy tworzyły coś w rodzaju złocistego hełmu i tylko pojedyncze loki, wężowe spirale z najczystszeo złota, okalały jej drobną twarzyczkę, której perłowa błądź kontrastowała z matową czernią atlasu peleryny. Sukni bowiem nie było widać. Spod wierzchniego okrycia wystawał jedynie suty, mieniący się dół.

- Gotowa?

- Gotowa - potwierdziła, patrząc z podziwem na swego wytwornego małżonka.

Dwie minuty później siedzieli już w zakrytej dwukółce. Milczeli. Słyszać było tylko kłapanie końskich kopyt na mokrej nawierzchni. Przestało siać, lecz chmury wciąż zakrywały księżyc. Mrok rozjaśniały jedynie rzadkie, gazowe latarnie i światła w oknach.

W pewnej chwili Katherine zerknęła w bok na męża. Uchwyciła jego spojrzenie. Pomyślała, że zaraz coś powie. Nie omyliła się.

- Zamówiłem stolik w „Inter-Ocean”.

- A nie w „Cheyenne Club”? Słyszałam, że to najbardziej szykowny lokal w mieście.

Logan roześmiał się.

- Owszem, lecz kobiety mają tam zakaz wstępu. A poza tym hotel dysponuje orkiestrą, mnie zaś zależy na tym, by trzymać dziś moją żonę w objęciach.

Znała siłę jego ramion oraz obezwładniającą moc uścisku. Uśmiechnęła się w duchu do siebie.

Przy torach skręcili w lewo i po dziesięciu minutach byli już na miejscu.

Hotel zaskoczył Katherine przepychem swego wnętrza. Dywany, draperie, sztukaterie, mosiężne okucia, tropikalne rośliny w donicach. Wszystko to stanowiło symbol dynamicznego rozwoju i bogacenia się Cheyenne.

- Dobry wieczór, Barney - pozdrowił Logan Murzyna, który stał oparty o kontuar recepcji.

Ubrany w surdut i sztuczkowe spodnie mężczyzna błysnął bielą zębów. Bawił się czerwonym kwiatem zatkniętym w butonierkę.

Logan zbliżył usta do ucha Katherine.

- To Barney Ford, przedsiębiorca budowlany i właściciel hotelu. Nie najgorzej, jak na zbiegłego niewolnika, nie sądzisz?

Weszli do obszernej sali restauracyjnej, wyłożonej kwiecistą tapetą i oświetlonej gazowymi kinkietami. Na podium siedziała orkiestra, a raczej kameralny zespół złożony z trzech instrumentów: fortepianu, skrzypiec i wiolonczeli. Fortepian coś szeptał, skrzypce łkały, zaś wiolonczela ni to gniewała się, ni to wznosiła żarliwe modły. Oczywiście, przy tego rodzaju muzyce, pięknej, lecz pozbawionej tanecznego rytmu, parkiet musiał świecić pustkami.

Za to wszystkie stoliki wydawały się zajęte. Katherine spostrzegła, że swym wejściem wzbudziła powszechne zainteresowanie. Twarze zwróciły się ku nim, a na niektórych pojawiły się nawet uśmiechy.

- Witamy, panie McCloud. - Pyszaty kelner zgiął się w pełnym szacunku ukłonie. - Stolik czeka na państwa.

- Dziękuję, John.

Wyfraczony mężczyzna, ponawiając ukłon, przeniósł spojrzenie na Katherine.

- Czy zechciałaby pani oddać mi swoje okrycie? Będzie do odebrania w szatni.

Logan stanął za żoną, zdjął z jej ramion pelerynę i przekazał ją w ręce szefa restauracyjnej służby. Odwracając się, przebiegł wzrokiem po stolikach. Zaniepokoiły go spojrzenia niektórych mężczyzn.

I dopiero kiedy spojrzał na Katherine, w jednej chwili zrozumiał wszystko.

Ze szmaragdowej toni stanika sukni wyłaniały się jej pełne piersi, szczupłe ramiona i smukła kolumna

szy. Wydawało się, że Katherine nie tyle jest, istnieje, ale dopiero powstaje z morskiej piany, niczym antyczna bogini Wenus.

- Nadzwyczajne.

To wszystko, na co mógł się zdobyć.

16

Katherine zarumieniła się. Nie czuła się godna tego hołdu złożonego jej urodzie. Było ogromną zasługą pani Holcomb, że wyglądała, jak wyglądała. To właściwie Sally stworzyła ją na ten wieczór.

Kelner zaprowadził ich do wolnego stolika w kącie sali.

- Czy zaczną państwo od szampana? - zapytał, kiedy usiedli.

Logan jeszcze raz rozejrzał się po otoczeniu. Przy sąsiednim stoliku, dostatecznie bliskim, by przekreślało to wszelkie szanse na bardziej intymną rozmowę, siedziały cztery osoby, obsługiwane właśnie przez kelnera. Inne stoliki też były zajęte, a pojedynczy gość prawie się nie trafiał. Co przyznało tu tych wszystkich ludzi?, zapytał siebie poirytowany Logan. I zaraz sobie przypomniał. Cheyenne gościło dzisiaj sławnego szekspirowskiego aktora. Przedstawienie niedawno musiało się skończyć i cała widownia, a już na pewno spora jej część, przeniosła się do „Inter-Ocean”. Tylko czy ci ludzie nie mieli własnych domów?

- A więc szampan, czy tak? - powtórzył szef sali z lekką sugestią w głosie.

Logan kiwnął głową.

- Szampan i ostrygi. W międzyczasie zapoznamy się z kartą.

- Oczywiście, sir - kelner odwrócił się i dosłownie rozpląnął w powietrzu.

Przy stoliku obok wraz z korkiem od szampana wystrzelił męski śmiech. Logan i Katherine odruchowo odwrócili głowy. Towarzystwo wydawało się rubaszne i hałaśliwe. Tym lepiej, pomyślał Logan. Zajęci sobą, nie będą podsłuchiwać ich rozmowy. A przecież miała to być wyjątkowa rozmowa, jak wszystko tego wieczoru i tej nocy.

- Wiesz, Katherine, od chwili mojego wyjścia z domu przed południem, aż do powrotu, przez cały czas tęskniłem za tobą.

Ta bezpośredniość nie zaskoczyła jej. Logan nigdy nie owijał rzeczy w bawełnę. Natomiast co do samej treści jego wyznania, to przyjęła ją jako dar serca.

Milczeli, topiąc spojrzenia w swych oczach. Wokół nich rozbrzmiewały śmiechy i rozmowy, dźwięczały szkła i sztućce. Im jednak udało się wznieść wokół siebie diwiękoszczelny mur intymności.

I dlatego nie usłyszeli kelnera, który nadszedł z szampanem. Dopiero widok srebrnego kubelka z lodem i butelką ocucił ich trochę i oderwał od siebie.

Kelner odkorkował butelkę i napelnił pieniącym się płynem dwa smukłe kieliszki.

Znów zostali sami.

- Wypijmy za śnieżyce, zawieje i inne kataklizmy - rzekł Logan, podnosząc swój kieliszek. - Nie zasługują na to, aby je w czambuł potępiać. Ty jesteś tego najlepszym dowodem. Nigdy już nie przeklnę żadnej zamieci.

Roześmiała się perliście.

- Poczekamy pół roku, a zobaczymy, jak będzie naprawdę. Łatwo latem chwalić zimą.

Teraz z kolei on się roześmiał. Stuknęli się kieliszkami. Katherine przytknęła swój do warg i pociągnęła niewielki łyk musującego płynu. Ten szampan smakował dużo lepiej niż tamten weselny. I tak mile łąskotał w nosie.

- Skąd wyczarowałaś tę boską kreację? - zapytał Logan, patrząc z zachwytem na falbanę okalającą dekolt.

Zarumieniła się.

- Wiesz, to nawet nie jest wieczorowa suknia. Chcąc być szczerą, powinnam właściwie powiedzieć, że jest to suknia zrobiona przez Sally.

- Zatem przypomnij mi jutro, abym podwoił jej pensję.

Znowu zarumieniła się, ale tym razem z czystej wdzięczności.

Zjawił się kelner i postawił na stole półmisek z ostrygami. Wystarczyło jedno spojrzenie na oślizgłe małże, aby żołądek Katherine momentalnie się zbuntował.

- Nie, dziękuję - odparła na zapraszający gest męża i odwróciła wzrok od wątpliwego przysmaku.

Logan zachichotał.

- A może masz jakieś specjalne życzenie?

Potrząsnęła głową, sącząc musujące wino. I zamiast przypatrywać się Loganowi, który połykał ostrygi jedna za drugą, rozejrzała się po sali.

Blade światło kinkietów drżało i przygasało. Panie towarzyszące panom olśniewały różnorodnymi kreacjami. Na tle kolorowych jedwabi i atłasów mieniły się kolie, brosze, naszyjniki, pierścienie i bransolety. Jedyne kilku mężczyzn przyszło w garniturach. Reszta, podobnie jak McCloud, miała na sobie surduty.

Nie, niezupełnie jak Logan, poprawiła się, spoglądając na męża. Nie było mężczyzny na tej sali, który mógłby w czymkolwiek się z nim równać.

Jak gdyby czytając w jej myślach, uśmiechnął się łobuzersko pod wąsem.

- Jak spędziłaś ten czas, kiedy nie było mnie w domu? - zapytał, opadając na oparcie krzesła.

Próbowałam nie myśleć o tobie i twoim porannym pocałunku, pomyślała.

- Cóż, trochę czytałam, a potem pomagałam Sally w pieczeniu kruchych ciasteczek. Raczej leniuchowałam i przyznaję się do winy.

- A czy te godziny lenistwa sprawiły ci chociaż trochę przyjemności?

- Tak - odparła z pewnym wahaniem.

- To dobrze. Nie chciałbym, żebyś zmuszała się do czegokolwiek. Rób tylko to, na co masz ochotę.

I już miał wysunąć pewne konkretne propozycje, gdy z podium dla orkiestry popłynęła słodka melodia. Odniósł wrażenie, iż została skomponowana specjalnie dla nich dwojga. Przewijał się w niej bowiem motyw lęku, upojenia i gorącej namiętności.

- Zatańczymy? - zapytał ścisłym głosem, opanowany pragnieniem trzymania jej znowu w ramionach.

Nie musiał czekać na odpowiedź. Katherine już tańczyła. Widział to w jej oczach, w poruszeniach głowy, w przebłyskach różnych doznań na twarzy.

Wstał i wyciągnął rękę.

- Dobry wieczór, Logan - usłyszał za sobą starannie modulowany kobiecy głos.

Niech to licha porwie! Nie musiał wcale spoglądać do tyłu, aby zidentyfikować osobę. Znał ten wytworny pomruk bardzo dobrze.

Rozciągnął wargi w uśmiechu i odwrócił się.

- Witaj, Melisso. Co tu porabiasz?

- To samo, co inni. Jem kolację w towarzystwie przyjaciół, kochanie - odparła z uśmiechem nie pozbawionym serdeczności, by następnie nonszalanckim gestem poprawić koronkę u stanika jasnoniebieskiej, jedwabnej sukni.

Jeśli chce tym ściągnąć moją uwagę na swe obfite wdzięki, to trzusi się niepotrzebnie, pomyślał Logan. Po-

znał je dość dokładnie. Było to dwa lata temu. Spędzili wówczas ze sobą kilka miłych tygodni. Od tamtego cza-

su nie widzieli się, wyłączając przelotne spotkania. I tak

było najlepiej, gdyż Melissa stawiała się zbyt zaborcza. Nie lubił i nie tolerował tej cechy u kobiet.

- Katherine, pozwól, że ci przedstawię pannę Melissę Johnson. Melisso, to moja żona, Katherine.

Katherine uśmiechnęła się.

- Miło mi panią poznać, panno Johnson.

Melissa jakby wrosła w ziemię, spoglądając na Katherine rozszerzonymi oczami. Nagle otrząsnęła się i wybuchnęła krótkim śmiechem.

- Och, Logan, ty zawsze wiesz, jak zabawić się moim kosztem. A już prawie uwierzyłam.

- Szkoda, że nie do końca - powiedział głosem, w którym pobrzmiwała irytacja.

- Co?! - Kobieta wbiła w Katherine zimny, taksujący wzrok. - Ożeniłeś się?

- Tydzień temu.

- W takim razie moje gratulacje - jej uśmiech przywodził na myśl kobrę, hipnotyzującą jelonka. - Ale jednego nie rozumiem. Jak mogłeś nie dać swojej matce i ciotce okazji do wyprawienia ci hucznego weseliska w Cheyenne?

Logan uznał, że ów śliczny dąs na twarzy musiał kosztować ją wiele godzin ćwiczeń przed lustrem.

- Nie lubię robić hałasu wokół moich prywatnych spraw.

Melissa skwitowała tę uwagę wzruszeniem ramion. Stała teraz tyłem do Katherine i, jak się wydawało, nie zamierzała zmienić pozycji. Tego Loganowi było już za wiele.

- Dzięki, że przyszedłaś się przywitać - powiedział możliwie najgrzeczniej.

Jakby nie zrozumiała tego wstępu do pożegnania.

- Towarzystwo Cheyenne będzie głęboko rozczarowane, kiedy dojdą doń wieści, że umknął im sprzed nosa najważniejszy ślub w roku - uniosła kruczą brew. - Udało ci się utrzymać to w wielkiej tajemnicy. Żadnych zapowiedzi, żadnych... - nagle w jej oczach pojawił się przeblysł rozumienia. Odwróciła głowę, by pobieżnie zerknąć na Katherine. - Cóż, zdarza się. Choć pamiętam, że zawsze byłeś taki ostrożny, nawet aż przesadny w tej swojej ostrożności.

Czy za morderstwo nadal wieszają? - zapytał siebie w duchu McCloud.

- Wybacz nam, Katherine, ale muszę porozmawiać z Melissą na osobności.

Nie czekał na odpowiedź. Chwyił dorodną pannę za łokieć i odciągnął ją w głąb sali, pod rozłożystą palmę. Melissa nie traciła rezonu.

- Jesteś słodkim chłopcem, że chcesz pogawędzić ze mną. Ale czy nie powinieneś raczej wpaść do mnie do domu? - Zapytała tonem pierwszej naiwnej, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Nie jestem słodkim chłopcem, więc zabierz te

swoje przekłete łapska - powiedział z pierwszymi oznakami furii na twarzy.

Spojrzała wabiąco spod długich i gęstych, naprawdę pięknych rzęs.

- Co się stało? Zawsze lubiłeś moje łapska. Szczególnie wówczas, gdy dotykałam nimi twoich klejnotów - zamiast zabrać rękę, zaczęła gładzić ramię Logana.

- Przestań! - wysyczał, łapiąc za przegub jej dłoni.

Katherine nie uroniła niczego z tej sceny. Oczywiście, nie mogła ich słyszeć, ale też nie musiała. Gesty mówiły same za siebie. Wszystko świadczyło o tym, że łączy ich dawna i zażyła znajomość. Stopień tej zażyłości również dawał się dokładnie określić. Katherine zaczerwieniła się i natychmiast zbladła. Nigdy dotąd nie myślała o innych kobietach w życiu Logana.

Teraz jednak jej wyobraźnia przeszła samą siebie, podsuwając najprzeróżniejsze erotyczne sceny, w których zmieniały się kobiety, ale nie zmieniał się mężczyzna. Widziała jego hipnotyzujące spojrzenie i uwodzicielski uśmiech. Widziała, z jaką łatwością rozpala zmysły w swoich kochankach.

Rzuciła okiem na najbliższe stoliki. Dostrzegła, że nie jest jedyną osobą, która przypatruje się parze pod palmą. Nie zamierzała znosić dłużej tego upokorzenia. Wstała i z uniesioną głową opuściła salę. Musiała odechnąć świeżym powietrzem.

Logan, zaprzątnięty bez reszty intruzką, która próbowała zniszczyć mu ten wieczór, nie zauważył odejścia Katherine.

- Chciałbym, aby dotarły do ciebie pewne oczywiste prawdy. Moje małżeństwo daje mi szczęście. Jeśli

w twej małej główce lęgną się jakieś podejrzenia, to zachowaj je lepiej dla siebie. W żadnym wypadku nie będę tolerował najmniejszej niegrzeczności wobec mojej żony. Czy wszystko jasne, Melisso? - Zapytał na granicy wybuchu.

Panna Johnson przestała się uśmiechać.

- Chcesz powiedzieć, że ożeniłeś się z tym chuchrem z własnej, nieprzymuszonej woli?

Logan wziął głęboki oddech. Uświadomił sobie, że jeszcze chwila, a nerwy odmówią mu posłuszeństwa.

- Tak. Spróbuj wysilić swój mózdzek i zrozumieć, że kocham Katherine. A teraz wracaj do swego stolika i daj mi zatańczyć z moją żoną.

Katherine wyszła na chodnik przed hotel i wystawiła twarz do wiatru. Poczowała, że straszne napięcie związane z ostentacyjnym wyjściem na oczach tak licznej widowni zaczyna ustępować. Pojawiła się jednak zaraz innego typu dolegliwość. Gniew na siebie, że tak łatwo dała się omamić temu czarusiowi. Zamknęła oczy. Ujrzała Melissę. Piękną Melissę o bujnych, lecz harmonijnych kształtach. Czy była o nią zazdrosna? Oczywiście, że była. Tylko czy taka zazdrość nie graniczyła czasem z obłądem? Przecież nie mogło być dla niej niespodzianką, że Logan, przed poznaniem jej, nie prowadził bynajmniej zakonnego życia. Prędzej czy później musiała się natknąć na którąś z jego dawnych sympatii. Ostatecznie Cheyenne nie dorównywało jeszcze wielkością miastom wschodniego wybrzeża. Było wciąż prowincjonalną miejsciną, gdzie człowiek, chcąc tego czy nie, musiał spotykać się kilka razy na tydzień ze swoim wrogiem czy dawną kochanką.

Spojrziała na bezgwiazdne, zachmurzone niebo.

A mimo to spłynęła stamtąd na nią jasność olśnienia: była jedyną kobietą, którą Logan poprosił o rękę i z którą się ożenił. Myśl ta podziałała na nią jak źródłana woda na spieczone usta.

Nagle usłyszała za sobą męski głos.

- Czy mógłbym pani w czymś pomóc?

Wstrząsnęła się, bardziej od zimnego wiatru niż z powodu tego głosu, który zabrzmiał szczególnie sympatycznie.

Odrzuciła się i ujrzała przed sobą wysokiego blondyna, ubranego w nienagannie skrojony ciemny surdut.

- Czy pani źle się czuje? - dopytywał się z wyraźnym angielskim akcentem.

Uśmiechnęła się uprzejmie, wygładzając fałdy spódnicy.

- Nie, zupełnie dobrze. Dziękuję za troskliwość.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Czy wybaczy mi pani śmiałość przedstawienia się? Anthony Halstead, ksiązę Stowe - zgiął się w ukłonie, który w niczym nie przypominał ukłonów mężczyzn ze środkowego zachodu.

- Czy jest pan członkiem brytyjskiej rodziny królewskiej? - zapytała, nie kryjąc podekscytowania.

- Niezupełnie - wsparł się jedną ręką o gzyms podmurówki hotelu. - Byłbym zaszczycony, gdyby zadowolili się pani prostszą formą: Anthony.

- Zostańmy lepiej przy nazwisku, panie Halstead - odpowiedziała z promiennym uśmiechem.

- Jak pani sobie życzy. Myślałem dotąd, że znam wszystkich w Cheyenne ale pani umknęła mojej uwagi. Wnioskuje, że rozmawiam z przyjezdną. Nikt tak piękny nie mógłby zostać nie postrzeżony.

Katherine zarumieniła się. Nie należała do kobiet, które miły komplement zostawia obojętnymi.

- Nazywam się Katherine Th... McCloud.

Halstead wyprostował się gwałtownie i rozejrzał wokół, jakby kogoś szukając.

- Czy mam przez to rozumieć, że jest pani żoną Logana McClouda?

Spontaniczna sympatia Katherine dla tego przygodnego towarzysza troszeczkę osłabła. Przed chwilą zachował się jak ktoś, kto zmienia kierunek żeglugi, bo zobaczył przed sobą rafę.

- Zgadza się. Logan McCloud jest moim mężem.

- Proszę, proszę, co za niespodzianka - powiedział mężczyzna, kręcąc głową. - A gdzie jest pani małżonek, jeśli wolno zapytać? Dziwne, że pozwolił pani w nocy samotnie wyjść na ulicę.

Zmarszczyła czoło, przypominając sobie powód, dla którego się tutaj znalazła.

- Logan rozmawia w środku z Melissą Johnson - odpowiedziała trochę jak mała dziewczynka.

Ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Och, to starzy znajomi.

Ostatnie słowo zabrzmiało niby całkiem naturalnie, a jednak Katherine poczuła ukłucie w sercu. Miała wrażenie, że Anthony Halstead czyta w jej myślach.

- A może wejdziemy do środka? - zapytał, wskazując ręką na dwa widoczne w oknie holu fotele. - Z prawdziwą przyjemnością dotrzymam pani towarzystwa do chwili powrotu Logana. Ja i on jesteśmy zresztą serdecznymi przyjaciółmi.

Katherine uznała, że propozycja jest całkiem rozsądna i przyjęła ofiarowane jej ramię.

- Właśnie wracam z przedstawienia „Króla Leara”

- oświadczył Halstead, gdy już rozsiedli się w fotelach. - Zna pani tę sztukę?

- Jedynie z lektury. I jak przedstawienie?

- Biłem brawo stojąc i niech to wystarczy za moją ocenę. Ostatni raz widziałem tę niewątpliwie najlepszą z tragedii Szekspira w Nowym Jorku.

I nie zatrzymując się, bez najmniejszej pauzy przeszedł do opowiadania pewnej historii, jaka wydarzyła się wówczas po przedstawieniu. Otóż, zgodnie z odwiecznym zwyczajem świętowania artystycznych przeżyć, liczne grono przyjaciół i znajomych, a w ich liczbie również i on, wstąpiło po teatrze do pewnego domu, gdzie, rzecz jasna, na stole pojawił się poncz. Pech chciał, że w tym samym momencie nadwężona przez korniki noga stołu złamała się i cała szlachetna zawartość dużej wazy spłynęła kaskadą na białą, jedwabną suknię gospodyni. Dama, oczywiście, krzyknęła i załamała dłonie. Nie wiedziała wszak tego, co od razu zauważyli mężczyźni, trzeba dodać, ku swojej wielkiej ucieście. Zmoczony ponczem materiał stał się przezroczysty.

- Co zaś może zdradzić przezroczysty materiał sukienki, tego chyba nie muszę wyjaśniać.

Miała już na końcu języka uwagę, iż anegdota jest wysoce nieprzyzwoita, kiedy Anthony Halstead zaczął ją opowiadać od początku, tym razem językiem mimiki. Odegrał więc, nie bez aktorskiego talentu, przeżalenie pani domu oraz uciechę męskiej widowni. Katherine roześmiała się. I nagle jej własny śmiech porwał ją i rozbawił. Miała dość smutków i zgryzot. Chciała korzystać z uroku chwili, odprężyć się i zapomnieć. Zapomnieć przede wszystkim o Loganie, który do tej pory nie mógł oderwać się od Melissy. W tej decyzji utwierdził ją zresztą Halstead, którego następna histo-

ryjka była jeszcze zabawniejsza. Relacjonował teraz swoje spotkanie z zakochanym łosiem, który wziął go za swoją oblubienicę i zmusił do wdrapania się na drzewo.

Katherine zaśmiewała się do łez. Zaciągnęła dług i musiała go spłacić. Odwdzięczyła się zatem krótką historyjką ze swojego życia, kiedy jako mała dziewczynka zakradła się do sadu sąsiada, aby narwać jabłek na szarlotkę. A tam czekał na nią rozjuszony byk...

- I co? - zapytał angielski dżentelmen, miną i głosem dostosowując się do groźnej sytuacji.

- Jak pan widzi, żyję.

- Jest pani wspaniała! - zawołał, śmiejąc się i ścisnąc jej obnażone ramię.

I na tę chwilę do holu wszedł Logan. Nie wierzył własnym oczom. Katherine roześmiana. Katherine w towarzystwie największego w mieście kobieciarza. Poczuł, że mięśnie mu tężeją, a krew zaczyna kipieć w żyłach.

Najpierw Melissa, a teraz Anthony Halstead. Szatańskie widma, które sprzysięgły się zniszczyć mu ten wieczór.

I jakąż chytrą sztuczką ten bawidamek sprawił, że Katherine zanosiła się od śmiechu? Miał co najwyżej kwadrans, podczas gdy jemu, Loganowi, nie udało się to przez siedem długich dni.

Czuł się gorszy. Czuł się zazdrosny. Tak, po raz pierwszy w życiu zazdrość kąsała mu serce.

Ruszył w kierunku śmiejącej się pary. Jedna czy dwie z przechodzących osób pozdrowiły go, ale on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Cały świat wydawał się nieważny. Obchodziła go tylko ta rozbawiona, przecudna kobieta, w której utkwiał wzrok.

- Dobry wieczór, kochanie - rzekł głosem pozornie spokojnym, faktycznie jednak drżącym od tłumionej furii.

Halstead poderwał się na nogi, Katherine również wstała.

Teraz Logan przeniósł spojrzenie na Anglika, lecz uczynił to z takim grymasem na twarzy, jakby przenosił miazdzący ciężar.

- Widzę, że wyśmienicie się bawisz, Halstead.

- Tak, ten wieczór uważam za udany - odparł Anglik z właściwą arystokratom arogancją. - Zawsze miałeś wyborny gust, jeśli chodzi o kobiety - spojrzał na Katherine. - Gdy tylko znudzi się pani tym prowincjuszem, proszę pomyśleć o mnie... Katherine.

Logan postąpił krok ku Halsteadowi, lecz pohamował się. Burda z pewnością skończyłaby się skandalem, a na coś takiego nie mógł narażać swej żony.

- Idziemy, kochanie - powiedział, biorąc Katherine za rękę.

- A co z kolacją?

McCloud nie odpowiedział, tylko zacisnął zęby i ruszył w kierunku drzwi.

Na dworze Katherine zbuntowała się. Barbarzyńskie zachowanie męża oburzało ją. Odezwał się w niej irlandzki temperament.

- Puść mnie! Chcesz, żeby inni powiedzieli, że ciągnęłaś żonę jak niewolnicę kupioną na targu? A po za tym nie wzięłam peleryny.

- Do diabła z peleryną! - rzucił przez ramię, ale czując na twarzy drobne krople deszczu, zawrócił i zniknął we frontowych drzwiach „Inter-Ocean”.

Po chwili był już z powrotem. Właśnie zyzako-

wata błyskawica przecięła niebo. Odezwał się daleki grzmot.

Wsiedli do dwukółki i ruszyli z miejsca ostrym kłusem. Chwilami koń, łamiąc dyscyplinę, przechodził w szarpany galop.

- Zwolnij - powiedziała Katherine.

Jakby jej nie słyszał. Dwukółka piszczała i klekotała, podskakiwała na nierównościach i, zdawało się, frunęła chwilami nad ziemią. Koń walił podkowami o twardą nawierzchnię. A na zakrętach przechylali się tak, iż Katherine miała wrażenie, że jadą na jednym kole.

Peleryna, której tasiemkę zawiązała w pośpiechu i tym samym niedokładnie, zsunęła się z jej ramion.

Znów błyskawica i ponowny grzmot, ale tym razem dużo bliższy. Przy czwartym grzmocie wpadli na dziedziniec domu.

Deszcz wzmagał się, lecz Logan nie ruszał się z miejsca. Patrzył w ciemnościach na żonę. Nagle chwycił Katherine za skostniałe i mokre ramiona, przyciągnął ją ku sobie i dziko pocałował. Mężczyzna potrafi być cierpliwy, ale każda cierpliwość ma swoje granice.

A potem zeskoczył na ziemię, wydał stajennemu krótkie rozporządzenie, wziął Katherine na ręce i poszedł, a raczej pobiegł, z nią ku drzwiom frontowym.

- Logan, zatrzymaj się! - zawołała, kiedy byli już w holu. - Co ty w ogóle wyrabiasz?

- Dokładnie to, co powinienem był zrobić tydzień temu.

17

Tym razem piorun uderzył w najbliższym sąsiedztwie. Błyskawica i grom zwały się w jeden paroksyzm straszego gniewu niebios. Podmuch wiatru z trzaskiem wepchnął do środka nie domknięte drzwi. Płomień lampy na stoliku pod ścianą przygasł i zamigotał. Z kątów wypełzły fioletowe cienie. Przerażona hukem i błyskiem, Katherine instynktownie przywarła do Logana.

Zatrzymał się na środku holu. Wdychał pachnącą wilgoć jej włosów i ramion. Wyczuwał róże, lilie i fioł-

ki. Trzymał w objęciach cały ogród.

Drżał z pożądania. Obiecywał sobie największe rozkosze po wizycie w tym ogrodzie. Wystarczyło tylko pchnąć furtkę i wejść.

- Logan, puść mnie. Trzeba zamknąć drzwi.

Aż osłupiał ze zdumienia, że mogą istnieć na świecie takie dysproporcje. On myślał o niej i tylko o niej, a ona myślała o drzwiach.

- Do diabła z drzwiami!

- Dla ciebie wszystko jest „do diabła”. Jest przeciąg i boję się, że piorun może wpaść do środka.

Postawił ją na podłodze. Nie chciał, żeby się bała, pragnął, żeby wypełniły ją całkiem inne uczucia.

Kiedy zamknął drzwi i odwrócił się, Katherine była już przy schodach. Dogonił ją, nim postawiła nogę na pierwszym stopniu. Chwytał i przyparł plecami do ściany.

- Żadnego miłego słowa, żadnego uśmiechu dla swojego męża, kochanie?

- Logan, co się z tobą dzieje?

- Halsteadowi nie skąpiłaś uśmiechów. Co jeszcze robiliście tam w holu?

- Dokładnie to samo, co ty robiłaś z Melissą pod palmą.

- Melissa nie ma tu nic do rzeczy. Jest tylko natrętnym widmem przeszłości. Ale trzymaj się z dala od Halsteada. To zawodowy uwodziciel. Panna czy żona, wdowa czy rozwódka, nie przepuści żadnej kobiecie.

- Prowadziliśmy całkiem miłą rozmowę, chwilami nawet zabawną. Powiedział, że jesteście przyjaciółmi.

- No to mocno przesadził. Nie chcę już więcej widzieć cię w jego towarzystwie. Nie chcę koło ciebie żadnego innego mężczyzny. Jesteś moja! Czy słyszysz, Katherine? Wyłącznie moja, teraz i na zawsze.

Pocałował ją z brutalnością, która pozbawiła ją tchu i przyprawiła o zawrót głowy. Wyczuła jego naprężoną, pulsującą męskość. Kiedy kamyk obsuwa się i daje początek lawinie, to już nikt i nic nie może powstrzymać dalszych wydarzeń. Tak i ona znalazła się we władaniu sił, które przerastały jej wolę i niosły w czeluść zatracenia. I dlatego jako niegodny, małoduszny fałsz przyjęła wypowiedziane przez siebie słowa:

- Logan, puść mnie. Żądam tego.

Oderwał usta od jej szyi. Ciężko oddychał. Jego ściągnięta twarz majaczyła blado w fioletowym półmroku.

- Mówisz, że chcesz, abym cię puścił - odezwał się chrapliwym głosem. - No to wiedz, że nie zniewo-

liłem dotąd żadnej kobiety. Po prostu brzydzę się tym. Ale wiedz również, że pragnę prawdziwej żony. Istoty spojonej ze mną ciałem i duszą, a nie jakiejś pięknej, zimnej lalki, którą co najwyżej mógłbym się pochwalić przed ludźmi. Niestety, los chciał mnie ukarać. Obdarzył mnie żoną, która nawet swój śmiech rezerwuje dla kogoś innego - błysnęło i rozległ się ogłuszający huk. Odblask pioruna rozświetlił czarne oczy Logana, ukazując cały stężały w nich smutek. - Zresztą zapomnij o tym wszystkim, Katherine. Idź do łóżka i staraj się wypocząć.

Puścił ją, a właściwie odepchnął. Po chwili kładł już dłoń na klamce drzwi biblioteki. Zatrzasnął je za sobą z taką siłą, że aż zadzwoniły szyby w oknach. A gdy już znalazł się sam, stanął bez ruchu na środku pokoju, z opuszczoną głową.

Coraz większy deszcz bębnił z łoskotem o parapety.

Logan ocknął się i przesunął dłońmi po twarzy. Zrzucił surdut i uwolnił się od cisnącego go krawata.

Musiał chyba kompletnie oszaleć, żeby zakochać się w tej kobiecie! Była córką owczarza, należała do światła obcego mu i wrogiego.

Podszedł do stolika i nalał sobie podwójną whisky. Wzniósł szklankę w ironicznym toaście.

- Za kobiety w ogóle, a za córkę owczarza w szczególności.

Odpowiedziała mu ponura cisza pustego pokoju.

Wychylił szklankę do dna i cisnął nią o ścianę. Roztrzaskała się na tysiąc kawałków.

W tym momencie wiatr otworzył drzwi. Ale nie był to wiatr, tylko Katherine. Szła prosto do niego, z rozpuszczonymi włosami, rumieńcami na policzkach i rozchyłonymi wargami. A kiedy już poczuł jej

zapach, ów zapach niebiańskiego ogrodu, zaraz też poczuł jej ciało. Przywarła ustami do jego warg i wpiła się w nie z dziką namiętnością.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedziała, odchylając głowę i pozwalając mu swobodniej odechnąć.

- Nie rozumiem, Katherine. O czym ty w ogóle mówisz?

- O tobie, czarny diable. Nigdy nie całuj mnie tak, jak to zrobiłeś tam w holu, jeśli masz zamiar mnie potem zostawić. Czy sądzisz, że jestem z kamienia?

- A nie jesteś?

- Nie.

- Doprawdy, trudno w to uwierzyć.

Zasłużyła sobie na takie słowa. Był jej mężem, a ona przez tyle dni nie godziła się na przyjęcie go w tej roli.

Głęboko odetchnęła.

- To sprawdź, jak jest naprawdę.

Bardziej jednoznaczną zachętę trudno było sobie wyobrazić. Ale Logan wciąż nie mógł się pozbyć rezerwy. Dwie minuty temu postanowił wyzwolić się z zaklętego kręgu czczych prób zdobycia kobiety, która wabiła go i torturowała. Która była na wyciągnięcie ręki i równocześnie tak daleka, jak gwiazda na niebie. Czy miał na powrót wstąpić na tę stromą ścieżkę, gdzie każdy krok groził upadkiem?

- Katherine, nie baw się mną i nie wystawiaj na różne dziwne próby. Wiesz, że cię pragnę, ale jeżeli ty oczekujesz czegoś innego, to lepiej odejdz, zanim jeszcze nie jest za późno.

- Nie - powiedziała, prowokacyjnie ocierając się o niego piersiami. - Przyszłam, żeby zostać.

Wybuchnął cierpkim śmiechem.

- Na jak długo? Do jutra rana? A może tylko przez godzinę? Byłbym wdzięczny za każdy konkretny.

- Na zawsze.

A więc w końcu padło to słowo, na które czekał. Jego piękna, uparta, kapryśna żona wywiesiła białą flagę. Zwyciężył i byłby skończonym głupcem, gdyby nie przyjął jej kapitulacji.

Ich sypialnia znajdowała się na górze, a to oznaczało niepotrzebną zwłokę. Nie mógł już dłużej czekać. Czuł się jak granat, z którego wyciągnięto zawleczkę. Chwytał więc Katherine na ręce, by po chwili złożyć ją na dużej, niedźwiedziej skórce, rozpostartej przed kominkiem.

Teraz oboje wpadli w straszliwy pośpiech. Całowali się, dotykali, walcząc równocześnie z jakąś tasiemką czy guzikiem. Loganowi pierwszemu udało się wyzwolić z ubrania, ale dlatego, że nie dbał o całość swej garderoby. Natomiast Katherine drżącymi palcami odczepiała haftki, które zaraz zaplątywały się w delikatne koronki stanika. W pewnej chwili opuściła ręce z wyrazem rezygnacji na twarzy.

- Nie mogę - powiedziała załamującym się głosem zrozpaczonej dziewczynki.

Logan miał lepszy sposób. Sięgnął po leżący na gzymsie kominka kindżał i kilkoma ruchami poprzecinał wszystkie węzły gordyjskie. Suknia wraz z halką kaskadą jedwabiu spłynęły w dół, układając się miękko wokół kostek Katherine.

I oto wreszcie znów widział jej ciało. Jeszcze nie całkiem nagie, bo ciągle miała na sobie bieliznę, lecz już dostatecznie odsłonięte, by z jego piersi wydarł się jęk zachwyty. Katherine była dlań w tej chwili tylko

nogami i włosami, czyli tym, co stanowiło samą esencję erotyzmu. Szczególnie nie mógł oderwać oczu od jej nóg. Szczupłe w kostce, o pięknie zarysowanych łydkach i smukłych, krągłych udach, zdawały się obiecywać największe rozkosze. Już widział, wyprzedzając wypadki, jak rozchylają się na jego przyjęcie, a potem oplątują mu biodra na podobieństwo bluszczów i winorośli.

Za oknem pioruny waliły jeden za drugim. Rozpętało się prawdziwe pandemonium żywiołów. Ale oni wcale tego nie zauważali, w nich bowiem również szalała burza.

Sięgnął ku tasiemkom u stanika żony. Odsunęła jego drżącą dłoń i sama je rozwiązała. Niebo rozpękało się i w świetle błyskawicy pojawiły się, lśniące bielą, pagórki jej piersi. A zaraz potem księżycowa równina brzucha z maleńkim kraterem pępka i, na koniec, cienisty żleb łona i sromu. To ciało jaśniało, emanowało wręcz własnym blaskiem.

Triumfalnie uniosła głowę. Z jej twarzy biła duma kobiety, która idąc na stos, wie dobrze, że swą ofiarą przebłaga nawet najbardziej mściwych bogów.

A płomień już musiał ją ogarniać, gdyż ujawszy dłonią swą prawą pierś, zbliżyła jej precudny pąk, nabrzmiałą sutkę, do ust Logana.

Chwycił go suchymi, spalonymi wargami i pociągnął, jakby chciał zerwać. Lecz jego delikatność na tym się wyczerpała. Otworzył usta i z chrapliwym jękiem jął wsysać, wchłaniać, wprost pożerać jej pierś. A Katherine pozwalała mu na to. Chciała być pochłonięta. Wszak przyszła tu gotowa na całopalenie.

Pragnęła więcej i ich pragnienia były zbieżne. Opadli na niedźwiedzią skórę. Przeszył ją dreszcz,

gdyż włochatość posłania nasuwała wyjątkowo lubieżne, najbardziej grzeszne myśli. Pierś Logana, jego brzuch, krocze i uda również były pokryte włosami. Tym samym mąż stał się w jej rozszalałej wyobraźni jakimś ogromnym samcem, który za chwilę nadzieje ją na róg swojej rui. Lecz kiedy usłyszała jego słowa, ta dzika, zwierzęca, chorobliwa wizja rozviała się natychmiast.

- Więc pozwalasz mi siebie kochać?

Łzy stanęły jej w oczach.

- Chcę, ażebyś mnie kochał.

Był jej mężem, który teraz wyznawał swą miłość w najprostszym języku aktu fizycznego. Był więc aż nadto ludzki, aż nadto bliski i drogi jej sercu. Ujęła dłońmi jego twarz i jęła całować oczy, czoło, nos, brodę i policzki.

- Pragnę cię, Logan.

- Ja także cię pragnę, Katherine - tym razem to on był echem jej pożądania.

- Masz takie piękne, mocne ciało.

- A twoje pachnie jak kwiat. Cóż więcej mogę powiedzieć?

- Powiedz cokolwiek. Na przykład, by zawsze trwała noc.

- Ta noc z piorunami? Chcesz tego?

- Chcę.

- A nasze dziecko? Nie chciałbym zrobić mu krzywdy.

- Nie obawiaj się. Dbam o nasze dziecko.

- Wiem o tym, Katherine.

Uspokojenie, jakie spłynęło na nich, gdy wymieniali szeptem pełne czułości słowa, skończyło się nagłą inwazją zmysłowej ekstazy. Wszedł w nią, powitany

westchnieniem tak głębokim, że aż przejmującym, chwytającym za serce. Zupełnie jakby przyjmując jego nabrzmiałą męskość, wyzbywała się duszy, życia, ostatniego tchu.

Po kilku ruchach wiedział już, że musi się hamować, jeśli nie chce za bardzo wysforować się przed nią w miłosnym spełnieniu. Zbyt długo pościł w ogniu pokus i przybór wód mógł lada chwila przerwać tamę. Spowalniał więc rytm, a nawet zamierał bez ruchu, pieszcząc jedynie piersi żony i penetrując usta.

Ale ona nie zamierzała tolerować takiego lenistwa, ruchami bioder prowokując go do utrzymania, a nawet przyśpieszenia rytmu. Oprzeć się tej rozkosznej prowokacji było nie sposób. Szli więc, biegli, pędzili w miłosnej zadyszce, aż osiągnęli szczyt.

A potem leżeli na niedźwiedziej skórze, uśmiechali się do siebie i gładzili swoje nagie ciała.

- Czy to zawsze jest takie przyjemne? - zapytała Katherine, leniwie przeciągając samogłoski.

- Nie wiedziałas? - Wodził palcem wzdłuż jej kręgosłupa. - Dostarczanie przyjemności to moja specjalność.

- Oczywiście - zgodziła się, wsłuchując w bicie jego serca. - Powinnam była o tym wiedzieć. - Tak jak powinnam była wiedzieć, że cię kocham, pomyślała.

Szczerze mówiąc, pokochała go już od pierwszego wejrzenia. Ale tego rodzaju miłość, która spadła jak grom z jasnego nieba, nie bardzo pasowała do kobiety zajmującej się interesami, choćby tylko sprowadzały się one do prowadzenia sklepu modniarskiego. Poza tym pomiędzy nią a Loganem było od początku

wiele różnic w poglądach na niektóre sprawy. W rezultacie myśl o tym, że go kocha, dotarła do niej dopiero teraz.

- Hej, nie zasypiaj.

Wcale nie spała i natychmiast dała mu tego niezbity dowód. Zamruczał jak kot.

- Wiesz, jesteś absolutnie niezwykła.

- Dziękuję - niedźwiedzie futro rozkosznie łaskotało jej stopy.

Logan wsparł się na łokciu.

- Dzisiejszy dzień jest przełomem i nowym początkiem. Co skruszyło twój opór?

Katherine zamysliła się. Czy miała mu wyznać swą miłość? Nie teraz. Świadomość jej była jeszcze zbyt świeża.

-Ty.

- Ja? A cóż takiego uczyniłem?

- Wiesz dobrze - muskała palcem jego pępek. - Sprawiliś, że kiedy cię nie ma, tęsknię za tobą. A kiedy jesteś, pragnę...

- Co?

- Ciągłe więcej i więcej - odparła głosem kusicielki.

Katherine przeciągnęła się i otworzyła oczy. Minęły cztery dni od tamtej nocy z piorunami. Cztery dni w wirze upojenia i zmysłowych uniesień. Uśmiechnęła się. Kochała swojego męża i było jej z tą myślą lekko i radośnie na duszy. Dlaczego więc skąpiła mu zapewnien o swej miłości? Zupełnie nie wiedziała, jak ma odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Na stoliku obok leżał klejnot rzadkiej urody - złota bransoleta wysadzana szafirami i diamentami. Dosta-

ła ją w prezencie od Logana. Lecz nawet kiedy zapinał ją na przegubie jej dłoni, nie usłyszał słów, na które zapewne liczył, a które zresztą powinny znaleźć się w podziękowaniu.

Postanowiła zatem czekać. Była przekonana, że prędzej czy później musi zaistnieć sytuacja, w której dwa najprostsze słowa, „kocham cię”, same ulecą z jej warg.

Spuściła nogi z łóżka i wstała. Była naga. Jej nocna biała koszula leżała na dywanie. Każdej nocy wkładała ją i każdej nocy Logan ściągał ją z niej, twierdząc, że jest zupełnie zbędna. Znow się uśmiechnęła. Miał rację.

Ten ranek był trochę nietypowy. Zdażyła przyzwyczaić się już do stałej obecności męża, a dzisiaj nie było go przy niej. Udał się na zebranie Stowarzyszenia Hodowców Bydła. Zaraz potem mieli opuścić Cheyenne i wracać na ranczo. Dziwne, ale wciąż nie myślała o ranczu Logana jako o swoim własnym domu.

Podeszła do miski, napełniła ją wodą z pękatego dzbana i umyła się. Włosy miała w strasznym nieładzie, więc tylko z grubsza rozczesała je i zaplotła w warkocz. Staranniejszą toaletę zostawiła na później.

Ubrawszy się, spojrzała na zegar. Logan powinien wrócić za jakąś godzinę. Ciekawa była, o czym teraz rozmawia jej mąż z innymi hodowcami? Czy o owcach i ogrodzeniu z drutu kolczastego? A może tamci są przekonani, że ożenek McClouda z córką owczarza jest równoznaczny z likwidacją ich problemu?

Ona w każdym razie nie zamierzała nakłaniać rodziny do sprzedaży rancza. Owce miały pozostać.

Czas gonił, trzeba było zająć się pakowaniem. Otworzyła szafę i wyrzuciła z niej sukienki. Logan upierał się, aby kupiła kilka kreacji na różne okazje. Uznała to za chybiony pomysł. Będzie niebawem zbyt gruba na noszenie czegoś eleganckiego. Zwykła, luźna, bawełniana sukienka będzie musiała wystarczać jej przez długie miesiące. Wkładając do kufru bieliznę, nagle uświadomiła sobie, że odkąd ona i Logan przyjechali do Cheyenne, ani razu nie poruszyli w rozmowie tematu bydła i owiec. Trudno jej było w to uwierzyć, niemniej była to prawda. Zajęci bez reszty sobą, odwrócili się plecami do reszty świata.

A teraz wracali do Clearwater, gdzie wszystkie pomijane i spychane problemy staną przed nimi w całej swej rzeczywistości. Czy więc nadal będzie toczyć spór z Loganem o prawo do istnienia rancza jej matki i brata, czy też znajdzie jakieś cudowne rozwiązanie? Była przeświadczona, że wszystko się jakoś ułoży, a czerpała swe przeświadczenie z troski o dziecko, trwałości małżeństwa i dobra rodziny.

W największej sali Cheyenne Club, przy długim, pokrytym zielonym suknem stole, siedziało siedmiu mężczyzn, członków Stowarzyszenia Hodowców Bydła w Wyoming. Spotkali się tutaj na przewidzianym ustawą kwartalnym zebraniu, aby poruszyć żywo obchodzące ich sprawy i podjąć odpowiednie decyzje. Brakowało jedynie Logana McClouda. Spóźnił się już blisko godzinę. Lecz z drugiej strony nie mógł się spóźnić, skoro oficjalnie ustalony czas rozpoczęcia zebrania jeszcze nie nadszedł.

Ed Bromley skończył właśnie swoją długą perorę o hodowcach owiec.

- Powiedz im, John - zwrócił się do mężczyzny siedzącego pod oknem.

- Co? - zapytał John Morris, gasząc papierosa.

- Powiedz im, ile sztuk straciłeś tej zimy.

Morris zmarszczył brwi. Sposepniał.

- Ponad połowę stada. A większość przez kolczaste zasieki Thorna.

- Widzicie zatem, jacy to śmierziele i jakimi sposobami chcą puścić nas z torbami! - wybuchnął Bromley niewybredną retoryką wiecowego mówcy. - Mnie tej zimy ubyło osiem tysięcy - powiódł wzrokiem po zgromadzonych. - Czy jest tu ktoś, kto nie poniósł żadnego uszczerbku?

- Nie ma takiego - odparł Tucker.

- Czysta prawda - potwierdził Amos.

Pozostali ponuro pokiwali głowami.

- Nie przetrwamy następnej zimy, jeśli te ogrodzenia będą wciąż istniały - kontynuował Bromley. - Musimy zrobić coś, aby pozbyć się tych śmierzieli. Myślałem, że ten kowboj, który zgładził Thorna, wybawił nas tym samym z kłopotów. Ale diabła tam! - sapnął i przejechał dłonią po spoconym czole.

- Można by pomyśleć, że to ty za butelkę whisky wynająłeś likwidatora - rzucił Morris z przymilnym uśmiechem.

- A gdyby nawet - warknął Bromley. - Facet i tak spartolił robotę, bo nie przegnał na cztery wiatry całej rodzinie. Miałbym nadal te osiem tysięcy sztuk. Przeliczcie to na dolary, a zrozumiecie moją wściekłość.

- Chłopcy, czy czujecie to samo? - zapytał Morris, przeskakując wzrokiem po twarzach.

- Jeśli chodzi ci o to, czy żałujemy Thorna, to mó-

wię w swoim imieniu, że nikt nie dokopie się we mnie ani grama żalu - powiedział Amos.

- Najmniejszego - dorzucili Starker i White.

Morris podniósł się z krzesła i oparł pięściami o stół.

- Rozumiem zatem, chłopcy, że nie będziecie bić w dzwony, jeżeli ktoś serio potraktuje sprawę przywrócenia otwartych pastwisk. Nawet gdyby rzeczy wzięły nieprzyjemny obrót dla tych od owiec.

- Jak nieprzyjemny? - zapytał Kyle.

- Och, nie mam pojęcia - Morris przywołał na twarz najniewinniejszy z uśmiechów. - Słyszałem niedawno, że już mają jakieś kłopoty. Giną im owce i tak dalej. Być może ktoś nie czekał i już wziął sprawę w swoje ręce.

Bromley zerwał się z krzesła.

- Czy wiesz, kto?

Zapytany wzruszył ramionami.

- Naprawdę trudno powiedzieć.

- Nie spuszczaźmy się na domysły - powiedział Kyle, rozpinając kołnierzyk koszuli. - Popieram Eda. Jeźli chcemy pozbyć się problemu, to rozwiąźmy go jak najszybciej. Co powiecie na pomysł wynajęcia tego Faradaya, którego zatrudnił McCloud? To zawodowiec. Można mieć pewność, że załatwi sprawę profesjonalnie. Ja, w każdym razie, mógłbym dać na ten cel kilka setek.

- Chodź słuhy, że Faraday nie zadaje zbyt wielu pytań, kiedy widzi forszę - dodał Amos. - Dołączam się do składki.

Krótkie słowne potwierdzenia i skinięcia głowami stanowiły najlepszy dowód na to, że wychodzono wreszcie na prostą drogę.

- Zwariowaliście?! - zawołał Bromley. - Nie mam ani dolara na zbyciu. Ta zima porządnie dała mi się we znaki.

- Tak czy inaczej, musimy coś zrobić - stwierdził Morris. - Jeśli zostawimy rzeczy po staremu, to za rok lub dwa będzie tu kilkakrotnie tyle owiec co dzisiaj i ani żdźbła trawy dla naszego bydła.

- Przekłete owce! - Bromley wałnął pięścią w stół.

- Nie dość, że jedzą i deptają trawę, to jeszcze z wodopojów robią grząskie bagniska.

- Skoro mówimy o wodzie - wtrącił Amos - to chciałbym dodać, że prawie wszystkie strumienie, z których korzystamy, przepływają przez rancho Thornów. Nie my im, ale oni nam mogą dyktować warunki.

Bromley zerwał się z krzesła.

- Do jasnej cholery, gadaniem nic nie zdziałamy!

- Co więc proponujesz, Ed? - zapytał Kyle.

- Uważam, że nie ma sensu zwalać na kogoś innego naszą robotę. Zbierzmy się w kupę, roznieśmy w puch te zasieki i przepędźmy owce wraz z Thor-nami.

- Nie będzie to takie łatwe - zauważył Kyle. - Oni będą się bronić i na pewno dojdzie do strze-laniny.

- No to co? - ryknął Bromley.

- Nie jestem zabójcą, Ed - powiedział Amos.

- Chcę żeby się wynieśli, lecz nie zamierzam ich za-bijać - niespokojnie poruszył się na krzesle. - Bob Dorn to twardy i uparty szeryf, a w Wyomińg wiesz się za morderstwo.

- To co? Zamierzasz zwinąć manatki i sam się stąd wynieść? - Bromley opadł na krzesło, które aż zatrze-

szczało pod masą jego cielska. - Żadna ława przysięgłych, złożona z hodowców bydła, nie pośle na szubienicę zabójcy owczarza. Chyba to dla was oczywiste, chłopcy?

- Może tak, a może nie - rzekł White z powątpiewaniem w głosie. - Chcesz powiedzieć przysięgłym, że ustrzeliłeś matkę i dzieciaka i że nic a nic nie poczuwasz się do winy?

- Ja również się wycofuję, Ed - dorzucił Kyle, kręcąc głową. - I idę o zakład, że Logan McCloud nie będzie zachwycony tym pomysłem. Wicie przecież, że ożenił się z córką Thorna. Co jak co, lecz nie chciałbym mieć McClouda przeciwko sobie.

Ed Bromley powiódł po ich twarzach przekrwionymi oczami rozjuszonego byka.

- Co się z wami dzieje, chłopaki? Jesteśmy - walał się pięścią w pierś - Stowarzyszeniem Hodowców Bydła w Wyoming i to my ustanawiamy prawa, obowiązujące w naszym stanie. McCloudowi mogą się one podobać lub nie, ale nie ma on decydującego głosu. Zatem, chcąc nie chcąc, musi się do nich dostosować.

- Doprawdy? - dobiegł nagle z tyłu męski, głęboki baryton.

Ed podskoczył na krześle jak oparzony.

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę drzwi, a w niespokojnych spojrzeniach odmalowało się to samo pytanie. Od jak dawna McCloud podsłuchiwał ich rozmowę? On tymczasem od dawna wiedział, że to tajemne zebranie, o którym powiadomił go poufnie jeden z pracowników klubu, zwołane zostało bynajmniej nie w celu przysporzenia dobra na tym najleszym ze światów.

Logan podszedł do stołu i spojrzał na Bromleya.

- Czy zechcesz mi wyjaśnić, Ed, co się tu, do diabła, dzieje?

Bromley zeszywniał, ale jego oczy patrzyły śmiało, a nawet zuchwałe.

- Jasne, że zechcę, McCloud. Zastanawiamy się, jak pozbyć się tych miłośników owiec, którzy od lat zaturwiają nam życie.

- I co uradziliście? - zapytał Logan, starając się nie zdradzić niepokoju, jaki nim owładnął.

- Ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła.

Logan zacisnął pięści.

- Rozumiem jednak, że planujecie wojnę o pastwiska.

Bromley wyprężył pierś, gotów stanąć do walki z każdym, kto chciałby mu się sprzeciwić, nawet gdyby to był sam Logan McCloud, prezes Stowarzyszenia.

- Nazywaj to, jak ci się żywnie podoba. Owce mają zniknąć z tych stron, a jeśli będzie to kosztować czyjeś życie...

Nie dokończył, gdyż Logan chwycił go za kurtkę na piersi i pchnął do tyłu z taką siłą, że grubas rąbnął biodrem o ostry kant stołu i zatoczył się. Zaraz jednak odzyskał równowagę i warknął przez zaciśnięte zęby:

- Nie tak nerwowo, McCloud. Obiecujemy, że tej kózce, z którą sobie igrasz, nic się nie stanie.

Logan pobladł jak śmierć i zamarł w bezruchu. Ledwo oddychał. Nagle odwrócił się w kierunku drzwi, jak gdyby chciał opuścić towarzystwo. Był to jednak tylko półobrót dla nabrania rozmachu. Sekundę później jego prawa pięść wylądowała precyzyjnie na

szczące Bromleya. Pod grubasem ugięły się nogi i padł na kolana. Logan dźwignął go i tym razem uderzył prosto w twarz. Z nosa i ust mężczyzny popłynęła krew. Mimo że oszołomiony, próbował walczyć, machając na oślep rękami. Był niezwykle silny i gdyby jego pięść dosięgła szczęki przeciwnika, walka z tą chwilą mogłaby zostać rozstrzygnięta. Logan przykucnął, robiąc unik i wymierzył cios w żołądek. Ed jęknął, zgiął się w pół, po czym zwałił jak kłoda na podłogę.

- Dostyc, McCloud! - zawołał Morris. - Do diabła, jeszcze go zabijesz! - podbiegł do Logana i odciągnął go od powalonego przeciwnika.

Tymczasem Kyle i Tucker stawiali Bromleya na nogi. Wyglądał paskudnie. Miał złamany nos, naruszone zęby i zapuchnięte oko.

- Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień, Bromley - wycedził Logan, ciężko dysząc. - Dzisiaj nie zginiesz z mojej ręki.

- Daruj sobie te groźby, McCloud - powiedział Morris. - Bromley, rzecz jasna, zagalopował się, mówiąc tak o twojej żonie, ale co do tych owiec, to racja jest przy nim. Te zwierzęta prędzej czy później nas wykończą, więc wóz albo przewóz.

- Każdy z nas ma prawo wyrazić swoje stanowisko - zauważył Tucker, podając Bromleyowi chusteczkę. - Ty również, McCloud.

- Racja - rzekł krótko Kyle.

Logan powiódł wzrokiem po otaczających go wrogich twarzach. Sytuacja była jasna. Poczul się dużo pewniej.

- Jeżeli popełnicie jakieś głupstwo i jeżeli coś złego wydarzy się na ranchu Thornów, to uprzedzam was:

odnajdę wszystkich skurwieli, maczających w tym ręce, i rozwalę im łby.

Słuchało go siedmiu mężczyzn i każdy z nich mu uwierzył.

Logan odwrócił się i szybko wyszedł z sali.

18

Kilkaset kroków od rancza Thornów stał samotny jeździec. Jego kary koń grzebał przednim kopytem w ziemi i machał nerwowo łbem, odganiając się od much, ale mężczyzna nie zważał na to. Spod przyślanających oczy kresów kapelusza obserwował dom, podwórze i gospodarskie zabudowania. Widział stadko kur, bieliznę suszącą się na wietrze, garnki osadzone do góry dnem na płocie i śpiącego na pniaku kota, ale mimo że stał tu już blisko kwadrans, nie dostrzegł jeszcze nikogo z mieszkańców.

Prawa dłoń jeźdźca spoczywała na kolbie rewolweru.

Nad jego głową kołował jastrząb. On również na coś czekał i za czymś gonił wzrokiem. Wypatrywał ofiary.

Mężczyzna wypatrywał jednak czegoś całkiem innego: śladów swojej przeszłości.

Szukał drogi, która mogłaby zawieść go do domowego ogniska.

Sarah syknęła i opuściła pokrywę. Odruchowo włożyła palce do ust, lecz zaraz pomyślała o lepszym środku na oparzenia. Nachyliła się nad kubłem i zanurzyła dłoń w zimnej wodzie. Piecźnie szybko minęło.

Wróciła do kulinarnych zajęć, zachowując jednak

tym razem większą ostrożność. Ujęła ucho pokrywki poprzez kilkakrotnie złożoną ścierkę. Następnie zajął się do garnka i przewróciła porcje kurczęcia na drugą stronę, aby nie przywarły do dna i nie spaliły się na węgiel. Uznała, że mięso jeszcze musi się poddusić.

Wyrzała przez okno. Rozwieszona na sznurze pościelowa bielizna łopotała na wietrze. Niebo było bez jednej chmurki. Sarah westchnęła. W taki dzień chciało się robić cokolwiek, byleby nie w czterech ścianach domu.

Była sama na ranczo, gdyż Daniel pojechał sprawdzić ogrodzenie. Zabrał ze sobą wielostrzałowy sztucer i to było najgorsze. Nie rozstawał się z nim od tamtego dnia, kiedy zabito im kilkanaście owiec. Daniel wraz z dwoma robotnikami, Willem i Harrym, odparli atak, ale Will został lekko ranny. Po kilku dniach obaj bracia spakowali manatki, wzięli zaległą pensję i odeszli.

Sarah znowu głęboko westchnęła. Oczywiście, rozumiała ich bardzo dobrze. To nie było ich ranczo, więc dlaczego mieli za nie umierać?

Lecz co z Danielem? Czy Daniel był zdecydowany umrzeć za ranczo, tak jak umarł jego ojciec? Pięć miesięcy temu, gdy zabito Charlesa, dopuszczała i taką możliwość, że zrobił to jakiś obcy, który znalazł się przejazdem w tych stronach. Już dawno jednak zrezygnowała z wersji przypadkowego zabójstwa. Zbyt wiele faktów mówiło coś wręcz przeciwnego. Świadczyły też one o tym, że przyszłość zapowiadała się równie strasznie.

Przysiadła na blacie stołu. Chciała znaleźć jakieś wyjście z tej matni, ale nie było to łatwe. Jej bezsenne noce, podczas których przewracała się z boku na bok,

nie przyniosły dotąd żadnego sensownego rozwiązania. Charles wybudował to ranczo dla Daniela. „Mężczyzna musi mieć jakiś stały grunt pod nogami, coś, na czym mógłby się wesprzeć i z czego byłby dumny”, powtarzał wielokrotnie. Oczywiście, nie przewidział, gdyż nie mógł przewidzieć, takiego obrotu wypadków.

Więc może powinni sprzedać ranczo? Może powinna zmusić Daniela do... Szkopuł w tym, że syn wyrósł już z wieku, kiedy można go było do czegoś zmuszać. Nigdy nie wybaczyłby jej, gdyby dobiła targu bez jego zgody. Ale czy dalsze prowadzenie rancza warte było wiążącego się z tym ryzyka?

Przymknęła oczy. Myśli latały w jej głowie niczym jaskółki przed burzą.

Nagle rozległ się jakiś trzask. Podskoczyła i spojrzała na strzelbę, wiszącą na ścianie. Wiedziała, że jest nabita. Zaraz jednak zorientowała się, że to tylko wiatr szarpnął okiennicą. Uśmiechnęła się. Na szczęście tym razem strach wiązał się tylko z napięciem nerwowym.

Musiała stanowczo uwolnić się od tych próżnych rozmyślań. Chwyciła kosz na bieliznę i wyszła na podwórze. Stado kur i kurczaków rozbiegło się na wszystkie strony.

Zaczęła od prześcieradeł, gdyż te wyschły na wiór. Ze zdjęciem poszewek musiała jeszcze trochę poczekać. Składała właśnie kolejne prześcieradło, kiedy nagle poczuła, że nie jest już sama. Ale tym razem wiedziała, że jej przewrażliwienie nie ma tu nic do rzeczy. Ktoś stał za nią, ktoś jak najbardziej rzeczywisty i cięlesny. Boże, dlaczego nie wzięła ze sobą broni!

Odwrociła się z okrzykiem trwogi .

Trzy kroki przed nią stał wysoki, smukły mężczy-

zna. W jego postawie było coś z przyczajonego dra-
pieznika. Miękkie mokasyny i skórzane spodnie z frę-
dzlami upodobniały go trochę do Indianina. Kciuk
prawej ręki opierał o pas z nabojami, z którego zwi-
sał, sięgając niemal kolana, ciężki kolt o kolbie wy-
kładanej perłową macią.

Nisko nasunięty na czoło czarny kapelusz ocieniał
mu połowę twarzy. Podniósł rękę i przesunął go do
tyłu, a wówczas Sarah ujrzała wpatrzona w nią jas-
noniebieskie oczy. Oczy, które - Wielki Boże! - nie by-
ły jej obce.

- Nie, to niemożliwe - szepnęła, przyciskając dłoń
do serca.

- Tęskniłem za tobą, Sarah.

Stała bez ruchu, oniemiała i wstrząśnięta. Wydało
się jej, że czas się zatrzymał, po czym zaczął płynąć
w odwrotnym kierunku. Wstęga minionych lat roz-
wijająca się coraz szybciej i szybciej. Aż nagle znów ona,
Sarah, miała osiemnaście lat, a wokół niej rozciągały
się falujące pagórki Wirginii.

- To nie możesz być ty.

- A jednak stoję przed tobą - rzekł łagodnym gło-
sem, zbliżając się o krok. Uczynił to bezszelestnie, ni-
czym duch zmarłego.

Jake.

Prawda ta w końcu do niej dotarła. Przeszył ją pło-
mień radości. Patrzyła na Jake'a, swoją pierwszą mi-
łość. Swoją jedyną miłość.

Oczywiście, zmienił się. Miał spaloną słońcem skó-
rę, wyostrome rysy twarzy, bliznę na nosie i jakiś nie-
zależny od nastroju chłód w oczach, a jednak mimo
upływu lat był to ciągle ten sam Jake.

Najwspanialszy mężczyzna na świecie.

Poczuła łyzy na policzkach i wytarła je wierzchem dłoni. Jakże gorąco pragnęła znów mieć na sobie tamtą różową sukienkę, a na twarzy świeżość osiemnastu lat. Dziś tylko serce było w niej dziewczęce, gdyż biło dawnym rytmem pierwszych miłosnych wzruszeń.

Po dwudziestu latach rozłąki znów widziała Jake'a.

Ponownie starła łyzy z policzków.

- Myślałam, że nie żyjesz.

- Patrząc na ciebie myślę, że chyba rzeczywiście nie żyłem. Aż do tego momentu.

Uśmiechnął się. Sarah prawie wcale się nie zmieniła. Była tak samo młoda i piękna, jak tamtego dnia, kiedy widzieli się po raz ostatni. Wizerunek jej twarzy przechował w pamięci, niczym miniaturę z medalionu. Twarz Sarah towarzyszyła mu wszędzie, w jankeskim więzieniu i na całym szlaku tych dwudziestu lat.

Kiedy wojna między Północą a Południem skończyła się i powrócił do Wirginii, powiedziano mu, że Sarah wyszła za mąż. W rozmowie z nim jej ojciec zauważył, że dokonała bardzo trafnego wyboru. Jake myślał, że umrze ze zgryzoty i zawiedzionych nadziei. Postanowił jednak nie odwracać biegu wydarzeń. Związek małżeński uważał za instytucję świętą i nierozzerwalną.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Sarah była tutaj. Smukła i gibka, niczym wierzbowy gałązka, błękitnoka, roześmiana... Najzwyczajniej mylił dziewczynę z kobietą. To tamta była roześmiana, ta zaś miała na sobie czarną sukienkę i srebrne nitki we włosach.

- Nie mogłem dłużej czekać. Przyszedłem. Jesteś piękna jak zawsze.

Była mu wdzięczna za to kłamstwo. Odruchowo poprawiła włosy.

- Trochę schudłeś.

Nic głupszego nie mogła chyba powiedzieć. Wyglądał wspaniale, zupełnie jak w sześćdziesiątym drugim, gdy odchodził na wojnę wraz ze swoim oddziałem.

- Dlaczego nie wróciłeś po mnie?

- Wróciłem. Ale ciebie już tam nie było - Jake miał wrażenie, że budzi się z długoletniego letargu.

- Minął rok, a ja nie dostałam od ciebie żadnej wiadomości. Myślałam, że zginąłeś. Inni też tak mówili - głos Sarah załamał się.

- Przeżyłem. Ty wyszłaś za męża.

- Tak.

Charles poprosił ją o rękę, gdy straciła już wszelką nadzieję na zamążpójście. Kobieta potrzebuje mężczyzny, aby się nią opiekował.

- Byłaś szczęśliwa? - Dopiero zadawszy to pytanie, uświadomił sobie, jaki ból sprawia mu myśl, że Sarah znalazła szczęście w ramionach innego mężczyzny.

- Szczęśliwa? Sądzę, że tak. Mam dwójkę wspaniałych dzieci.

- Słyszałem, że straciłaś męża.

Kobieta zawahała się. Przechyliła głowę na jedno ramię.

- Jak się o tym dowiedziałeś? I jak mnie w ogóle znalazłeś po tylu latach?

Uniósł kąciki ust w skruszonym uśmiechu.

- Wyśledziłem cię.

Sarah zeszywniała. Wiatr bawił się jej włosami.

- Wyśledziłeś mnie? To znaczy, że przez te wszy-

stkie lata wiedziałeś, gdzie jestem i pozwalaleś mi żyć w przeświadczeniu, że poległeś w bitwie i leżysz gdzieś w bezimiennym grobie... Och, Jake, jak mogłeś? - Załkała.

- Byłaś mężatką, miałaś rodzinę. Nie było moją rzeczą. .. - po raz setny albo i tysięczny przeklął Jankeśów, którzy urządzili zasadzkę na jego oddział. Bo to powinny być j e g o lata, j e g o dzieci, a przede wszystkim j e g o żona, nie zaś Charlesa Thorna, który miał to szczęście, że uniknął poboru.

Milczeli. Każde myślało o swoich błędach i o kaprysach złośliwego losu.

- Chyba już sobie pójdę - rzekł, przerywając milczenie. - To było coś nadzwyczajnego... rozmawiać z tobą po tylu latach.

Cofnął się o krok i znów nasunął na oczy kapelusz. Lepiej, żeby nikt nie widział rozpaczony w oczach mężczyzny.

- Jake!

Podbiegła do niego i położyła dłonie na jego ramionach. Gestem tym przekreśliła całą bolesną przeszłość. Nie musiał się namyślać, jak ma postąpić. Po prostu ujął jej spracowane dłonie i przywarł do nich ustami. A potem stało się coś, o czym w ogóle nie śmiał marzyć. Cofnęła ręce i ich usta, niczym przelotne ptaki, spotkały się. Trwało to tylko chwilę, lecz odkupiło całe lata dręczącej tęsknoty.

- Witaj w domu, Jake - powiedziała Sarah z uśmiechem.

Były to proste słowa, ale równie pięknych nie słyszał jeszcze nigdy dotąd.

- Bałem się, że po tylu latach nawet mnie sobie nie przypominasz.

Pogładziła go po policzku.

- Och, Jake, nigdy mnie nie opuściłeś. Przez cały ten czas byłeś - położyła dłoń na sercu - tutaj.

Ujął tę dłoń i żarliwie pocałował.

- Mówią, że twój dom jest tam, gdzie jest twoje serce. Wróciłem do swego domu w połowie swojego czasu.

Weszli pod dach i przez następne dwie godziny siedzieli przy kuchennym stole, pili kawę, trzymali się za ręce i rozmawiali o ludziach, miejscach i sprawach, które niegdyś należały do ich wspólnego świata.

Zbliżała się już pora podwieczorku, kiedy wrócił Daniel.

- Przepraszam mamó, że spóźniłem się na obiad, ale...

Jake szybko cofnął dłoń.

Daniel zatrzymał się w pół kroku. Coś tu było nie tak...

Zmieszana Sarah poderwała się z krzesła.

- Danielu, to jest...

- Faraday - wyręczył ją Jake, odwracając się ku młodemu ranczerowi. - Jake Faraday. Jestem starym przyjacielem twojej matki.

Wielki Boże! - pomyślał Daniel, rozpoznając nazwisko sławnego rewolwerowca. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Był poruszony, zaintrygowany i trochę zbity z tropu. Postanowił więc najpierw wywiedzieć się wszystkiego, a potem dopiero odpowiednio zareagować. Rzucił się na fotel przy kominku.

- Nie wiedziałem, że można hodować owce i mieć przyjaciół.

Jake bawił się niebieskim kubkiem, w którym zostało jeszcze trochę kawy.

- Znałem Sarah, zanim jeszcze wydała się za twojego ojca.

Daniel spojrzął na matkę, która właśnie wykladała na talerz spóźniony obiad. Nigdy dotąd nie myślał o jej dawniejszym życiu. Bliskie było mu przeświadczenie, że cała jej egzystencja sprowadza się do roli matki.

- No cóż, kiedy następnym razem będzie pan w Wyoming, proszę do nas zajrzeć.

Były to szorstkie i niegrzeczne słowa, ale chłopak nic sobie z tego nie robił. Zmian i niespodzianek było już tyle w tym roku, że wystarczyłoby tego na całe życie. Nie chciał ani jednej więcej.

- Danielu, na miłość boską, co cię ukąsiło? - zapytała Sarah, kładąc na stole kurczaka i pieczywo.

- Nie widziałam Jake'a od dwudziestu lat i chyba jesteś już na tyle dorosły, by domyślać się, jaką radość może mi sprawiać to spotkanie. Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

Daniel bez słowa wstał z fotela i dosiadł się do stołu. Nie miał nic w ustach od śniadania i był głodny jak wilk. Przede wszystkim jednak na tyle kochał i szanował swoją matkę, by nie sprzeczać się z nią przy obcych. O ile w ogóle tego Faradaya, który nawet przy stole nie rozstawał się ze swoim rewolwerem, można było nazwać obcym...

Sarah zwróciła się do Jake'a.

- Czy zatrzymałeś się w miasteczku?

- Nająłem się u Logana McClouda.

- No to jesteśmy sąsiadami. Logan McCloud ożenił się niedawno z Katherine, moją córką.

Jake kiwnął głową.

- Mam nadzieję, że znajdzie z nim szczęście.

Daniel podniósł wzrok znad talerza.

- Szczęście? Z nim? Nigdy nie pojmę, dlaczego ona...

Sarah zmarszczyła brwi.

- Danielu, to nie twoja sprawa. Katherine jest dorosła i sama dokonuje wyborów.

Powiedziawszy to, nagle posmutniała. Ona też dokonała niegdyś wyboru. Winić siebie nie mogła, gdyż naprawdę myślała wówczas, że Jake nie żyje. A jednak dręczyło ją sumienie. Gdyby dochowała wierności swojej pierwszej miłości i wybrała staropanieństwo...

Faraday odsunął krzesło.

- Cóż, to ja się pożegnam - nałożył na głowę kapelusz. - Gdybyś potrzebowała mojej pomocy, jestem w pobliżu.

Serce Sarah stanęło i miała poczucie, że za chwilę pęknie na połowy. Nie mogła pozwolić, by szczęście wymknęło się jej z rąk. Do końca życia nie wybaczyłyby sobie, gdyby powtórzyła ten sam błąd teraz, po dwudziestu latach.

- Jake, zaczekaj! Ktoś zawiązał się na nas i zabija nam owce. Opuścili nas wszyscy robotnicy. Zostaliśmy tylko my dwoje, ja i Daniel...

- I radzimy sobie bardzo dobrze - rzekł chłopak szorstkim głosem.

Sarah puściła mimo uszu słowa syna.

- Potrzebujemy kogoś do pomocy. Jeśli mógłbyś...

- Nikogo nie potrzebujemy - Daniel najwyraźniej postanowił tym razem nie liczyć się z matką. - Po-trafię sam zadbać o ciebie i ranczo.

Jake wykrzywił usta w uśmiechu pełnym zrozumienia.

- Nikt w to nie wątpi - odwrócił się do Sarah - dlatego najlepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

Ona jednak nie miała zamiaru łatwo dać za wygraną.

- Poczekaj na ganku, Jake. Ja i Daniel musimy zamienić kilka słów.

- Jasne.

Gdy tylko za Jakiem zamknęły się drzwi, Sarah wybuchnęła:

- Synu, najwyższy czas coś sobie wyjaśnić. To ja a posiadam to ranczo i ja jestem za nie odpowiedzialna. Do tej pory pozwalałam, byś czuł się gospodarzem i muszę przyznać, że nie zawiodłam się na tobie. Ale twój upór, twoja nadmierna ufność we własne siły mogą wszystko zaprzepaścić. Potrzebujemy pomocy i dobrze o tym wiesz. Nie wyobrażam sobie nikogo lepszego od Jake'a, kto mógłby nas wspomóc. Ufam mu i zatrudnię go.

- Dobrze, mam, nie będę już więcej spierał się z tobą - Daniel odsunął talerz z nie dojedzonym kurczakiem. - Lecz jeśli się okaże, że ten Faraday przyjechał tu na zlecenie McClouda, to...

- To co?

- Nieważne. Rób, jak chcesz.

I Sarah, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, zrobiła tak, jak chciała.

Z Cheyenne Club Logan poszedł do domu piechotą. Potrzebował czasu, aby uspokoić rozedrgane nerwy. Nie było sensu niepokoić Katherine czymś, czemu i tak nie mogłaby ona zapobiec.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu ulic, by przepuścić wóz wyładowany workami zboża. Jeden z nich musiał być dziurawy, gdyż kiedy wóz przejechał z ogłuszającym turkotem, na brukowanej nawierzchni została wąska strużka ziaren.

Logan szybko przeszedł ulicę, rozganiając wróble, które dojrawszy żer, zlatywały się zewsząd nad pszeniczną ścieżką.

Rozgrzane do białości niebo tchnęło upałem, ale McCloud nie zważał, że pot spływa mu z karku i wsiąka w kołnierzyk koszuli. Wciąż był myślami przy tym łajdaku Bromleyu.

Ten głupiec chciał najwyraźniej wywołać wojnę o pastwiska. A tylko ktoś o inteligencji dżdżownicy mógł nie orientować się w kosztach takiej wojny.

Logan nie przepadał za owcami i zasiekami z drutu kolczastego, przeciwnie, kiedy o nich myślał, krew burzyła się w nim tak samo, jak w żyłach jego sąsiadów. Ale ożenił się z Katherine i musiał troszczyć się o swoją żonę. Jak długo jej matka i brat będą prowadzić to ranczo, tak długo Katherine będzie z nim związana. Bez wątplenia więc, w przypadku wybuchu konfliktu, znajdzie się w samym centrum wydarzeń.

Zwolnił nieco kroku. Musiał jak najszybciej znaleźć sposób pozbycia się tego przekłętego rancza, nie ryzykując przy tym gniewu, a tym bardziej wrogości, Katherine. Ale jak miał tego dokonać?

Gdy skręcał na dziedziniec swojego domu, ciągle trapiła go ta myśl. Rzucił okiem na surdut. Na klapie widniała niewielka plama zaschniętej krwi, na szczęście zbyt mała, aby Katherine mogła ją zauważyć.

W drzwiach zderzył się z Jackiem, który dźwigał

kufer. Za nim postępowaly Katherine i Sally. Nie wchodził więc już do domu, tylko zawrócił i wraz ze wszystkimi udał się do powozu.

- Dlaczego jesteś smutna? - zapytał Katherine, kiedy już pożegnali się z Sally i Jack cmoknął na parę siwków.

- Nie cierpię, kiedy coś się kończy.

Logan ujął żonę za rękę, na której mieniła się szafirowo-diaamentowa bransoletka.

- To nie jest koniec, najdroższa. - Pocałował żonę w dłoń. - Dopiero zaczęliśmy. Wszystko najlepsze przed nami.

Uśmiechnęła się w sposób tak kuszący, że na chwilę aż przestał oddychać.

- Myślałam, że najlepszego już doświadczyliśmy - szepnęła, rumieniąc się lekko.

- Niezupełnie, kochanie, niezupełnie - odparł, przeklinając w duchu los, który w takim momencie kazał mu się znajdować w miejscu publicznym.

Gdy zajechali przed hotel „Inter-Ocean”, dyliżans już czekał na stacji. Logan wraz z Jackiem szybko przenieśli bagaże.

- Jak się masz - dobiegł ich nagle z chodnika męski głos.

McCloud odwrócił się i uśmiechnął. Przed nim stał szeryf Dorn. Jego nienagannie wypolerowana odznaka załamywała światło i przypominała w tej chwili diamentową broszę.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni, po czym Dorn skłonił się Katherine. Odpowiedziała mu chłodno, pamiętając bardzo dobrze swoje ostatnie z nim spotkanie.

- Słyszałem, Logan, że wpadłeś w słodkie sidła małżeństwa.

- Nie zaprzeczam - Logan zbliżył się do Katherine.
- O ile pamiętam, poznałeś już moją żonę, Bob.

- Życzę pani dużo szczęścia - powiedział Dorn z trochę komiczną powagą w głosie i na twarzy.

Katherine milczała. Sytuacja stawała się cokolwiek krępująca.

- Zamierzałem wpaść do ciebie, Bob - rzekł pośpiesznie Logan - ale czas upłynął nam niepostrzeżenie. Właśnie opuszczamy Cheyenne. Jak dowiedziałeś się o naszym ślubie?

Szeryf uśmiechnął się.

- Wiem o wszystkim, co się tu dzieje w promieniu stu kilometrów.

Katherine skrzywiła się.

- Doprawdy, szeryfie? W takim razie chyba zna pan już mordercę mojego ojca?

Nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się i postawiwszy nogę na stopniu, zniknęła w głębi dyliżansu. Niebawem też dołączył do niej Logan. Pożegnali się z Jackiem i dyliżans ruszył.

Tym razem nie jechali sami. Naprzeciwko siedziało dwóch mężczyzn. Zwracając się zatem do żony, McCloud zniżył głos do szeptu.

- Powinnaś dać mu szansę. To dzielny i uczciwy człowiek, który stara się wykonywać swoją pracę możliwie najlepiej.

Katherine przełknęła gorzką łzę.

- Dałam mu szansę. Uplęzło wiele miesięcy. Teraz biorę to na siebie.

Loganowi nagle zrobiło się zimno.

- Ani mi się waż nawet tak myśleć. To zbyt niebezpieczne. Zaufaj mi. Zajmę się tą sprawą.

Przestraszyła go. Znał jej charakter i wiedział, że

zdolna jest szukać zabójcy na własną rękę. Chyba że on, jej mąż, zamknie ją w pokoju. Ale to raczej nie wchodziło w rachubę.

Miał wielką ochotę argumentować dalej, ale siedzący naprzeciwko mężczyźni, którzy nawet nie kryli swojego zainteresowania Katherine, uniemożliwiali swobodną rozmowę. Więc Logan tylko westchnął w głębi duszy, przygnieciony myślą, jak bardzo dzisiejszy dzień pomieszał i pokomplikował sprawy, które wczoraj i przedwczoraj wydawały się bądź rozwiązane, bądź też nieistotne.

Spojrzał na Katherine. Na jej twarzy malował się bezbrzeżny smutek. Poza tym sprawiała wrażenie osoby, która przebywa myślami zupełnie gdzie indziej. Wziął jej dłoń i przycisnął ją do swojego uda.

Katherine wiedziała, że Logan ma rację. Polowanie na mordercę byłoby zajęciem bardzo niebezpiecznym. Ryzykowałyby nie tylko sobą, lecz również zdrowiem lub życiem dziecka. Pozostawało jej więc tylko zdać się na Logana. Kochała go, a niemożliwa jest miłość bez wzajemnego zaufania.

- Uwzględniając okoliczności...

Nie musiała mówić dalej. Wszystko było jasne. Ucisnął jej dłoń na znak wdzięczności.

Późnym popołudniem dotarli do Clearwater, gdzie czekał już na nich uśmiechnięty Pete. Jego kasztan uwiązany był do tylnego siedzenia bryczki.

- Witajcie w domu! Miałem zamiar zapytać, czy miło spędziliście ten tydzień w Cheyenne, ale widząc wasze twarze, sądzę, że jest to zupełnie zbędne.

Katherine zarumieniała się. Chyba nie miała wypisanych na twarzy tamtych nocy i dni?

Logan próbował ściągnąć brwi, ale stwierdził tylko, że nie jest w stanie się gniewać.

- Zamiast popisywać się swą przenikliwością, lepiej pomóż mi przy bagażach.

Zarządca wybuchnął tak zaraźliwym śmiechem, iż Katherine nagle zaczęła się cieszyć z powrotu do Clearwater. Przepadły gdzieś wszystkie złe przecucia, rozwiały się niepokoje.

Popołudniowe słońce wzięło mocno grzało. Zanim chwycił za lejce, Logan zrzucił surdut i rozpiął górne guziki koszuli. Wyglądał teraz mniej elegancko, ale za to bardziej swojsko. Znów był w szampańskim nastroju. Miał u swego boku kobietę, którą kochał, a przed sobą, jak okiem sięgnąć, umiłowaną krainę.

Ruszyli. Pete jechał stępa z tyłu, gwizdząc jakąś tęskną melodię.

Bryczka podskakiwała na wybojach, ale i w tej niewygodzie krył się pewien urok. Będąc tutaj, było się bliżej ziemi, bliżej samego życia.

- Za godzinę będziemy w domu.

- W domu... - powtórzyła, ogarniając spojrzeniem bezdrzewną, trawiastą równinę.

Śpiewały skowronki, kicały króliki, drogę przebiegało stadko pardw. Spokój tej krainy działał na duszę jak balsam.

A potem na horyzoncie ukazało się ranczo. Widziana z daleka, jak jedna bryła rozpadła się po jakimś czasie na szereg budynków. Dom był najwyższy i najsolidniejszy. Przypominał fortecę. Katherine przemknęła przez głowę myśl, że ta forteca będzie odpierała teraz ataki całego świata, aby jej i Loganowi nikt nie przeszkodził w tym czarownym śnie, który zaczęli śnić w Cheyenne.

W domu szybko rozpakowali się i Katherine stanęła przy kuchni, aby zająć się obiadem. Wszystko śmigало jej w rękach, gdyż po raz pierwszy poczuła się tu gospodynią. A te ściany, ten sufit, te okna - to był jej własny dom.

Na obiad miały być befsztyki z cebulką i kukurydza z puszki. Kładła właśnie krwawe płyty wołowiny na patelnię, gdy stanął za nią Logan. Poczuła delikatne ukąszenie w kark.

- Przestań! Chcesz, żebym przysmażyła się razem z befsztykami? Kuchnia jest gorąca.

- Ja też jestem gorący. Gorący, jak diabli - szepnął, dotykając językiem jej ucha.

Katherine zadrżała. Logan znał już wszystkie najwrażliwsze miejsca na jej ciele. Mógł wygrywać na niej przeróżne melodie, niczym muzyk na instrumencie. Teraz też odrzuciła głowę do tyłu, a obiad został zapomniany.

Objął ją, przyciskając dłońmi jej piersi. Przytulił policzek do jej policzka.

- Czy nie możemy zjeść obiadu później? Znacznie później...

- Nie będzie nic wart.

- Jadło się gorsze rzeczy.

- Poza tym ciągle jest dzień i ktoś może wejść.

Były to tylko puste słowa, bo tak naprawdę już wypełniało ją pulsujące oczekiwanie. I to właśnie ono nakazało jej odwrócić się ku Loganowi.

Zdjął z paleniska patelnię ze skwierczącymi befsztykami i odstawił ją na komin. A potem stała się rzecz nadzwyczajna. Katherine poczuła, że jej nogi odrywają się od podłogi, zaś ona sama szybuje ku górze. Teraz niemal dotykała głową sufitu, wisząc w powie-

trzu niczym mała dziewczynka, ufna w silne ramiona ojca. W tej sytuacji zaufanie musiało być podwójne, gdyż i jej waga była podwójna w porównaniu do wagi tamtej małej dziewczynki. Patrzyła z góry na Logana i czuła się wolna, szczęśliwa, podekscytowana...

- Powiedz to - rzekł z uśmiechem.

Spojrzała na sufit, udając, że nie wie, o co chodzi.

Potrząsnął nią tak, że grzebyk wysunął się z jej włosów.

- Powiedz, że chcesz się ze mną kochać.

Czyż musiała mówić? Czyż nie widział, co się z nią działo?

- Chcę...

- Katherine Thorn, jesteś tam? - dobiegł ich przez otwarte okno męski głos. - Katherine!

- Cholera! - mruknął Logan.

- To Daniel. Natychmiast postaw mnie na ziemię! - erotyczne podniecenie spłynęło z niej w jednej sekundzie. Tam na dworze stał jej brat. Czyżby wreszcie przybył powiedzieć, że pogodził się z jej zamążpójściem i od dzisiaj wracają do poprzednich serdecznych stosunków?

Stanąwszy na nogach, poprawiła sukienkę i włosy i nie zważając na krzywą minę Logana, pośpieszyła ku frontowym drzwiom.

- Cześć - pozdrowiła brata, który nadal siedział na koniu. - Zeskakuj na ziemię i wchodź do środka. Obiad zaraz będzie na stole.

- Nie jestem głodny - odparł Daniel, nie wykazując najmniejszej ochoty rozstawania się z koniem.

Posłyszała za sobą kroki Logana. Stał przy niej i otoczył ją ramieniem. Chłopak drgnął, jak ukłuty żądłem. Gdyby spojrzenia mogły zabijać...

Zapadła grobowa cisza.

- W porządku, Danielu - rzekła Katherine. - Nie chcesz wejść pod dach, twoja wola. Lecz w takim razie po co przyjechałeś?

- To proste. Rzucić okiem na nowożeńców.

Kobieta westchnęła. Ton, jakim jej brat wypowiedział te słowa, nie pozostawił już żadnych złudzeń, by kiedykolwiek Daniel mógł zaakceptować Logana jako swego szwagra.

- Jeśli przyjechałeś tu z przyjacielską wizytą - odezwał się McCloud - to witamy i zapraszamy do środka. Jeżeli jednak... - zawiesił głos, by tym wyraźniej przemówiła cisza.

Daniel zmrużył oczy.

- Posłuchaj, McCloud, przyjechałem zobaczyć się z siostrą, a tobie nic do tego.

- Niebawem wrócę - powiedziała, schodząc po stopniach ganku i idąc w stronę studni.

Przysiadła na cembrowinie. Zaraz też dołączył do niej Daniel.

- Wybacz, siostrzyczko. Jak zwykle, tak i tym razem nie udało mi się zapanować nad nerwami - wskazał wzrokiem Logana, który wciąż stał pomiędzy kolumnkami ganku. - Dlaczego właściwie wyszłaś za niego?

- Ponieważ go kocham - odparła z uśmiechem.
- Czy aż tak trudno to zrozumieć?

Brat opuścił głowę. Nie, wcale nie było trudno mu to zrozumieć. On przecież też kochał swoją siostrę. I to pomimo faktu, że od pewnego czasu kładł się pomiędzy nimi cień McClouda.

- Co u was? - zapytała, przerywając milczenie.

Daniel zawahał się. Nie chciał jej martwić, a równocześnie musiał się przed kimś wyzalić.

- Gdy tylko wyjechaliście do Cheyenne, ktoś wziął na cel nasze owce.

- O Boże! - chwyciła go za ramię. - I co?

- Ubił nam około pięćdziesięciu sztuk - odpowiedział bezbarwnym głosem człowieka, który czuje własną bezsilność.

Wszystko naprawdę szło ku gorszemu. Prowadzenie rancza zaczęło przypominać szaleńczą jazdę na stojąco na dwóch rozhukanych koniach. Jeden moment nieuwagi i osiem podkutych kopyt przemienia człowieka w miazgę... Daniel żył ostatnio w poczuciu, że właśnie ten moment nastąpił, że oto leci w dół. Ale mężczyzna nigdy nie powinien przyznawać się do swoich błędów i porażek.

- Co jeszcze?

- Zraniono Willa...

Zbladła jak płótno.

- Czy...

- Nie, nic poważnego. Ale on i Harry spakowali manatki i wynieśli się.

19

Usłyszeli kroki. Logan musiał zauważyć jej błąd i rękę uniesioną do ust i odpowiednio to sobie zinterpretować, gdyż jego twarz nie wróżyła najlepiej. Podszedł, rzucając na nich swój długi cień.

- Jutro - powiedziała Katherine do brata, równocześnie patrząc mężowi prosto w oczy. - Jutro rano was odwiedzę.

- Nigdzie nie pojedziesz - rzekł Logan stanowczym tonem.

A zatem wciąż nic nie rozumiał, a już na pewno nie pojmował jej zobowiązań wobec najbliższych. Poderwała się z cembrowiny i nawet nie pożegnawszy z Danielem, ruszyła szybkim krokiem prosto do domu. Wpadła do salonu i jęła niespokojnie chodzić z kąta w kąt. Pewne rzeczy musiały wreszcie zostać wyjaśnione raz na zawsze. Nie zamierzała podporządkowywać się żadnym władczym nakazom i zakazom. Mogła zgodzić się z pewnymi ograniczeniami, wynikającymi z małżeńskiego współżycia, lecz nigdy z zakuciem jej woli w dyby mężowskiego despotyzmu.

Za oknem dał się słyszeć tętent. To odjeżdżał Daniel. Po chwili do salonu wszedł Logan.

- Widzę, że czekasz, by sobie ze mną podyskutować - powiedział od drzwi. - Ale ja nie mam ochoty na kłótnie z tobą, Katherine. Nie możesz tam pojechać i dobrze o tym wiesz.

- A właśnie, że nie wiem - odparła, nie przestając krążyć po pokoju, niczym lwica w klatce. - Wymień mi choć jeden rozsądny powód, dla którego nie mogę jutro odwiedzić mojej matki.

Usiadł na kanapie i zamyślił się.

- Bo taka podróż nie jest bezpieczna - rzekł, podnosząc głowę.

- Też mi nowość! A czy kiedykolwiek była bezpieczna? Wielki Boże, Logan, nie zapominaj, że ktoś zamordował mojego ojca. A teraz w niebezpieczeństwie jest moja matka i brat. Nie poradzą sobie sami.

- Twoja matka nie musi pracować. Nikt nie musi narażać swojego życia i zdrowia. I cały ten pieski galimatias mógłby rozwiązać zwykły podpis na akcie kupna - sprzedaży.

- Znów wracamy do tej przebrzmiałej melodii? Daniel nie ma zamiaru kapitulować, zaś ja i matka zrobimy wszystko, aby mu pomóc.

- W niczym mu nie pomożecie. Prawda jest taka, że od początku to ranczo było wyłącznie jednym wielkim kłopotem.

- To twoje zdanie.

Wstał i podszedł do niej.

- Katherine, ty przecież spodziewasz się dziecka.

Zatrzymała się i wzięła pod boki.

- Spodziewam się dziecka, a nie śmierci. Wiesz też bardzo dobrze, że nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby przynieść jakąkolwiek szkodę naszemu dziecku. Ale moja matka i brat zostali całkiem sami. I ona, jeżeli nikt jej nie pomoże, zaharuje się na śmierć, bo nie uznaje czegoś takiego, jak ile prowadzone gospodarstwo.

Twarz Logana ściemniała. Zderzył się ze skałą i musiał wyjść z tej opresji.

- A w czym ty właściwie możesz im tam pomóc, skoro o żadnych galopadach, oczywiście, nie może być mowy?

- Nie mogąc jeździć konno, mogę przecież robić to wszystko, co robi przeciętna żona ranczera, która jest w ciąży. Mogę więc pracować, dbać o konie, czyścić boksy, karmić kury...

- Wierutna bzdura! Nie jesteś żadną przeciętną żoną ranczera, tylko moją i nie pozwolę, abyś zamieniła się w muła roboczego.

- To znaczy, że przez następne siedem miesięcy mam tu sobie siedzieć i czytać umoralniające historyjki lub haftować obrusy?

Logan skrzyżował ręce na piersi.

- Twój brat nie potrzebuje ciężarnej kobiety. Jemu przydałoby się pół tuzina silnych, uzbrojonych mężczyzn. Sęk w tym, że on nie ma żadnych szans, by ich znaleźć. To kolejny dowód, że to wasze cholerne ranczo pasuje do tej krainy, jak kwiatek do kozucha.

- Co za urocze porównanie! Nieraz mówiłeś, że masz nadmiar ludzi. Dlaczego więc nie pošlesz kilku, by pomogli Danielowi, zanim nie znajdzie jakichś strażników?

- Kowboje wśród owiec!? Głupsze zestawienie trudno sobie wyobrazić. Nawet gdybym ich tam wysłał, uciekliby stamtąd już następnego dnia.

- A gdybym to ja ich poprosiła? Są dla mnie tacy mili.

- Są mili dla mojej żony.

Zastanowiło ją to stwierdzenie. Oznaczało, że nie była już wyłącznie sobą. Ludzie uśmiechali się do niej,

spełniali jej życzenia przez wzgląd na męża, którego się bali, bo decydował o tym, czy tego dnia lub w tym roku coś zarobią.

Odwróciła się tyłem do niego. Nie chciała go widzieć. Zaciśnęła dłonie. Targał nią gniew, zalewała rozpacz.

- Mam więc przystać na własną bezsilność? - zawołała załamującym się głosem.

Przytulił ją i jął uspokajać. Gładził, całował, pieścił, aż wzburzenie minęło i poczuła się tylko zmęczona. Bardzo zmęczona.

- Muszę jechać, Logan. Nie mam wyboru. To moja rodzina - uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Proszę, zrozum. Oni mnie potrzebują.

Nie mógł już dłużej walczyć. Ustąpił.

- Wiem o tym. Pozwolę ci jechać, ale pod jednym warunkiem. Nie pojedziesz sama. Ktoś będzie ci towarzyszył. Przyrzeknij teraz, że będziesz grzeczną dziewczynką.

- Przyrzekam - wyszeptła gorącymi wargami, rozpaczliwie pragnąc, by wreszcie nastąpiła ta chwila, kiedy lojalność wobec ukochanej matki i brata nie będzie wchodziła w kolizję z lojalnością wobec ukochanego męża. - Dziękuję za zrozumienie - dodała.

- Prawda jest trochę inna. Dopiero próbuję cię zrozumieć.

I doprawdy starał się bardzo, przez całe dwadzieścia trzy dni.

Sierpniowe słońce prażyło, jakby chciało wyssać z ziemi całą wilgoć, a trawę przemienić w rdzawy proch. Logan podszedł do koryta dla koni. Zrzucił koszulę i ochlapał letnią wodą twarz, szyję i tors. Nie

poczuł żadnej ulgi. Nachylił się więc niżej i zanurzył w wodzie głowę razem z ramionami. Wyprostował się dopiero wówczas, gdy zaczęło mu brakować powietrza. Otarł rękami twarz i otrząsnął się. Woda pryskała z włosów i zraszała porytą kopytami ziemię.

Odruchowo spojrzął w kierunku bramy wjazdowej, a potem na czyste, rozżarzone niebo. Położenie słońca wskazywało godzinę czwartą po południu. Co dzieje się z Katherine?

Cierpliwości, upomniał sam siebie.

Dlaczego jednak miał być cierpliwy? Przez ponad trzy tygodnie zachowywał cierpliwość i próbował zrozumieć. Ale przecież wszystko ma swoje granice!

Od ponad trzech tygodni codziennie prosił Pete'a, by towarzyszył Katherine w tych osobliwych wycieczkach. Cierpiała na tym jego duma. Udawał, że nie zauważa na poły ironicznych, na poły współczujących spojrzeń kowbojów. Udawał też sam przed sobą, że nie zamartwia się z powodu spóźnień Katherine, które zdarzały się dość często. Miał żonę, lecz nie dla siebie, ale jakby dla kogoś innego.

Tak, próbował zrozumieć. Pech chciał, że bez względu na to, z której strony przyglądał się zagadnieniu, nie mógł go pojąć. Był jak uczeń, który biedzi się od tygodni nad trudnym arytmetycznym zadaniem.

Zawsze uważał się za zwolennika postępu i popierał żądania kobiet w sprawie prawa głosu i prawa do samostanowienia. A i jego matka nie była z pewnością kurą domową.

Ale to, z czym się ostatnio borykał, to było coś innego. Jego żona bynajmniej nie udzielała się publicznie w jakiejś społecznej czy też kościelnej organizacji. Jego

żona, fakty mówiły tu same za siebie, codziennie rano wyjeżdżała do pracy.

Ta sytuacja powoli stawała się nie do zniesienia. Czuł się skrzywdzony, oszukany i ośmieszony. Był człowiekiem, który lubi życie rodzinne i wysoko je ceni. Chciał troszczyć się o swoją żonę, a ona nawet nie dała mu dotąd szansy na złożenie dowodów tej troski. Harowała, niczym kowboj w okresie wiosennego spędu bydła. A przy tym była w ciąży. Nie, są pewne granice wyrozumiałości i tolerancji!

Gdyby choć znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Ale nie. Przecież obiecał zaopiekować się Sarah i Danielem i zaproponował podwójną cenę za ich ranczo. Oni jednak uczepili się tego skrawka ziemi niczym kleszcz krowiego ucha.

Słońce szybko spijało wilgoć z jego piersi i ramion. Naciągnął koszulę i ruszył w kierunku domu. Każde jego stąpanie podnosiło ze spieczonej ziemi obłoczki kurzu.

Otworzył drzwi i zatrzymał się. Żadnego dźwięku. Dom był jak wymarły. Nie głucha cisza, do diaska! powinna witać mężczyznę, który wraca pod dach po ciężkim dniu.

Tam w środku powinna być w tej chwili Katherine. Uśmiechnięta, oczekująca, spragniona... Co najwyżej dzwoniąca garnkami, z których unosiłyby się smakowite wonie. Dlaczego inni mogli mieć żony dwadzieścia cztery godziny na dobę, on zaś miewał ją jedynie na przychodne?

Obiecywała wrócić późnym popołudniem. Gdy tylko się pojawi, zasiądą do poważnej rozmowy. Tym razem to ona będzie musiała coś zrozumieć.

Przekroczył próg domu, a potem salonu. Chciał

właśnie rzucić się na kozetkę, by trochę odpocząć, kiedy usłyszał na podwórzu jeźdźców. Sądząc z odgłosów, musiało ich być wielu, o czym przekonał się naczynie, wyglądając przez okno. Przeczucie podszeptęło mu, że zanoszą się na kłopoty.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i do salonu weszli z brzękiem ostróg Kyle i Amos.

- No i? - zapytał Amos w miejsce powitania.

- Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

Kowboj otarł rękawem pot z czoła.

- No i co zamierzasz z tym zrobić? - Zaczął nerwowo krążyć po pokoju. - Bo my ani myślimy puścić mu tego płazem. Klnę się na wszystkie świętości, że...

- O czym ty, do diabła, mówisz? - zapytał Logan, przyglądając się bacznie twarzom obu mężczyzn.

Kyle wyglądał na zdumionego, Amos zatrzymał się w pół kroku.

- To o niczym nie wiesz? - odezwał się Kyle.

Cierpliwość Logana była na wyczerpaniu.

- Może wreszcie wydusicie z siebie coś konkretnego!

- Przyjechaliśmy tu w związku z wodą - wysapał Kyle. - Ten szczeniak Thorna odciął nam dopływ wody ze strumieni, które przepływają przez jego pastwisko.

W głowie McClouda rozległ się ostrzegawczy dzwonek. Chodziło zatem o poważną sprawę, sprawę życia lub śmierci. Kraj był umęczony suszą i jeśli faktycznie chłopak zrobił coś takiego, to on sam był gotów udusić go gołymi rękami.

Ale na razie musiał zachować rozwagę i ostrożność.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj lub przedwczoraj - Kyle podszedł do stolika i nalał sobie podwójną whisky, po czym wypił

ją jednym haustem. - Co zresztą za różnica, czy dziś czy tydzień temu? Jedziemy, by zabrać Eda i po drodze wpadliśmy do ciebie. Trzeba położyć temu kres.

- Chcemy, żebyś nas poparł - dorzucił Amos.
- To będzie trudne, chłopaki.
- Odkąd to jesteś miłośnikiem owiec?

Twarz McClouda stężała.

- Odkąd próbuję nie dopuścić do wojny o pastwiska i chronić was, głupcy, przed popełnieniem jakiegoś paskudnego czynu, którego później możecie żałować - Logan poczuł, że ogarnia go wściekłość. Nie, nie daruje szczeniakowi tego upokorzenia! Żeby on, niekoronowany król hodowców bydła w Wyoming, bronił jakiegoś śmierdzącego owczarza i z tego powodu wchodził w konflikt ze swymi sąsiadami... Nie-doczekanie!

- A więc tylko głupcy bronią swych rancz, a mądrale pozwalają bydłu paść z pragnienia, czy tak? - zapytał Kyle ironicznym tonem. - Zresztą, ty masz wodę, ty nie musisz się martwić.

- To na pewno jakieś nieporozumienie, chłopcy. Pogadam z Thornem i wszystko zostanie załatwione po waszej myśli - każde słowo piekło mu usta. Mówił wbrew sobie, wbrew temu, czego naprawdę chciał.

- Zrozum, Logan, przyjechaliśmy tu w nadziei, że staniesz po naszej stronie. Nie chcesz - trudno, ale miarka się przebrała. Te zakały muszą się stąd wynieść, dobrowolnie lub nie. Wykurzymy ich jeszcze dzisiaj.

- Nie wykurzycie ich, chłopcy.
- Dlaczego?
- Bo ja mówię „nie” - ostatnie słowo zabrzmiało tak groźnie, że Kyle i Amos spojrzeli po sobie.
- A niby jak nas powstrzymasz? - zapytał Kyle.

Logan wskazał w kierunku okna.

- Tam w baraku przebywa w tej chwili pół setki ludzi, którzy w przeciągu kwadransa mogą dosiąść koni.

- Twoi ludzie nie będą bronić owczarza.

- Moi ludzie zrobią dokładnie to, czego od nich zażądam. A dobrze wykonują swoją robotę.

- Tym razem nie mamy zamiaru dać za wygraną. Potrzebujemy tej wody, Logan. Bez niej stracimy nawet tę resztkę stad, jaka nam pozostała.

McCloud podszedł do drzwi i otworzył je.

- Wracajcie do swoich domów, chłopcy. Wszystko biorę na siebie. Będziecie mieć swoją wodę.

- Kiedy?

- W przeciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Zgoda - rzekł Kyle. - Lecz po upływie tego czasu ani ty, ani nawet sam diabeł nas nie powstrzyma.

Wyszli, a on zatrzaskał za nimi drzwi z takim impetem, że aż zadrżały szyby w oknach.

Nigdy więcej! Nigdy już więcej nie weźmie w obronę żadnych śmierdzących owiec i ich właścicieli! Dzisiaj sprawy muszą rozstrzygnąć się raz na zawsze.

20

- Katherine, przepracowujesz się - powiedziała Sarah, wchodząc do kuchni. Zaraz też zakasała rękawy i upiąwszy włosy, by nie opadały na twarz, wzięła się za zgarnianie z talerzy resztek jedzenia do kubła na pomyje.

- Mamo, jesteś niepoprawna - westchnęła Katherine, kręcąc głową. - Miałaś leżeć w łóżku - wytarła ramieniem pot z czoła. - Pomożesz mi najwięcej, wracając do zdrowia.

Sarah głośno kichnęła. Sięgnęła po chusteczkę.

- No i widzisz? Powinam właściwie na ciebie nakrzyczeć - stwierdziła córka.

- Nie jest tak źle. To tylko zwykły katar. Leżałam w łóżku półtora dnia, to zupełnie wystarczy. Nie mogę znieść myśli, że będąc w ciąży, nie masz ani chwili czasu, by spokojnie usiąść w fotelu czy najzwyczajniej powylegiwać się - powiedziała matka, sięgając po kolejny talerz.

- Parę talerzy i garnków nie zabije mnie - rzekła Katherine, biorąc się za zmywanie. Gwałtownym ruchem wyjęła ręce z miednicy. - Ale ten ukrop owszem.

Zaczerpnęła z kubła kwartę zimnej wody i wlała ją do miednicy z brudnymi talerzami i sztućcami. Zanurzyła dłonie.

- Teraz lepiej.

Sarah wzięła szmatkę i zmoczywszy ją, zaczęła wycierać blat stołu.

- Ale tu nie chodzi tylko o zmywanie po obiedzie. Jest jeszcze pranie, zamiatanie, praca w oborze i stajni, karmienie kur, zbieranie jaj...

- Wszystko, co robię, ty też robiłaś, kiedy byłaś w ciąży ze mną czy Danielem. Poza tym od wczoraj pomaga mi Jake.

Sarah odwróciła głowę, spoglądając na córkę.

- Lubisz go?

Katherine uśmiechnęła się kącikami ust.

- Lubię każdego, kto z takim zapałem pomaga kobiecie przy praniu.

Teraz z kolei na twarzy Sarah pojawił się uśmiech.

- Tak, cokolwiek Jake robi, wkłada w to całe swoje serce. Jeszcze dotąd nie zapytałaś mnie o niego.

- Domyślałam się, że skoro poprosiłaś go o pozostanie, to widocznie bardzo tego chciałaś.

Matka kiwnęła głową.

- To dobry człowiek, Katherine.

- Jestem tego pewna. To musiało być chyba dla ciebie ogromne przeżycie, gdy zobaczyłaś go... jakby powstałego z martwych.

- Ogromne, tak. Ale przede wszystkim radosne.

Sarah od kilku tygodni była całkiem inną osobą. Nawet ktoś niewtajemniczony szybko domyśliłby się, że tę kobietę przepelnia szczęście.

- Czy Jake zostanie tu na dłużej?

Ręka matki zamarła na blacie stołu.

- Jake oświadczył mi się, a ja przyjąłem jego oświadczenia.

Katherine nawet nie zaskoczyła ta wiadomość. Oczekiwała czegoś takiego. Sarah i Jake mieli miłość

wypisaną na twarzach. A poza tym te uśmiechy, sekretne wymiany spojrzeń, gorące szepty. Niekiedy zachowywali się tak, jakby obecność jej i Daniela całkiem uchodziła ich uwagi. Katherine dobrze знаła to uczucie wzajemnego zapatrzenia się i zasłuchania. Wytarła dłonie w fartuch i podeszła do matki.

- Czy jesteś pewna, że to ktoś wart ciebie?

Sarah uśmiechnęła się promiennie.

- Och, Katherine. Obym tylko ja warta była jego. Na całym świecie nie ma drugiego takiego mężczyzny.

Jeśli kobieta mówi tak o swoim mężu lub narzeczonym, to na pewno jest w nim bardzo zakochana. Czyż ona, Katherine, nie myślała tak o Loganie?

- W takim razie cieszę się, że w końcu odnaleźliście się - rzekła, ściskając matkę.

Wracała do domu. Po dwóch dniach i dwóch bardzo długich nocach na rodzinnym ranczo wracała do domu. Wyraźne klip-klap końskich podków naśladowało do złudzenia rytm tych słów: do-do-mu, do-do-mu...

Przedwieczorne słońce wciąż jeszcze mocno przygrzewało, ale nie piekło twarzy, nie wysuszało warg i nie nasycalo ciała lepką bezwładnością. Katherine czuła się spokojna i wesoła. Jadąc, wypoczywała. Cieszyło ją wszystko, od skrzywienia osi kół po błękitny pas mgiełki na horyzoncie.

Na szczycie niewielkiego pagórka zatrzymała się. Widać stąd było jak na dłoni ranczo McCloudów.

- Czy coś się stało? - zapytał Jake, towarzyszący Katherine jako eskorta.

- Nie, nic - odpowiedziała z uśmiechem. - Jestem wdzięczna za odprowadzenie, ale nie musisz jechać dalej. Został niecały kilometr. Mogę...

Jake potrząsnął głową.

- Obiecałem Pete'owi, że dostarczę cię mężowi całą i zdrową, pozwól więc, że przynajmniej odprowadzę cię stąd wzrokiem.

Katherine spojrzała z zainteresowaniem na mężczyznę, siedzącego na dużym czarnym wałachu. W ciągu minionych tygodni poznała go i polubiła, a dzisiaj dowiedziała się o jego i matki planach małżeńskich. To otwierało przed nią, Katherine, całkiem nową perspektywę. Niech tylko Daniel zatrudni jeszcze jak najszybciej ze dwóch dobrych robotników, a wówczas ona z odchodzącej żony zmieni się w prawdziwą.

- Gotowa? - usłyszała głos Jake'a.

- Co?... - wizja prawdziwej żony wciąż przykuwała jej uwagę. - Wiesz, Jake, mama obiecała, że będzie się oszczędzać, ale znam ją i nie bardzo w to wierzę. Prawdopodobnie już zabrała się do naprawiania dachu wozowni lub wyrzucania gnoju.

Faraday uśmiechnął się.

- Położę temu kres, choćbym nawet miał ją związać i trzymać pod kluczem.

- A mówią, że nie ma już na świecie szlachetnych rycerzy.

Oboje roześmieli się w głos. Tak, szczerze lubiła Jake'a. Instynkt podpowiadał jej, że to dobry człowiek, który zatroszczy się o Sarah i uczyni jej życie szczęśliwym.

Ujęła lejce i plasnęła nimi o zad siwej klaczy. Dwukółka potoczyła się po lekkiej pochyłości, ciągnąc za sobą smugę kurzu.

- Wpadnę pojutrze! - zawołała przez ramię.

- Przekażę to twojej matce.

Uniosła rękę i pomachała mu. Ale nie spojrzała już

za siebie. Patrzyła na swój własny dom, coraz bliższy i bliższy.

W domu tym czekał na nią Logan. Myślała o nim od chwili pożegnania się z matką i bratem. Okazał się tak cierpliwy i wyrozumiały. Dziś w nocy wynagrodzi mu to z naddatkiem.

Gdy dojeżdżała do bramy, wyjechała z niej spora grupa jeźdźców. Katherine przysłoniła dłonią oczy, by dokładnie przypatrzeć się twarzom. Obcy, pomyślała, zmuszając klacz do szybszego kłusu.

Zatrzymała się tuż przed gankiem. Postanowiła, że konia i bryczkę odstawi nieco później. Teraz pragnęła jak najszybciej ujrzeć Logana i przerwać jego samotność. Młodzi małżonkowie nie powinni właściwie się rozstawać ani na minutę.

Wbiegła do domu.

W salonie nie było nikogo. Na meblach kurz leżał tak grubą warstwą, że można było pisać na nich palcem. Z sufitu zwisały pajęczyny. Targnął nią wstyd. Za czasów Mary Rosy wszystko tu lśniło i pachniało. A teraz nastał flejtuch, któremu nie chce się nawet zamieść podłogi. I w rzeczy samej nic jej nie usprawiedliwiał. Bądź co bądź, w hierarchii obowiązków żony dbanie o dom męża było na pierwszym miejscu.

Ale jutro zakasze rękawy i przemieni to wszystko w świątynię czystości. Poza tym za trzy tygodnie miały tu zjechać Mary Rosa i matka Logana, a chciała wywrzeć na nich jak najlepsze wrażenie.

- Logan! - zawołała. - Jesteś tu?

Żadnej odpowiedzi. Być może siedział zaszyty w swoim gabinecie, dokąd jej głos nie mógł dobiec. Wyszła na korytarz i skręciła w lewo. Nagle z prawej

dobiegł ją odgłos zamykanych drzwi. Zawróciła więc i po chwili stanęła na progu sypialni.

Stał u wezłowania łóżka. Miał mokre włosy, jakby dopiero co wyszedł z łazienki. Rozchylna na pierśiach koszula odsłaniała ciemny mech owłosienia. Przez długą chwilę jedynie patrzyli na siebie.

- Wreszcie cię odnalazłam - odezwała się. - Było tak cicho, iż z początku myślałam, że nie ma cię w domu.

- Zawsze jestem w domu, a jeśli go opuszczam, to tylko dlatego, by na niego zapracować - odparł ostrym tonem.

Katherine westchnęła. Poniekąd zasłużyła sobie na tę reprimendę.

- Mama czuje się dużo lepiej. Wróciłam i zamierzam zadbać tu o pewne rzeczy - odezwało się w niej straszliwe zmęczenie, więc usiadła na stojącym pod oknem fotelu.

- A czy mnie zaliczasz również do tych rzeczy?

- Proszę, Logan, nie zaczynajmy kłótni. Jestem w tak radosnym nastroju. Nad owczym ranczo powiały wreszcie łaskawsze wiatry. Jake, to jest pan Faraday, bardzo nam pomaga. Mama powraca do zdrowia, a Daniel wprost spała się w pracy. Widywałam go tylko podczas posiłków.

- A może chciałabyś wiedzieć, nad czym to tak pilnie pracuje twój ukochany braciszek?

Twarz męża nie wróżyła nic dobrego. Katherine pomyślała ze smutkiem, że jednak nie spędzą tego wieczoru tak, jak to sobie wymarzyła.

- W porządku, chcę wiedzieć wszystko o moim bracie.

- Kiedy ty odgrywałaś rolę kochającej córki i sio-

stry, to udane chłopię przemyślało nad tym, jak by tu odciąć dopływ wody na niżej położone rancza. I, wyobraź sobie, udało mu się to! W rezultacie w naszych stronach żyje kilku facetów, których jedynym pragnieniem jest obedrzeć twojego braciszka ze skóry. Dwóch z nich dopiero co obłaskawiłem. Ale zrobiłem to wbrew sobie, bo nie czuję się powołany do obrony głupców.

Katherine nastroszyła się. Mimo wszystko ranczo ojca pozostawało wciąż jej czułym punktem.

- Przykro mi, że znalazłeś się w tak niezręcznej sytuacji. Jestem pewna, że Daniel nie omieszka podziękować ci listownie.

Logan sapnął.

- Do diabła, Katherine, nie czas na popisy sarkazmu! Daniel narobił sobie nielicznego bigosu. Ta woda należy do wszystkich.

- Porozmawiam z nim.

Potrząsnął głową.

- Nie, to ja z nim porozmawiam. Jak również z twoją matką. Tak dłużej być nie może. Wasze ranczo jest niczym klątwa. Przez nie zginął twój ojciec, przez nie nasze tegoroczne straty są aż tak wysokie, przez nie nie ma spokoju w sercach i umysłach, przez nie wreszcie po raz pierwszy pojawia się w tych stronach problem dostępu do wody. To ranczo musi zniknąć z powierzchni ziemi, a tylko ja mogę je wykupić za godziwą cenę. Tak będzie najsprawiedliwiej. I właśnie o tym chcę porozmawiać z twoją matką. Oby Bóg dał, by okazała się rozsądniejsza od swoich dzieci.

Katherine zerwała się z fotela. W jednej chwili odżyły w niej wszystkie urazy i lęki, które ostatnio zepchnęła w podświadomość.

- Sprzedać rancho, sprzedać rancho! Tylko o tym potrafisz mówić, a mnie na sam dźwięk tych słów chwytają mdłości. Otóż wbij sobie do głowy, że go nie sprzedamy. Nigdy!

- Jesteś moją żoną. Moim obowiązkiem jest dbać o ciebie i dziecko, ale nie będę go mógł wypełniać dopóty, dopóki będzie wisiała nad nami ta klątwa. Dlatego od dzisiaj nie ruszasz się z domu.

Zamilkł i czekał na odpowiedź. Dla niego jasne było przynajmniej jedno. To mianowicie, że nie cofnie swojej decyzji. Niechyby nawet kłóciła się z nim od samego rana.

Lecz Katherine, o dziwo, nie podniosła rzuconej rękawicy. Opadła na fotel smutna i jakby czymś zgnębiona. Spodziewał się wybuchu wulkanu, doczekał martwej ciszy.

- Już dłużej tego nie wytrzymam - szepnęła po chwili milczenia.

Odczuł pokusę utulenia i pocieszenia jej, lecz musiał rzecz doprowadzić do końca.

- Powiem twojej matce, że ona i Daniel mogą sprowadzić się do nas.

- Czyli tym samym powiesz jej, że nie zasłużyła sobie na własne miejsce na ziemi. A przecież całe życie tak ciężko pracowała, i to właśnie z myślą o swoim domu. Teraz zaś ma żyć z cudzego miłosierdzia.

- Bzdura. Użyłaś najmniej odpowiedniego słowa.

- Może na dzisiaj. Za kilka lat byłoby najbardziej odpowiednim. W każdym razie dzisiaj jest tak, że nie mogę się rozerwać i być równocześnie tu i tam.

Poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy, a wargi drętwieją.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- To tylko, że wracam tam, skąd właśnie przyjechałam. Moja matka potrzebuje mnie bardziej, niż ty.

Nie wierzył własnym uszom.

- Mylisz się, Katherine. Potrzebuję cię bardziej, niż potrafisz to wyrazić.

Wstała i przez łzy spojrzała na swojego męża. Kochała go. Kochała całym sercem. Ale życie nie było bajką, przypominało raczej szaradę ułożoną przez złośliwego demona.

- Pobraliśmy się pod dyktando konieczności, w nadziei, że a nuż nam się uda. Nie udało się. Jeśli zażadasz rozwodu, otrzymasz moją zgodę. Dziecko, oczywiście, możesz... - jej głos załamał się i wybiegła na korytarz.

- Katherine! Nie rób tego!

Usłyszał w głębi trzask zamykanych drzwi. Nie biegł, nie pędził, nie gonił. Stał nadal na środku sypialni. Paraliżowało go zdumienie. Nadal nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło.

A potem, gdy naga, brutalna prawda dotarła wreszcie do jego świadomości, duma przykuła go do miejsca. Nie będzie żebrał o okruchy uczucia u kobiety, która właśnie wzgardziła jego miłością.

Katherine otarła łzy i nacisnęła klamkę frontowych drzwi rodzinnego domu. Jej matka, Daniel i Jake siedzieli właśnie przy kolacji. Trzy pary oczu spojrzały na nią jak na zjawę. Najchętniej zaszyłyby się w najciemniejszym kącie, zamiast tego przywołała na twarz wątry, prawie bolesny uśmiech.

- Smacznego - powiedziała jak ktoś, kto przychodzi z sąsiedzką wizytą.

Sarah poderwała się zza stołu.

- Katherine, na miłość boską, czy coś się stało? Przecież Jake odwiózł cię do domu.

- Wszystko w porządku, mamó - skłamała.

- Uważaj, bo jeszcze w to uwierzę - powiedziała Sarah tyleż sarkastycznym, co podenerwowanym tonem. - Na razie siadaj i jedz.

- Jadłam w domu - skłamała po raz wtóry, czując, że nie mogłaby przełknąć ani kęsa.

- Danielu, zrób siostrze herbatę - rozkazała matka.

- Zaraz będzie gotowa.

Katherine opadła bezwładnie na podsunięte jej krzesło. Słowa Logana ciągle dudniły jej w głowie, niczym pędzące stado bizonów. Czowała się opuszczona, chora, zraniona. Przyjechała tutaj, aby wyzalić się przed najbliższą jej sercu istotą, która zawsze ją rozumiała i zawsze potrafiła natchnąć otuchą. Ale tymczasem, zamiast otworzyć głębię swej zbolalej duszy, odgrywała przed matką komedię.

- Mamó, postanowiłam zostać u was kilka dni dłużej, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Jake pochylił się ku niej nad stołem.

- Ale, o ile pamiętam, miałaś przyjechać dopiero pojutrze.

Sarah zmierzyła go wymownym spojrzeniem i skinięła głową w kierunku drzwi.

Uniósł brew na znak zrozumienia.

- Chodźmy, Danielu - powiedział, wstając. - Herbata może poczekać. Myślę, że obie panie chcą porozmawiać. My skorzystamy z okazji i nasypiemy kościom obroku.

Daniel odstawił czajnik z gotującą się z wodą, po

czym obaj mężczyźni, nałożywszy kapelusze, opuścili kuchnię.

Sarah przesunęła krzesło i usiadła naprzeciwko córki. Wzięła ją za rękę. Poczuła, że są chłodne i trochę spocone.

- Teraz jesteśmy same i możesz wyznać mi wszystko, co cię dręczy. A ja spróbuję cię pocieszyć.

Nareszcie padły słowa, których Katherine była tak bardzo spragniona. Łzy napęłniły jej oczy i spłynęły po policzkach.

- Och, mamusiu, ja po prostu nie wiem - chwilę chwytiała ustami powietrze - co mam uczynić.

- W związku z czym?

- Logan powiedział, że musicie sprzedać ranczo... I jeszcze to, że zabrania mi tu przyjeżdżać...

- Uspokój się, kochanie, a przede wszystkim przestań płakać. Rozumiem przynajmniej tyle, że ty i Logan pokłóciliście się.

- To nie była zwykła kłótnia. To było coś poważniejszego. Poszło nam o ranczo, a potem już o wszystko - czuła straszliwy ucisk w żołądku, jakby ssanie połączone z pieczeniem. - Mamo, ja już nie mogę tak żyć! To przerasta moje siły - wybuchnęła głośnym szlochem.

Sarah zamknęła córkę w matczynym uścisku.

- Wszystko się jakoś ułoży. Nie trać otuchy. Pomogę ci. Czy kochasz Logana?

Katherine, zanim odpowiedziała, kilkakrotnie potrząsnęła głową.

- Tak, kocham go. Chciałabym usunąć go z serca, ale wiem, że jest to niemożliwe. I dlatego wszystko wydaje się tak skomplikowane i trudne.

Matka wzięła głęboki oddech.

- Katherine, chcę, żebyś od tej chwili słuchała mnie bardzo uważnie.

Córka kiwnęła głową.

- Logan ma rację.

- Ale...

- Ma rację. Powiedziałaś, że go kochasz, a z tego, co ja wiem, on również ciebie kocha. Chce twojego dobra. Twoje miejsce jest przy nim, nie tutaj.

Katherine spoglądała na matkę nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Mamo, czy nie pojmujesz? Logan kategorycznie zabronił mi cię odwiedzać. Przecież nie mogę z dnia na dzień zapomnieć o waszym istnieniu.

- Kochanie, nie możesz wyznawać zasady „wszystko albo nic”. Musisz patrzeć głębiej. My jesteśmy twoją rodziną, lecz on jest twoją przyszłością.

- Nie, to właśnie Logan hołduje zasadzie „wszystko albo nic”. On upiera się, żebym...

- Czy niczego nie rozumiesz? - kontynuowała Sarah z wielką cierpliwością w głosie. - Po prostu chce, żebyś dzieliła z nim życie. Przede wszystkim jesteś jego żoną, a potem dopiero moją córką i siostrą Daniela. Czyż ja nie opuściłam rodziny? Czy nie poszłam z Charlesem na dobre i złe? Któregoś dnia Daniel zrobi to samo. Ludzkie losy rozchodzą się i nie ma na to rady. Nie znaczy to bynajmniej, byśmy miały zapomnieć o sobie - rozkasła się i zakryła usta chusteczką.

- Ale ranczo...

- Tak, ranczo. Ono jest przeznaczeniem Daniela. I nikt nie oczekuje, że wyrzekniesz się swojej przyszłości, by ująć mu ciężaru.

Katherine spuściła głowę. Pod jej czaszką kotłowały

się myśli. Raz jeszcze rozpatrywała każde słowo, które padło z ust matki. Roztrząsała również własne pragnienia. Chciała, oczywiście, poświęcić się wyłącznie mężowi i dziecku. Ale ten wybór wydawał się jej zbyt łatwy, zbyt egoistyczny.

- Daniel tak ciężko pracuje. Nie mogę przypatrywać się temu z boku.

- Źle stawiasz sprawę. Musisz zdecydować, kto jest najważniejszy w twoim życiu. Wszystko inne nabierze tym samym mniejszego znaczenia. Nie chcę przez to powiedzieć, że masz wyrzucić nas z serca, tyle, że my i Logan nie możemy tam ze sobą konkurować. Taki jest odwieczny porządek świata.

- Och, mamó - powiedziała Katherine, ujmując matkę za ramię. - Jak to się stało, że jesteś taka mądra?

Sarah zachichotała.

- Jestem matką. Wszystkie matki są trochę prze-mądrzałe. Pamiętaj, najpierw miłość.

- A czy ty też stawiasz swą miłość do Jake'a na pierwszym miejscu? - zapytała córka, nie tyle z wścibskiej ciekawości, co po to, by zrozumieć istotę problemu.

Z ust matki wydobyło się krótkie westchnienie.

- Katherine, czasami życie wydaje się bardzo długie. Puste dni, zimne noce. Jake wrócił do mnie zrządzeniem boskiej opatrności. Poza tym moje dzieci są już dorosłe i samodzielne. Rzeczywiście stawiam miłość do niego na pierwszym miejscu.

- A tata...?

Uśmiech znikł z twarzy Sarah.

- Bez wątpienia kochałam go. Był człowiekiem godnym zaufania i dobrym gospodarzem. Troszczył się o swoją rodzinę. Zasługiwał na szacunek.

- Ale nie była to z twojej strony jakaś wielka miłość?

- Wiesz, bywają różne miłości. W jednej znajdujesz przede wszystkim szacunek, przywiązanie, wdzięczność, w drugiej uniesienie, żar, duchową i zmysłową zachłanność. Pojmujesz te różnice?

Tak, Katherine pojmowała je. Wiedziała jednak również, że żadnej z tych miłości nie sposób oddzielić od konkretnych osób i sytuacji.

- A co z ranczem, mamó? Logan upiera się przy swoim zdaniu, a Daniel na pewno nie ustąpi.

Sarah wytarła chusteczką zakatarzony nos.

- Martwię się o bezpieczeństwo Daniela. W każdej chwili mogą zrobić mu krzywdę.

- Ale przy pomocy Jake'a...

- Jake nie ma sobie równych w posługiwaniu się bronią, ale jest tylko jeden. Jeden człowiek niewiele może zdziałać.

- Czy zatem myślisz o sprzedaży rancza?

- Myślę przede wszystkim o tym, że powinnaś jak najszybciej wrócić do domu i pogodzić się z mężem. A potem za dwa, trzy dni usiądziemy całą piątką przy stole i może uda nam się znaleźć jakieś rozwiązanie. No to jak, czy idziemy do Jake'a z prośbą, by raz jeszcze odprowadził cię do domu?

- Tak - odparła Katherine z uśmiechem. Wiedziała już, co powie swemu ukochanemu mężowi, kiedy skruszona, ale radosna stanie przed nim za godzinę.

Wyszły na ganek.

- Co za piękny wieczór - powiedziała Sarah, unosząc wzrok ku pierwszym gwiazdom na nieboskłonie.

Katherine przez chwilę łowiła uchem chóralne cykanie koników polnych.

- Cudowny - zgodziła się z rozmarzeniem w głosie.

Wysunęła stopę, aby stanąć na pierwszym schodku. W tym samym momencie powiał wiatr, szarpiąc jej spódnice. Katherine poczuła, że czubek jej buta zahacza o dolny rąbek sukienki. Chciała chwycić się poręczy, ale było już za późno. Z przerażeniem stwierdziła, że leci twarzą w dół. Chwila... i ogarnęła ją ciemność.

- Jake! - Sarah zbiegła po schodkach do córki. - Jake! Szybko! Szybko!

Katherine oddychała, ale była nieprzytomna. Nad jej lewą brwią widniała plama wielkości sporej monety. Miejsce to ciemniało i puchło niemal w oczach. Natomiast zadrapania na policzku i brodzie nie wydały się groźne, nawet nie krwawiły.

- Katherine, dzieciątko, odezwij się do mnie. Proszę, kochanie, powiedz choć jedno słowo - szlochała Sarah, podtrzymując głowę córki.

Nadbiegł Faraday, a zaraz po nim Daniel. Sarah w krótkich słowach i załamującym się głosem wytłumaczyła im, co się stało. Rzecz wyglądała poważnie. Kiedy już przenieśli Katherine do domu i położyli w łóżku, Jake zwrócił się do chłopaka:

- Siodłaj konia i pędź na złamanie karku do Clearwater po doktora. A stamtąd do McClouda. Niech natychmiast tutaj przyjeżdża.

Daniel raz jeszcze spojrzął na nieprzytomną siostrę.

- Czy ona...

- Nie ma czasu na snucie domysłów. Ruszaj!

Daniel był już przy drzwiach, kiedy zatrzymał go głos Sarah:

- I powiedz doktorowi, że Katherine jest w ciąży.
Być może skłoni go to do większego pośpiechu.

Daniel zmarszczył brwi.

- Dziecko? - wybąkał, pojmując jasno, że teraz od jego pośpiechu i pośpiechu doktora będzie zależało coś więcej, niż tylko życie jego siostry.

21

Była sobota, dzień wypłaty, i saloon Joe'ego pękał w szwach od podochoconych gości. Długi bar okupowali kowboje z okolicznych rancz. Grała pianola, a niski, gruby Joe, wycierając co jakiś czas brudne ręce o brudny fartuch, baczył bystrym okiem, aby nikt zbyt długo nie siedział nad pustą szklanką.

Spora część mężczyzn skupiała się przy stolikach do gry, gdzie tasowano karty i gdzie na wypłowiałym, zielonym suknie piętrzyły się kupki banknotów. Zdawało się, że otrzymana od pracodawców forsa pali kowbojów i pragną pozbyć się jej jak najszybciej.

Pomiędzy stolikami krążyły Sal i Lottie, roznosząc alkohol, uśmiechy oraz obietnice miłego spędzenia nocy. Serca tych płatnych dziewcząt ożywiały się w każdą sobotę, by wraz z upływem dni (i wypływem gotówki z kieszeni klientów) ziębnąć i zamierać.

Lecz pewien stół pod oknem różnił się od innych. Siedzieli przy nim mężczyźni, których nie interesowały ani wielkie wygrane w pokera, ani też wdzięki Sal i Lottie. Również alkohol nie płynął tu takimi strumieniami, jak przy barze.

Ci mężczyźni byli ranczerami i potrafili zadowolić się dotąd jedną butelką irlandzkiej whisky z zapasu, który John Morris trzymał u Joe'ego na specjalne okazje.

Ale teraz butelka była pusta i John poszedł po następną. Wróciwszy, nalał każdemu po pół szklanki.

- A więc - powiedział, opadając na krzesło
- McCloud skończył na tym, że obiecał wam zająć się wszystkim?

- Są to dokładnie jego słowa - potwierdził Amos, pociągając spory łyk szlachetnego trunku.

Inni kiwnęli głowami. Z wyjątkiem Eda Bromleya, który zachowywał się dzisiaj wyjątkowo markotnie i cicho.

- I co jeszcze usłyszeliście od McClouda? - dopytywał się Morris.

Kyle wodził palcem po obrzeżu swej szklanki.

- Powiedział, że trzeba mu czterdziestu ośmiu godzin.

Morris uniósł ryżą brew w wyrazie sceptycyzmu. Podrapał się po głowie.

- I wy przyjęliście ten warunek? Zamierzacie siedzieć tu i czekać do poniedziałku wieczorem?

Starker głośno chrząknął, jak gdyby mucha wpadła mu do przetyku.

- Myślisz, że wystawi nas do wiatru?

Morris, zanim odpowiedział, przeplukał sobie gardło.

- McCloud zagadałby każdego na śmierć, lecz co innego słowa, a co innego czyny. Ja ani myślę czekać. Z tego oczekiwania nabawimy się czyraków na tyłkach, a nasze bydło tymczasem zdechnie z pragnienia. Mówiąc krótko: oni albo my.

- Tak - odezwał się Bromley chrapliwym głosem.

- McCloudowi wydaje się, że ma na własność cały stan. Tatusz zostawił mu w spadku fortunę i teraz struga wielkiego pana.

Od strony baru dobiegły ich śmiechy i krzyki. To kilku kowbojów namawiało Lottie, by zaśpiewała im

piosenkę, zaś uróżwiona dama zdawała się chętnie słuchać tych gorących namów.

- Ależ dzisiaj tłok - zauważył Morris. - Będzie ze cztery tuziny przetłuszczonych stetsonów...

- Tak - zgodził się Kyle. - Na razie się trzymają, ale bez burdy tak czy inaczej się nie obędzie. Połowa z nich nie zjawi się w poniedziałek w robocie.

Morris przez chwilę jakby coś rozważał.

- Wiecie, idę o zakład, że nie ma tu faceta, który lubiłby owce.

- W całym Wyoming nie znajdziesz takiego - dorzucił Bromley.

- A gdybym poprosił tych chłopców, by pomogli nam usunąć tych cuchnących owczarzy, to jak myślicie, odmówiłby któryś? - Potoczył wyzywającym spojrzeniem po twarzach ranczerów.

Kyle poruszył się niespokojnie, na koniec jednak wykrzywił usta w uśmiechu.

- Coś mi się wydaje, że bierzesz się do czynów.

Widząc puste szklanki, Morris nalał drugą kolejkę.

- Załatwmy to tej nocy, a pozbędziemy się kłopotu, zanim McCloud rozpocznie te swoje dyplomacje.

Mężczyźni zaczęli spoglądać po sobie i wzajemnie podjudzać się wzrokiem.

- No i jak? Jesteście ze mną?

- Jak cholera - wysapał Bromley.

- Zróbmy to - dodał Kyle, po czym wychylił swoją whisky do dna.

John Morris wstał od stolika z chrobotem przesuwanego krzesła. Po chwili był już na środku sali.

- Chłopcy! - zawołał, przekrzykując gwar i natychmiast ściągając na siebie blisko połowę spojrzeń. - Chłopcy! - powtórzył jeszcze silniejszym głó-

sem, tak iż tym razem zamilkła nawet pianola, a czyjaś ręka z kartą znieruchomiła w powietrzu.

Wszyscy, którzy patrzyli teraz na Morrisa, widzieli człowieka, którego oczy rozjaśniały błyskawice furii.

- Mamy tu pewien problem i jest on równie dokuczliwy, jak kolec, który zalał za paznokiec. Ten problem to owce.

Rozległ się groźny pomruk. Tu i tam padło krótkie przekleństwo.

- Owce depczą nam trawę, macą wodopoje, a kolczaste zasieki owczarza zabijają nasze bydło. Ale na tym nie koniec. Ten szczeniak Thorna posunął się niedawno do tego, że zagroził strumieniu, które przepływają przez jego ziemię. Chce zamienić nasze pastwiska w pustynię, nas puścić z torbami, a was pozbawić pracy.

- Dobrze mów! - krzyknął ktoś z końca sali.

- Ja mówię tylko prawdę i teraz chcę wiedzieć, co wy, chłopcy, na to?

- Przegnać stąd tych śmierdzieli! - padła odpowiedź, rozpoczęta jękającym się głosem, a zakończona pijackim czknięciem.

- Ale to nie będzie zgodne z prawem - zauważył Morris.

- Tym gorzej dla prawa!

- Podetrzeć się takim prawem, które pozwala, aby jeden szkodził wszystkim!

- Rozprawić się ze szkodnikami, zanim nas zniszczą!

- Po co w takim razie mitrężyć czas, chłopcy? - Zawołał Steen, zarządca Morrisa. - Niech jutro rano, kiedy wzejdzie słońce, nie będzie tu śladu po owcach, zasiekach i owczarzach. Jedźcie ze mną?

Zgodny ryk wstrząsnął szybami saloonu.

Morris spojrzął na stół, przy którym siedzieli inni ranczerzy. Ledwie widoczny uśmiech błąkał mu się na wargach.

- W porządku, chłopcy, jedziemy. A po skończonej robocie zapraszam tu wszystkich na solidne przepłukanie gardła.

- Fajny chłop!

- Miód na moją duszę!

- Sał, bądź mi wierna i poczekaj godzinę.

Po chwili cały tłum wywalił się przez drzwi saloonu, a w pierwszym szeregu szedł Morris. Towarzyszyło mu kilku ranczerów. Dosiedli koni, sprawdzili broń i ruszyli z kopyta. Została po nich tylko chmura kurzu.

- McCloud! - Daniel walił pięściami w ciężkie sosnowe drzwi. - McCloud, otwieraj!

Ale minęła dobra minuta, zanim drzwi otworzyły się i stanął w nich Logan.

- Czego, do diaska, chcesz?

- Musisz natychmiast ze mną jechać - dyszał Daniel. - Katherine...

Logan chwycił chłopaka za ramiona i potrząsnął nim.

- Na miłość boską, co się stało?!

- Katherine upadła. Wracam właśnie z miasteczka. Doktor już w drodze.

Mężczyzna nie słuchał dalej. Puścił Daniela i jednym susem pokonał schodki ganku.

Po kilku minutach grzmot kopyt Jokera zakłócił nocną ciszę na ranczo. Logan szybko dogonił Daniela, minął go i pędził dalej, nisko pochylony nad szyją

galopującego wierzchowca. Obrął najkrótszą drogę na przełaj. Modlił się tylko, by koń szczęśliwie ominął jamy piesków stepowych i nie złamał nogi. Czas dłużył się, a przestrzeń wyciągała, jakby była z gumy. Nie-samowicie jasny księżyc rzucał długi cień jeźdźca na zroszoną trawę.

Wreszcie w oddali zamajaczyły zabudowania ran-cza. W oknach paliły się światła.

Logan wpadł na podwórze i ściągnął Jokerowi cu-gle. Koń aż przysiadł na zadzie, wzbijając chmurę ku-rzu.

Jake czekał już na ganku.

- Gdzie ona? - zapytał Logan, z trudnością chwy-tając powietrze.

- W sypialni.

McCloud próbował go wyminąć, ale tamten zagro-dził mu drogę.

- Właśnie bada ją doktor.

- Gwiżdżę na doktora. Chcę ją zobaczyć - nagle opuścił ręce, które podniósł, by odepchnąć Jake'a. - Jak ona się czuje? Co z dzieckiem? - zapytał głosem, w którym brzmiał strach.

Faraday przypatrywał mu się z wielką powagą w oczach.

- Nie wiem. Dotąd nie odzyskała przytomności. Najlepiej będzie, jeśli poczekamy, aż doktor skończy badanie.

Przeszli do saloniku. Logan zwałił się na pierwszy z brzegu fotel. Jake podał mu szklankę, napelnioną whisky. Wypił ją jednym haustem. Smakowała jak woda.

Wbijał wzrok w drzwi sypialni, jakby chciał je prze-wiercić na wylot. Po tamtej stronie rozstrzygał się jego

los. Czuł się ostatnim z nędzników. Pozwolił wszak, żeby Katherine odjechała, a nawet sam ją do tego popchnął. I nie kiwnął palcem, aby ją zatrzymać. Przeklinał swoją dumę.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Sarah. Na widok jej czarnej sukienki przeszył go zimny dreszcz. Zaraz jednak przypomniał sobie, że nosi żałobę po mężu. Tuż za Sarah wyszedł doktor Willis. Jego brązowy surdut był tak pomięty, jakby doktor sy-piał w ubraniu. Ściągnięta szczupła twarz mogła wy-rażać wszystko albo nic.

Sarah podeszła do Logana i uścisnęła go. Oddał jej uścisk. Był wzruszony. Bóg świadkiem, że potrzebował w tej chwili ludzkiego ciepła i współczucia.

- I jak się czuje? - zapytał, czekając z lękiem na odpowiedź.

Doktor Willis rzucił swoją lekarską torbę na stół. Upadła z łoskotem.

- Wydaje się, że śpi sobie smacznie.

- Śpi smacznie? Wydaje się? Co to w ogóle ma zna-czyć?! - Poczul, że jeszcze chwila, a straci panowanie nad sobą.

- Oznacza to, że trudno mi coś konkretnego po-wiedzieć. Jest wciąż nieprzytomna. Uderzenie w gło-wę było bardzo silne. Musimy przykładać zimne kom-presy, czekać i obserwować - uśmiechnął się. - Gło-wa do góry, Logan. Znam cię od dziecka. Wiesz, że zawsze mówię, co myślę.

Tak, znał doktora kawał czasu i darzył go dotąd pełnym zaufaniem. Ale w przypadku Katherine skłon-ny był podejrzewać wszystkich o wszystko.

- Co z dzieckiem?

- Będziemy wiedzieć za kilka tygodni.

- Za kilka tygodni? - powtórzył McCloud ściszym głosem.

- Niekiedy trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Logan kiwnął głową.

- Czy mogę tam wejść?

- Oczywiście - zgodził się doktor.

Mężczyzna wziął głęboki oddech, przejechał dłonią po włosach i skierował się ku drzwiom sypialni. Słyszał brzęk własnych ostróg i ten dźwięk tym razem brzmiał w jego uszach przejmująco żałośnie.

Wewnątrz panował lekki półmrok. Jedyna paląca się lampa naftowa stała na stoliku przy drzwiach. A jednak w świetle jej chybotliwego płomienia blada twarz Katherine była doskonale widoczna. Rozrzuczone promieniście, przecudne włosy zakrywały niemal całą poduszkę, zaś błękitna koszula wyglądała niczym opar mgły na tle białej pościeli.

Logan podszedł do łóżka i usiadł na stojącym obok krześle. Chwycała go za gardło atmosfera nieprzespanego snu, jaka unosiła się w tym pokoju. Miał ściśnięte serce. Oczy piekły go i pozwolił wreszcie popłynąć łzom. Po raz ostatni płakał, gdy jeszcze był małym chłopcem.

Chciewie wsłuchiwał się w słaby oddech żony. Ten oddech stanowił nić, na której zawiesił całą swoją nadzieję. Tak bardzo kochał tę kobietę. Jak się więc stało, że pragnąc jej dobra, przyczynił się do obecnego stanu rzeczy? Właściwie znał odpowiedź. Winny był jego skrajny egoizm, połączony z butną arogancją. Chciał wszystkiego dla siebie i nie chciał z nikim dzielić się Katherine. Jak gdyby człowiek mógł posiadać drugiego człowieka całkowicie i bez reszty!

Kochał więc złą miłością, w której nie było miejsca na wielkoduszność i zrozumienie. I dlatego czuł się teraz winny. Sumienie, ów najsurowszy i najsprawiedliwszy z sędziów, nakazywało mu skruchę i poprawę.

Oby tylko dobry Bóg zlitował się nad jego żoną i cofnął ją z tej ścieżki snu i bezprzytomności. A wówczas on, Logan, stanie się zupełnie innym człowiekiem. Już niczego nie będzie żądał i domagał się, lecz z wdzięcznością przyjmie wszystko, co zostanie mu zaofiarowane.

Usłyszał za drzwiami kroki i głos Daniela. Brat dopytywał się o zdrowie siostry. Doktor Willis i matka odpowiadali mu, ale nie można było zrozumieć słów.

McCloud doszedł do wniosku, że zaraz tu wejdą. Nie był w nastroju do rozmowy. Chciał być sam. Ucałował więc żarliwie bezwładną dłoń Katherine, wstał i wyszedł z sypialni. A potem, kiwnąwszy jedynie głową zgromadzonym w salonie osobom, skierował się ku drzwiom frontowym.

Po kilkunastu minutach znajdował się już na szczycie niewielkiego wzgórza na północ od rancza. Nad jego głową unosiły się roje gwiazd. Wiał lekki, południowo-zachodni wiatr. Logan usiadł na płaskim kamieniu i pogрузzył się w swoim własnym wewnętrznym piekle.

- Czy jesteś zupełnie pewna, że Katherine wyzdrowieje? - zapytał Daniel matki bodaj już po raz dziiesiąty w przeciągu ostatniego kwadransa.

- Danielu, to sprawa ufności i nadziei, a nie pewności - odparła Sarah, zajęta w tej chwili przyrządza-

niem posiłku dla doktora Willisa. - Ja ufam w boskie miłosierdzie.

- Dlaczego ten lekarz tak długo stamtąd nie wychodzi?

Sarah westchnęła. Pytania syna wyrażały również jej własny skrywany niepokój. Spojrzała na Jake'a, w nim pragnąc znaleźć jakieś pocieszenie.

- Och, Jake. Prześladowuje mnie przeczucie jakiegoś fatum. Stało się to bowiem niemal dokładnie w momencie, kiedy Katherine podjęła decyzję powrotu do męża i pogodzenia się z nim. Widziałam jej radosny nastrój.

Faraday podszedł i zamknął Sarah w ramionach. Tulił ją do piersi, niczym małą dziewczynkę. Pocałował w czoło.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Daniel spoglądał na matkę i Jake'a. Obejmowali się, lecz dzisiaj potrafił znieść ten widok. Najgorzej było na początku, kiedy nagle zjawił się intruz, który chciał mu zabrać matkę. Ostatnio jednak stwierdził, że zaczyna lubić Jake'a, a myśl, że zostanie on jego ojczymem, prawie już nie bolała. Zresztą, myślał w tej chwili nie o nim, lecz o swojej siostrze Katherine. Kiedy zobaczył ją, leżącą nieruchomo na ziemi, cały zdreptał na duszy i ciele. Tak samo bowiem, tamtego potwornego dnia, leżał na ziemi jego ojciec.

Poczuł, że ma lepkie, zimne dłonie. To była jego wina. Sarah powiedziała, że nikt nie może oskarżać za to siebie, jednak on, Daniel, wiedział lepiej.

Czyż nie przyjmował całymi tygodniami jej pomocy, a nawet w skrytości ducha nie żądał jej i nie oczekiwał? Pewnie, że nic nie wiedział o ciąży, ale to go w najmniejszym stopniu nie usprawiedliwiało. Dosłownie orał w siostrę, mimo że wyszła za mąż i miała

swój własny dom. Przez cały ten czas zachowywał się tchórzliwie, zupełnie nie jak prawdziwy ranczer. Powinien był powiedzieć: „Słuchaj, siostrzyczko, zwały mi się na głowę te owce i muszę sam sobie z nimi poradzić, a ty tymczasem dbaj o swego męża.” Ale nie powiedział tego. Był tylko słabym, bezradnym dzieciuchem.

Poczuł, że zaczyna brakować mu powietrza.

- Mamo, czy mogę tam wejść?

Sarah wyswobodziła się z objęć Jake'a i podeszła do syna. Nachyliła się i pocałowała go w policzek.

- Jeszcze nie teraz.

- A kiedy z nią porozmawiam?

- Kiedy się obudzi, a doktor wyrazi zgodę na taką rozmowę.

Daniel kiwnął głową. Dostrzegł kątem oka, że Jake sięga po kapelusz.

- Pójdę poszukać Logana. Minęło już trochę czasu, a on jakoś nie wraca. - Jake wyszedł, Daniel zaś został na swoim krześle pod oknem. Zamierzał siedzieć tu do momentu, aż pozwolą mu zobaczyć się z Katherine. Zaczął modlić się o jej powrót do zdrowia.

Nagle z dworu dobiegł go męski głos.

- Ej, wy tam! Macie wizytę.

Nie był to głos przyjaciela.

Daniel poderwał się z krzesła i ostrożnie uchylił brzeg firanki.

- Co się tam dzieje? - spytała Sarah niespokojnym głosem.

- Niespodziewani goście - odparł, dostrzegając w półmroku dużą grupę jeźdźców.

Strach ścisnął go za gardło. Nie miał najmniejszych wątpliwości, po co tu przyjechali.

- Na podłogę! - rzucił ściszym głosem do matki.
Przykucnęła i skryła się za stół.

- Dlaczego nikt nas nie wita? - zawołał ten sam człowiek, co poprzednio, a jego kompani zawtórowali mu rechotem.

Daniel też opadł na kolana i na czworakach doczołgał się do lampy. Po chwili w kuchni zapanowała ciemność.

Co dalej? Był osaczony i praktycznie bezbronny. Sam jeden wobec dwóch czy trzech tuzinów gotowych na wszystko rewolwerowców. Gdzie byli Jake i McCloud?

- Wychodź, Thorn! Wiemy, że tam jesteś!

- Zostań tutaj - powiedział Daniel do matki. Zdjął z gwoźdźnia swój wielostrzałowy sztucer. - Obojętnie, co usłyszysz, nie ruszaj się stąd ani na krok.

- Danielu, poczekaj!

Nie zareagował. Bał się, lecz równocześnie znał swój obowiązek. To było jego miejsce na ziemi i musiał go bronić.

Nacisnął klamkę i wyszedł na ganek. Zimne światło księżycy zabłyśło na lufie sztucera.

- Wynoście się stąd! - krzyknął głosem, w którym tylko on mógł rozpoznać strach.

- Nie tym razem - John Morris podjechał bliżej ganku. - Nie powinienes być zagradzać tych strumieni, szczeniaku. To również nasza woda, a pozbawiając nas jej, rzuciłeś wyzwanie.

- Kończmy już z nim - dobiegło z grupy jeźdźców. - Czy mamy tu mleć językiem przez całą noc, panie Morris?

Serce Daniela waliło w piersi jak młot. Otworzył usta, ale nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa.

I dopiero gdy uniósł sztucer i złożył się do strzału, odzyskał głos.

- Mówię po raz ostani. Zabierajcie się stąd!
John Morris wybuchnął krótkim, chrapliwym śmiechem.

- Ależ mnie rozbawiłeś. Czy ty naprawdę myślisz, ty głupi kochanku owiec, że zdołasz zabić nas wszystkich?

- Wszystkich nie, Morris. Tylko tych najbardziej paskudnych. A zacznę od ciebie.

W grupie ten i ów roześmiał się.

Ranczer przeklął pod nosem.

- Chłopcze - zawołał - przyjechaliśmy tu powiedzieć wam, że mamy dość waszych owiec, a także pomóc się wam spakować! - pochylił się do przodu. Skóra siodła skrzypnęła. - Ale jeśli wyzywasz los, to możemy zakończyć sprawę szybciej.

- Tak jak z twoim ojcem - dodał podпиты Steen.

Daniel zdrętwiał.

- To znaczy?

- To znaczy, że pan Morris najpierw uciął z nim sobie małą pogawędkę, a potem...

- Zamknij się, idioto! - ryknął Morris.

Było już jednak za późno. Prawda objawiła się w całej swej ohydnej postaci. Nie dbając o konsekwencje, a pragnąc jedynie dostać w swoje ręce mordercę ojca, Daniel odrzucił sztucer i skoczył z ganku jak lampart. W mgnieniu oka dopadł Morrisa i ściągnął go z konia na ziemię.

Zakotłowało się. Koń Bromleya, pod którego nogi potoczyli się obaj walczący, spłoszył się i stanął dęba. Ed zaklął i tylko cudem utrzymał się w siodle. Przekleństwa padały również z ust tych

cowbojów, którzy zaraz potem znaleźli się w podobnej sytuacji.

Daniel nie widział końskich kopyt, nie słyszał przekleństw. Zaślepiiony wściekłością, dysząc żądzą zemsty, wpatrywał się w nabrzmiałą twarz przeciwnika. Zaciskał dłonie na jego gardle, ale Morris trzymał go za nadgarstki i nie był to bynajmniej uścisk słabeusza.

- Zabiję cię, skurwielu - wysyczał Daniel przez zacisnięte zęby, ale zanim jeszcze przebrzmiało ostatnie słowo, przeciwnik zdołał oderwać jego ręce od swojej szyi i cisnąć Danielem o ziemię.

Chłopak upadł na wznak, zaraz jednak poderwał się na kolana.

Już jednak nie zdążył wstać. Zobaczył tuż przy swoim nosie wylot lufy rewolweru.

- A teraz przekonamy się, kto kogo zabije - rzekł Morris, dysząc ciężko.

- Nie śpieszyłbym się, John - dobiegł go z ciemności czyjś głos.

Mężczyzna zamarł w bezruchu.

Zza węgła domu wyszedł Logan. On i Jake słyszeli kawalkadę, ale zdołali przybyć dopiero na ten moment.

Jake, który wyłonił się z głębokiego cienia tuż przy ganku, zbliżył się bezszelestnie do Logana i stanął obok niego w odległości kilku kroków. Mniej więcej taka sama odległość dzieliła obu mężczyzn od Morrisa i klęczącego wciąż Daniela. Tylko Morris i McCloud trzymali rewolwery gotowe do strzału. Jake zaledwie wspierał dłoń na swoim.

- Coś mi się wydaje, że pobłądziliście, chłopcy - powiedział niedbałym tonem, pilnie obserwując kowbojów i ranczerów.

Morris wpatrywał się w McClouda.

- Co ty, Logan, przechrzciles się na inną wiarę? Jeżeli tak, to wdepnąłeś w gówno. Mądrzy ludzie trzymają ze swoimi.

Logan puścił te słowa mimo uszu. Celując z biodra w pierś Morrisa i nie spuszczać z niego wzroku, zwrócił się do grupy jeźdźców:

- Jesteście pewni, że chcecie płacić koszty tej nocnej wizyty?

- Nie, panie McCloud - odezwał się jeden z kowbojów głosem pełnym szacunku. - Pana obecność tutaj zmienia postać rzeczy.

- No to zmykajcie, zanim jeszcze nie jest za późno.

- Już się robi, sir - kilku kowbojów zawróciło konie, a za nimi zrobili to inni.

- Ty również, Bromley - powiedział Logan suchym tonem. -I zabierz ze sobą Kyle'a i resztę ferajny. John zostanie tutaj do przybycia szeryfa.

Ranczerom jednak nie śpieszyło się. Ostatecznie rozkazywał im jeden z nich, tylko może trochę większy szczęściarz.

Logan postąpił krok do przodu.

- Słyszałeś, Ed? A może chcesz nauczyć nas szybkiego wyciągania broni?

Bromley sapał, niczym miech kowalski. Szarpał cugle i przeskakiwał wzrokiem po twarzach towarzyszy.

- Nie będę walczył z tobą i tym rewolwerowcem, McCloud. Do diabła z wami i waszymi owcami! - ścisnął boki konia ostrogami i po chwili zniknął w ciemności.

- Na tym się nie skończy, McCloud - rzucił Amos.

- Skończy się, bądźcie tego pewni.

I chyba faktycznie jego słowa o czymś ich upew-

niły, gdyż już bez dalszej zwłoki poszli śladem Bromleya.

Na podwórzu został tylko Morris, światło księżycy oświetlało go tak dokładnie, że widać było nawet rudy kolor jego бакów i brwi.

Logan zaszedł teraz ranczera od tyłu.

- Rzuć rewolwer, John.

Ten zignorował żądanie.

- Chcesz strzelić przyjacielowi w plecy z powodu tych śmierdzących owiec?

- Czy to prawda, John? Zabiłeś Thorna?

- Nie planowałem tego - odparł Morris, wciąż celując w głowę Daniela. - Przyszedłem tylko z nim pogadać. Ale z tym nieużyтым facetem niemożliwa była żadna rozmowa. Dobrze wiesz, co to był za typ.

- Ale j a go nie zabiłem - choć byłem o krok od wyciągnięcia rewolweru, pomyślał Logan. - Zastrzeżenie Daniela nic tu nie zmieni.

- Oczywiście, że zmieni - powiedział Morris.

- Uwolnimy się raz na zawsze od tych parszywych owiec i pokażemy wszystkim ranczerom od zachodniego do wschodniego wybrzeża, że owczarze nie są tu mile widzianymi gośćmi.

- Ponoś cię fantazja, John.

- Jestem bankrutem. Wykończył mnie Thorn i jego zasięki. Teraz zaś, kiedy prawda wyszła już na jaw, nie chcę pójść do więzienia lub zadyndać na sznurze. Nie mam nic do stracenia.

- Ty parszywy morderco! - krzyknął Daniel. - Do jasnej cholery, McCloud, albo wpakuj mu kulę w łeb, albo rzuć mi rewolwer i ja to zrobię!

- Danielu, ani słowa więcej! - zawołała Sarah, wychodząc na ganek w towarzystwie doktora Willisa.

- Już dość zabijania - rzekł Logan.
Morris wydał z siebie ironiczne parsknięcie.
- Ale najpierw ostatni z owczarzy musi iść do ziemi.
- John, nie radziłbym ci nawet o tym myśleć.
- A ja widzę w tym swoje jedyne wyjście - rzekł Morris, odciągając kurek.
Logan zawahał się, tracąc ułamek sekundy.
Ale nie zawahał się Jake. Jego rewolwer błysnął srebrzem. Padł strzał.

Katherine otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą sufit. Głowa bolała, jakby przewiercano ją świdrem.

Co się stało?

Niewątpliwie leżała w łóżku. Rozpoznała też swoją dawną sypialnię. Zmarszczyła brwi, próbując ożywić pamięć. Rozmawiała z matką. Wyszły na ganek. Zawadziła o coś butem i... straciła równowagę. Pamiętała nawet moment, kiedy leciała w dół.

Nagle przerażenie targnęło jej sercem, odrzuciła kołdrę, uniosła koszulę. Dzięki Ci, Panie Jezu! Żadnego krwawienia.

Z podwórza dobiegły ją gniewne męskie głosy. Było w nich tyle groźby, że aż poczuła chłód.

- Mamo! Danielu? - zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

Nagle głuchą ciszę domu przeszył stłumiony, suchy trzask. Jak gdyby...

Strzał!

- Mamo! Mamo, odezwij się!

Wciąż żadnej odpowiedzi. Odgłos wystrzału przebrzmiał. Znowu cisza. I znowu z dworu dobiegły czyjeś niewyraźne słowa.

Katherine wstała z łóżka. Pokój zawirował. Po-
dłoga kolebała się, niczym pokład statku podczas
burzy. Każdy krok groził ponownym upadkiem.
Ale musiała rozwikłać zagadkę tej ciszy i tamtego
strzału.

Chwiejąc się, podeszła do komódki. Pamiętała, że
w drugiej szufladzie od góry był schowany rewolwer.
Pamięć nie zawiodła jej.

Z rewolwerem w dłoni skierowała się teraz ku
drzwiom. A kiedy do nich dotarła, czuła się tak zmę-
czona, jakby przemierzyła wielki szmat prerii.

Jake płynnym ruchem schował rewolwer do olstra.

- Nie chciałem go zabić.

Doktor Willis podszedł do Morrisa. Po chwili wy-
mownie potrząsnął głową.

- Nie wiń siebie - powiedział Logan do Faradaya.

- Morris dobrze wiedział, czym ryzykuje, odciągając
kurek. To było z jego strony zwykle samobójstwo.

Daniel spoglądał na nieruchome ciało mężczyzny.
Nagle okazało się, że zemsta nie jest tak słodka, jak
się spodziewał. Widział śmierć i nic oprócz śmierci.
Sam zresztą wymknął się jej dosłownie cudem,
w ostatnim ułamku sekundy.

- Panie McCloud, jestem zobowiązany. Gdyby pa-
na i Jake'a nie było tutaj... Miałem o panu błędne
mniemanie. Przepraszam - wyciągnął rękę.

Logan przyjął ją.

- Stałeś wobec całej tej bandy i było to czystym
szaleństwem. Lecz nie wiem, czy na twoim miejscu
nie postąpiłbym tak samo. Jesteś już prawdziwym
mężczyzną, Danielu.

- Dzięki.

- Niestety, na tym nie koniec kłopotów. Jak długo bowiem pozostaną te zasieki i owce...

- Ja już dłużej tego nie wytrzymam! - głos Sarah drżał, a jej twarz przerażała śmiertelną bladością.

- W porządku, mamó. Pan McCloud miał rację, kiedy powiedział, że już dość zabijania. Sprzedam rancho, zanim z jego powodu straci życie następna osoba.

- Czy jesteś pewny, że chcesz tego? - zapytała Sarah.

- Tak. Nie chcę już więcej ryzykować twoim życiem i zdrowiem, mamó. Panie McCloud, jeśli nadal chce pan kupić naszą ziemię, to możemy konkretnie o tym porozmawiać.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że lubię owce i te druty kolczaste, lecz myślę, że sprzedaż i likwidacja rancho nie jest ani jedynym, ani najlepszym wyjściem z sytuacji.

Wszystkie twarze zwróciły się w jego kierunku.

- Słuchamy więc - powiedziała Sarah.

- Otóż mam taki pomysł. Najpierw zniszczysz, Danielu, te tamy na strumieniach, do których wzniesienia podkusił cię chyba sam diabeł. A potem sprzedasz owce i zwinięsz zasieki. W zamian dostaniesz ode mnie pół tysiąca najdorodniejszych byczków.

- Co? - Chłopak nie mógł wyjść ze zdumienia.

To była nad wyraz szczodra propozycja. A poza tym dawała możliwość utrzymania rancho i zarazem pozbycia się kłopotów. Jego ojciec z pewnością również hodowałby bydło, gdyby stać go było na kupno podstawowego stada.

- A więc? - zapytał Logan.

- Nic nie wiem o hodowli bydła - powiedział Daniel.

- Nauczysz się. Poza tym jest tu Jake. O ile pamiętam, przez długi czas pracował jako kowboj w Teksasie. Zostajesz, Jake?

Mężczyzna spojrzął z uśmiechem na Sarah.

- Zostaje.

Logan kiwnął głową.

- W takim razie uważam rzecz za załatwioną. Za dwa tygodnie sześciu moich ludzi przypędzi te pół tysiąca sztuk i zostanie przy nich do czasu, aż nie zatrudnisz swoich własnych kowbojów. Pieniądze uzyskane za owce pozwolą wam przetrwać do następnego sezonu.

Daniel wydawał się wahać. Wreszcie podjął decyzję.

- Przyjmę pana ofertę, ale pod jednym warunkiem. Wystawi mi pan rachunek za bydło, a ja spłacę go w przeciągu pięciu lat.

- Zgoda - powiedział Logan zadowolony, że chłopak ceni sobie niezależność.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Logan?

McCloud gwałtownie odwrócił się w stronę ganku. Tam, oparta o framugę drzwi, stała Katherine. Jej blada jak chusta twarz fosforyzowała w świetle księżyca. W prawej dłoni trzymała rewolwer. Ale wydawała się tak słaba i wycieńczona, że gdyby przyszło jej zrobić z niego użytek, nie miałyby nawet siły pociągnąć za spust.

Puścił się ku niej biegiem.

- Co tutaj robisz? Nie powinnaś była wstawać z łóżka.

- Jakbym słyszała strzał.

Objął ją i wprowadził do domu. Lepiej, żeby najgorsze na razie pozostało przed nią ukryte.

- Słyszałam strzał - powtórzyła, kiedy już pozwoliła odebrać sobie rewolwer i położyć się do łóżka.

Spojrzał w jej oczy. Utonął wzrokiem w dwóch prześwitach błękitu, zasnuty mgiełką wyczerpania.

- Mieliśmy kłopoty. Ale należą one już do przeszłości.

- Jakie kłopoty?

Zanim otworzył usta, aby udzielić kolejnej wykrętnej odpowiedzi, wpadła do sypialni Sarah. Ujęła dłoń córki i przycisnęła ją do swego serca.

- Katherine, córeczko, omal nie umarłam z niepokojem o ciebie.

- Miejsce dla lekarza - dał się słyszeć pogodny głos doktora Willisa. - I jak się czujesz, młoda damo?

Katherine powiodła wzrokiem po otaczających ją twarzach. Logan, matka, Daniel, Jake, doktor Willis. Każda z tych twarzy wyrażała w ten czy inny sposób troskę o nią.

- Boli mnie głowa i ramię. Ale myślę, że wszystkie kości mam całe. Chciałabym jak najszybciej wstać z łóżka.

- Widzicie? - Doktor nie posiadał się z dumy. - Chora wyraża wolę powrotu do zdrowia, a to już samo w sobie jest najważniejszą oznaką zdrowienia.

- Doktorze, a czy nie uważa pan, że mogłam coś złego zrobić mojemu...

- Wykluczone. Jeżeli mnie pytasz, to nie wiesz. A jeśli nie wiesz, to znaczy że twoje ciało nie dało dotąd żadnego sygnału. Zaufaj mi. Gdyby było coś nie tak, wiedziałabyś to przede mną - uśmiechnął się. - Jednak trochę potrzymam cię w łóżku. Powiedzmy, przez tydzień. Do tego czasu zawroty głowy powinny ustąpić.

Doktor udzielił jeszcze kilku wskazówek, po czym, zbadawszy puls chorej i zajrzawszy jej w oczy, pożegnał się ze wszystkimi i opuścił sypialnię. Logan wyszedł tuż za nim.

- Doktorze, czy aby na pewno nic jej nie zagraża?

Willis klepnął go po ramieniu.

- Owszem, zagraża. Wasza nadmierna troska. I pamiętajcie o zimnych kompresach, gdyż szkoda tak ślicznego czółka.

- Serdecznie dziękuję, doktorze. Należnością proszę obciążyć mój rachunek.

- Nie omieszkam. Co zaś się tyczy Morrisa, to jego ciało zabieram do miasteczka.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Logan natychmiast wrócił do sypialni.

- Jake, czy mógłbyś pomóc doktorowi? No wiesz, chodzi o załadowanie...

Faraday natychmiast domyślił się, jaki to ładunek ma znaleźć się w bryczce doktora i nie zwlekając, wyszedł.

- Sarah, wybacz, ale chciałbym przez chwilę побыć sam z Katherine.

Kobieta uśmiechnęła się i serdecznym gestem pogładziła go po ramieniu.

- Oczywiście, Logan. Nic tu po nas, Danielu. Z siostrą będziesz mógł porozmawiać później.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Logan spojrzał na swoją żonę. Czy jednak nadal mógł myśleć o niej jako o swojej żonie, towarzyszce życia? Przecież rozstali się w gniewie, a Katherine ostatnim słowem dała mu wolną rękę, jeśli idzie o rozwód.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytała, wspierając się na łokciu i uważnie przyglądając jego twarzy.

Rozbawiło go to pytanie.

- Przecież to nie ja upadłem i rozbiłem sobie głowę. Wziął krzesło i przystawił je do łóżka. Usiadł. Powoli zacisnął pięści aż do bólu.

- Katherine, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, wspomniałaś o rozwodzie. Czy było to tylko powiedziane w gniewie, czy też nadal zamierzasz... - wstrzymał oddech.

- Ty wielki, czarny, wąsaty głuptasie - dźwignęła się i oparła plecami o szczyt łóżka. - Ten mój fatalny wypadek wydarzył się tuż po tym, kiedy podjęłam decyzję powrotu do domu i przyznania się przed tobą do mojej bezmiernej głupoty. Do diaska, Logan! Kocham cię. Czy mnie słyszysz? Kocham cię, mój mężu - patrzyła na niego nieskalanym błękitem swych oczu.

Odrzucił do tyłu głowę. Wyglądał w tej chwili niczym górski drapieżca, którego nozdrza chwytają niesiony wiatrem zapach ofiary. Tylko że w tym wypadku wiatr niósł obietnicę szczęścia.

- Powtórz to.

- Kocham cię.

- Katherine, popełniłem niewybaczalny błąd, pozwalając ci wtedy odjechać. Przysięgam teraz na wszystkie świętości, że nigdy więcej już go nie powtórzę.

- Zależy mi tylko na tobie.

- Słyszałaś już, oczywiście, o mojej umowie z Daniem? - Pytanie to podszeptnęła mu duma. Chciał jednak, żeby Katherine kochała go bez względu na to, co zaoferował jej bratu.

- O niczym nie wiem - rzekła z taką szczerością w oczach, że z chęcią zacałowałby ją na śmierć. - Co to za umowa?

Wytłumaczył jej, a każde kolejne słowo czyniło ją coraz bardziej szczęśliwą. O ile, rzecz jasna, pełne szczęście można uczynić pełniejszym...

- Tak więc Daniel zachowa to, o czym zawsze marzył: ranczo. A o czym ty marzysz, Logan? Przecież każdy ma swoje marzenia.

- Jediną treścią moich marzeń jesteś ty, Katherine. Kocham cię tak bardzo, że aż mnie to przeraża. Chociaż jest coś, co przeraża mnie jeszcze bardziej. Perspektywa spędzenia życia bez ciebie.

- Nawet nie potrafię wyobrazić sobie, że mogłabym żyć z dala od ciebie.

Musnął jej wargi żarliwym pocałunkiem, a potem złożył głowę na jej piersiach.

I tak trwali przez moment, rozkochani w sobie, odrętwiali, szczęśliwi.

- Kocham cię, mój aniele - wyszeptał.

- Zabierz mnie stąd. Zabierz mnie do domu, Logan.

- Zrobię to - powiedział i pocałował ją znowu.

